ZAMACH NA CPK

TU CHODZI O ZABICIE POLSKIEJ AMBICJI

TYLKO U NAS

„POTOP I OGIEŃ (1632–1673)"
– fragment 6. tomu „Dziejów Polski" prof. Andrzeja Nowaka

DODATEK NA 11 LISTOPADA

WIELCY MĘŻOWIE NIEPODLEGŁOŚCI

SIECI

KALIFAT ROSJA

OBJAWIŁA SIĘ ZASKAKUJĄCA SŁABOŚĆ WEWNĘTRZNA IMPERIUM

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 45 (571) 2023
6–12 października 2023
CENA: 8,90 zł
(w tym 8% VAT)

UJAWNIAMY

SZYKUJĄ POLITYCZNE PRZEŚLADOWANIA

JAK SIĘ BRONIĆ PRZED KŁAMSTWEM, BEZPRAWIEM I PRZEMOCĄ?

JAK WZMOCNIĆ SOLIDARNOŚĆ POLSKICH PATRIOTÓW?

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
9 772544 269304 45

105. ROCZNICA ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

e-prenumerata SIECI
już od 5,90 zł

e-book
w prezencie!

aż 106 stron

- Kim były kobiety ojców Niepodległości?
- Jak skrzyżowały się losy rotmistrza Pileckiego i kata z Auschwitz Hössa?
- Jak PRL odlatywał w kosmos?
- Gdzie odbyła się „próba generalna” przed 13 grudnia?
- Jak Polacy zdobywali Amerykę?
- Jakie mity wciąż wypaczają prawdziwy obraz wojny obronnej Polski ’39?

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

Zamów już dziś na **www.siecprzyjaciol.pl**

Dziś każdy na prawicy chce Stańczykowi udzielać rad

Jedni stoją na stanowisku, że kampania była za ostra. Inni, że zbyt łagodna, skoro mamy do czynienia ze zdrajcami. Są tacy, którzy jako czynnik decydujący wskazują orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego z października 2020 r. w sprawie aborcji. Inni bronią życia, a winią „Piątkę dla zwierząt". Diagnoz jest tyle, ilu komentujących: Prawo i Sprawiedliwość za miękko grało z Unią Europejską albo jednak otworzyło zbyt wiele frontów; nie uporządkowało mediów albo jednak grało z nimi za ostro. Słychać też, że przesadziło z rozdawnictwem bądź niektórym dało za mało. Nie zbudowano własnych mediów, ale też źle, że postawiono na prawicową prasę. „Młodych trzeba przekonywać!" – nieomal łapie mnie za poły kurtki kobieta w księgarni. „Za mało starsi się ruszyli" – wspomina prawicowy polityk z samorządu.

Niektóre aspekty wyborcze zaskoczyły ekspertów – dobry wynik Trzeciej Drogi przesądził o braku większości dla Prawa i Sprawiedliwości, a nie był przewidywany bodaj przez nikogo. Jeden z ekspertów od PR sformułował w prywatnej rozmowie tezę, że atak Zjednoczonej Prawicy na Konfederację udał się połowicznie. Część elektoratu odpłynęła od Bosaków i Korwinów, ale nie poszła do PiS, a właśnie do Trzeciej Drogi. Podobnie rzecz się miała w 2000 r., gdy opublikowano nagrania, na których ludzie Aleksandra Kwaśniewskiego przedrzeźniali Jana Pawła II. Zdegustowany elektorat nie poszedł jednak do Mariana Krzaklewskiego, a do Andrzeja Olechowskiego.

To zrozumiałe, że po bitwie wygranej jedynie częściowo chcielibyśmy wskazać winnego, spalić go na ołtarzu ofiarnym i wierzyć, że przed nami już tylko zwycięstwa. Droga obozu niepodległościowego okaże się jednak zapewne bardziej stroma. Żądza znalezienia winnych nie zbawi stronnictwa patriotycznego, a już na pewno nie pomoże w obliczu kolejnych wyzwań – presji Brukseli i Berlina w sprawie zmiany unijnych traktatów, rosyjskich prowokacji czy skoku liberałów na polskie media.

Oczywiście, że nad słabymi i mocnymi stronami tej kampanii trzeba się pochylić. Przy czym nastroje rozliczeniowe na prawicy weszły w jakiś defetystyczny cug, z którego nic nie wynika. Przypomina to refleksję Dale'a Carnegiego o mężczyźnie, który w pracy narzekał na żonę, a w domu – do żony – narzekał na szefa z pracy. Nie poprawiło to jego sytuacji.

Warto też zwrócić uwagę, że rozliczeniowe nastroje w Prawie i Sprawiedliwości podsycają poszczególne frakcje: twardzi konserwatyści przeciwko centrystom, inteligenci przeciwko trybunom ludowym, tłuste koty kontra reformatorzy. Nie musi się to przenosić na nas, świadków tych zmagań, którzy mieliby tracić energię i toczyć jałowe dyskusje.

Pospierać się między sobą jest najłatwiej, a można zrobić to nawet tak głośno, jak zrobił to np. Marcin Wolski, że zagłuszy się na chwilę rechot harcowników obecnej opozycji, która dyszy żądzą zemsty, aż nozdrza im parują.

W 1856 r. Jan Matejko namalował obraz „Stańczyk udający ból zębów". Ilustruje on znaną XVI-wieczną anegdotę. Królewski błazen, słynny Stańczyk, miał obwiązać sobie twarz bandażem i udawać ból gardła podczas spaceru po Krakowie. Żartował potem, że najwięcej w Polsce mamy medyków, bo każdy miał dla niego znakomite recepty, jak sobie poradzić z bólem. Dziś w Polsce najwięcej specjalistów mamy od marketingu politycznego.

Jakub Augustyn Maciejewski

Autopromocja

eprasa.pl 383475ee03

SIECI spis treści

31 Z Adamem Borowskim *rozmawia Jacek Karnowski*

43 *Dodatek na 11 listopada*

55 Kiedy mama idzie do sądu *Aleksandra Rybińska*

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **ROZMOWY O LASCE (MARSZAŁKOWSKIEJ)**
Krzysztof Feusette

9 **CO BY TU JESZCZE ZROTOWAĆ, PANOWIE?**
Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **GŁUPIA POWTÓRKA Z PASKUDNEJ HISTORII**
Jan Pietrzak

12 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

13 **OSTATECZNA REGULACJA**
Bronisław Wildstein

14 **WALIZKA ŻANETY STEINER-BOGDASZEWSKIEJ**
Michał Korsun

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **SUWERENNOŚĆ**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **KOŁATKA, GŁUPCZE**
Samuel Pereira

TEMAT TYGODNIA

20 **ZEMSTA TOTALNA**
Marek Pyza, Marcin Wikło

KRAJ

25 **ZDERZENIE ZE ŚCIANĄ**
Stanisław Janecki

28 **ZAMACH NA CPK**
Konrad Kołodziejski

31 **Z ADAMEM BOROWSKIM**
rozmawia Jacek Karnowski

34 **POWRÓT BALCEROWICZA**
Jakub Augustyn Maciejewski

36 **LEWICY DROGA DO WSPÓŁRZĄDZENIA**
Dorota Łosiewicz

38 **KPO: MAŁO CHĘTNYCH NA ZNACZONE UNIJNE PIENIĄDZE**
Dariusz Matuszak

OPINIE

40 **KOŚCIÓŁ KROCZĄCY W NIEZNANE**
Grzegorz Górny

ŚWIAT

49 **KALIFAT ROSJA**
Marek Budzisz

52 **CORAZ TRUDNIEJ O (AMERYKAŃSKIEGO) ŻOŁNIERZA**
Jan Rokita

55 **KIEDY MAMA IDZIE DO SĄDU**
Aleksandra Rybińska

HISTORIA

58 **OBYWATELE NIE CHCĄ IMPERIUM (1632–1648)**
Andrzej Nowak

SIECI KULTURY

61 **ŚPIEWAJĄCE WEJŚCIE**
Jolanta Gajda-Zadworna

63 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

64 **WYWOŁYWANIE POLSKICH DUCHÓW**
Maciej Walaszczyk

66 **WYCHODEK I RÓŻA**
Robert Tekieli

67 **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli

68 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

PODRÓŻE

76 **MOJE SMAKI: MILENA STASZUK**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

77 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

78 **TAKA POLSKA TEŻ JEST**
Alina Czerniakowska

80 **POLONEZ LISTOPADOWY**
Leszek Długosz

81 **MIGRACJA**
Lech Makowiecki

82 **UCIEKANIE**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Reklama | 47/0923/F

eprasa.pl 383475ee03

ALIOR BANK

konto z Alior Pay

Z Alior Pay KONTO I KARTA

COFAJ PŁATNOŚCI
Z ALIOR PAY
W ALIOR MOBILE
NA 30 DNI ZA DARMO.
RRSO: 7,9%

za 0 zł przez rok!

www.aliorbank.pl

Rzeczywista Roczna Stopa Oprocentowania (RRSO) dla limitu kredytowego Alior Pay (dalej: limit) w promocji „Powroty za mniej" wynosi 7,9%, całkowita kwota limitu (bez kredytowanych kosztów): 2700 zł, całkowita kwota do zapłaty: 2821,31 zł, oprocentowanie stałe: 8,91%, całkowity koszt limitu: 121,31 zł (w tym odsetki: 121,31 zł, miesięczna prowizja za spłatę kwoty transakcji Alior Pay w ratach: 0 zł, tj. 0 zł rocznie, przy założeniu, że klient realizuje 1 transakcję Alior Pay w wysokości 2700 zł w dniu zawarcia umowy o przyznanie limitu i spłaci ją w 11 ratach miesięcznych, w tym 10 równych rat w wysokości 256,49 zł, ostatnia rata: 256,41 zł). Decyzja o przyznaniu limitu i jego wysokość zależą od zdolności kredytowej klienta. Kalkulacja dokonana na 1.10.2023 r. na reprezentatywnym przykładzie. Warunkiem skorzystania z ww. promocji jest zawarcie w okresie jej trwania umowy o limit. Aby zawrzeć umowę o limit, należy posiadać w Alior Banku konto osobiste w PLN oraz aplikację Alior Mobile. W promocji „Lepiej z Alior Pay" nie naliczymy miesięcznych opłat za prowadzenie konta osobistego i obsługę karty debetowej przez 12 miesięcy po zawarciu umowy o limit. Ww. promocje obowiązują od 1.10.2023 r. do 31.01.2024 r. Regulaminy powyższych promocji, informacje o limicie, regulaminy kont, kart debetowych i kanałów elektronicznych, Taryfa opłat i prowizji dla Klientów Indywidualnych oraz słownik usług reprezentatywnych dostępne są w placówkach Alior Banku SA i na www.aliorbank.pl.

eprasa.pl 383475ee03

Sygnalista nadaje

Znowu ujawnił się Kazimierz Marcinkiewicz. Były premier, obecnie 64-letni mężczyzna, ogłosił w internecie zaręczyny „ze swoją ukochaną Martyną" oraz wyjawił „Faktowi", że „czuje się absolutnie wyśmienicie, jak młody Bóg i jest zakochany na zabój". Dawny polityk Prawa i Sprawiedliwości często powtarza, że to nie on się zmienił, a jego była partia, dlatego podobno przeszedł do opozycji. Szukamy w pamięci PiS, w którym ten rodzaj infantylnego celebryctwa znalazłby uznanie, i nie znajdujemy. Źródła szaleństwa są chyba jednak wewnętrzne.

A rachunki przychodzą nawet po latach. Gwiazdor muzyki pop Michał Wiśniewski kilka lat temu pożyczył w opanowanym przez złodziei SKOK Wołomin 2 mln 800 tys. zł. Podał przy tym nieprawdziwe dane o własnej sytuacji majątkowej. Teraz usłyszał (jeszcze nieprawomocny) wyrok za, jak to ujmują tabloidy, „wyłudzenie pożyczki": półtora roku więzienia i 80 tys. zł grzywny. Piosenkarz w oświadczeniu orzekł, że jest niewinny, a ta informacja „spadła na niego jak grom z jasnego nieba". Zgrabniej by zabrzmiało, gdyby napisał, że jak worek z 3 mln zł.

Jeszcze gorzej, gdy celebryci, także celebryci ekonomiści, biorą się za poważne sprawy. W mediach przypomniano prognozy, które ***Ryszard Petru*** głosił rok temu. „Inflacja w lutym może sięgnąć 25 proc. Powtórzę: 25 proc.!" – twierdził 3 listopada 2022 r. A jak było naprawdę? Według najnowszych danych (za październik 2023) inflacja wynosi już 6,5 proc, a w miesiącu wskazanym przez posła elekta było to 18,2 proc. Pośmiać się można, lecz pamiętajmy: bazując na takich histerycznych prognozach, opozycja chciała dokręcić Polakom śrubę, godząc się także na mocny wzrost biedy i bezrobocia.

Media, które kolportowały strachy pana Petru, dziś nie zdobędą się na słowo komentarza, choć, jak zwrócił uwagę w niedawnej rozmowie z tygodnikiem „Sieci" prezes NBP prof. Adam Glapiński, wielu ludzi na ich podstawie podjęło złe decyzje, straciło pieniądze. Dziś media ekonomiczne płaczliwie jęczą, że „afera wizowa uderzyła w przedsiębiorców", bo firmy zostały „bez niezbędnych pracowników z zagranicy, zagrożone są inwestycje". Nazwiska autorów kłamstw, którzy drobne nieprawidłowości, wykryte przez służby państwa polskiego, rozdęły do kosmicznych rozmiarów, oczywiście nie padają.

W ogóle za dużo pluralizmu w Polsce. „Jak naprawić TVP. [Danuta] Holecka i inni wciąż nadają na opozycję. Kiedy to się zmieni?" – pyta zaniepokojona „Polityka". Zabawne, że trzecie pokolenie (wiadomo czego) nie dostrzega, jak bardzo się upodobniło do swoich dziadków i babć, których też do szewskiej pasji doprowadzały szczeliny w systemie monopolu medialnego. Ci ludzie w warunkach prawdziwego pluralizmu, realnej różnorodności, zderzenia opinii po prostu nie umieją funkcjonować. Dlatego stan, w którym w zasięgu pilota są stacje prorządowe, antyrządowe i próbujące stać pośrodku nazywają „reżimem", a za demokrację uważają front przykrojony równo jak pałka zomowca.

Dlatego dobrze, że Jerzy Szmit, działacz PiS z Olsztyna, złożył zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa w związku z cyklem artykułów „Gazety Wyborczej" pt. „Państwu już dziękujemy", w których opublikowano

Życie celebrytów w ogóle nie jest proste. Aktor Tomasz Karolak ujawnił, że by „wieść szczęśliwe życie", miesięcznie potrzebuje ok. 40 tys. zł. Nie ma sensu pastwić się nad kosmiczną dla normalnych ludzi sumą, ale o tym, co to znaczy szczęśliwe, dobre życie, warto by pogadać.

eprasa.pl 383475ee03

imiona i nazwiska osób, pełniących za rządów Prawa i Sprawiedliwości różne funkcje publiczne. We wspomnianych tekstach zawarto też zachętę, by informować „GW" o kolejnych osobach, które można na taką listę proskrypcyjną wpisać. Szmit w zawiadomieniu do prokuratury zaznacza, że wspomniane teksty „GW" to „stosowanie groźby bezprawnej wobec grupy osób z powodu jej przynależności politycznej" (art. 119 k.k.), a także „znieważenie grupy ludności z powodu jej przynależności narodowej, etnicznej, rasowej, wyznaniowej albo z powodu jej bezwyznaniowości" (art. 257 k.k.). Potrzeba nam dziś ludzi odważnych i bijących się o praworządność, sprzeciwiających się nagonkom.

Mają one konkretne skutki. Okazuje się, że nawet uroczystość Wszystkich Świętych jest okazją do politycznego ataku. Doświadczyła tego ***prof. Krystyna Pawłowicz***. Sędzia Trybunału Konstytucyjnego spotkała się z falą agresji wymierzoną w swoją stronę podczas odwiedzania grobów bliskich. „W tym roku na cmentarzach, które odwiedzałam w Warszawie, spotkałam się ze wyjątkową falą agresji i obelg. Też ze strony osób starszych, widzów TVN. To efekt stałego szczucia na mnie przez obecną jeszcze opozycję, wzmożonego i ośmielonego dodatkowo sukcesem wyborczym partii nienawiści" – napisała Pawłowicz.

O podobnych atakach na siebie i swoją rodzinę mówiła też w TVP w programie Bronisława Wildsteina prezes Trybunału Konstytucyjnego Julia Przyłębska. I podkreśliła: „To jest wejście na taki poziom, który w żadnym cywilizowanym kraju nie jest znany. A na to jest przyzwolenie, bo niektórzy politycy przyzwalają na to, wręcz zachęcają do takiego zachowania". I sekundujące im media, także te z niemieckim kapitałem, które u siebie nigdy na coś takiego by sobie nie pozwoliły.

To, jak należy pisać o politykach szykującej się do władzy opozycji, pokazuje „Fakt". Sylwetkę ***Szymona Hołowni*** ilustruje jego zdjęcie z kotkiem, a wszystkie wypowiedzi sąsiadów utrzymane są w chwalczym tonie. Pani Teresa opowiada, że widziała, jak wyskoczył z auta, by pomóc staruszce, która przewróciła się na rowerze, że gdy zimą palił się dom, Hołownia pojawił się z pączkami i gorącą herbatą. Czekamy na relacje o pierwszych uzdrowieniach.

Jest również słowo dla wyborców Prawa i Sprawiedliwości. Ewa Woydyłło-Osiatyńska, psycholożka i terapeutka uzależnień, na antenie orzekła, że „sieroty po PiS będą żyły wśród nas i nie możemy być macochą. W tym sensie trzeba pozwolić im dać głos". I dalej: „Zniknie największa tuba propagandowa TVP i TVP Info. Teraz ci sami ludzie, którzy się nasączyli przez osiem lat tymi szkalowaniami o różnych ludziach, jakimś Tuskiem Niemcem, złodziejem Owsiakiem itd., zaczną słuchać nagle innego przekazu. To w tym jest nadzieja". Niecierpliwie czekamy na prawdę o stosunku Tuska do Niemiec. Przedstawią go jako Wallenroda?

Z mgły wyłania się też prawdziwy program opozycji. Będzie jak w dowcipie o Radiu Erewań i rowerach, które nie rozdają, lecz kradną na pl. Czerwonym. Widać desperackie próby wycofywania się z obietnic pod pretekstem rzekomo złego stanu budżetu i finansów publicznych. Kłopot w tym, że nikt, absolutnie nikt, tego nie potwierdza. Lecz jednego nowa władza ludowa nam nie poskąpi: wódki. ***Michał Kołodziejczak*** ujawnił jeden ze swoich celów w Sejmie. Zapowiedział, że zamierza walczyć o legalizację produkcji bimbru. Dowodził, że „chodzi też o pewien rodzaj wolności, podmiotowości rolnika". To się układa w pewną całość: wszystkie wolności zabiorę, ale tę jedną, do upijania się do nieprzytomności, „Polaczkom" zostawią. Taki obywatel nie będzie niebezpieczny.

Jeśli tęczowa koalicja przejmie władzę, niejeden z dziś rechoczących jeszcze zapłacze. Skończy się jak w Teatrze Dramatycznym w Warszawie. Wybierana przy aplauzie środowiska na dyrektorkę skrajnie lewicowa dyrektor Monika Strzępka, która rozpoczęła rządy wprowadzeniem do teatru „złotej waginy", zwalnia właśnie prawie połowę zespołu aktorskiego. „Trudno się pracuje z ludźmi, którzy wyznają zupełnie inny system wartości. Dla mnie to w zasadzie niemożliwe" – stwierdziła w wywiadzie dla Onetu. Strzępka oskarża również poprzedniego dyrektora, że pozostawił teatr w podobno złej sytuacji finansowej, a ona sama, przystępując do konkursu, o niczym nie wiedziała. Oskarżyła też stołeczną Akademię Teatralną, że jej absolwenci są „słabo przygotowani do pracy we współczesnym, poszukującym teatrze artystycznym" – i nie mają „pewnych jakości performerskich oraz zaangażowanej, krytycznej postawy". I pomyśleć, że jeszcze niedawno był to dobry teatr.

Z tymi wynurzeniami łączy się nam jakoś pojawienie się Tomasza Terlikowskiego przebranego za biskupa na okładce skrajnie wrogiego prawicy miesięcznika „Press". I żeby było jasne – w tym piśmie bohaterowie okładek zwykle je autoryzują. W samym wywiadzie Terlikowski martwi się oczywiście o Kościół i narzeka, że niektórzy nazywają go Judaszem. Rzeczywiście, przykre.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor x2, Fratria

eprasa.pl 383475ee03

Rozmowy o lasce (marszałkowskiej)

KRZYSZTOF FEUSETTE

Hołownia: To nie jest tak, że ja się popłaczę, jak nie dostanę. Ale, proszę was, błagam, zaklinam w imię polskiej demokracji, praworządności oraz pamięci, o tym, co zrobił dla was kanał TVN, którego jestem nieodrodnym synem – dajcie mi marszałka Sejmu!

Tusk: Proszę się nie mazać, to nie jest czas na krew, pot i łzy. My się teraz mamy cieszyć oraz rozliczać.

Hołownia: Ja chcę marszanda Sejmu! To znaczy marszandka! Nie wiem, czemu mówi się „marszałek", skoro nawet Francuzi śpiewają w hymnie: „Marszand, marszand – z dzieła partii...".

Tusk: De la partie, kolego. Proszę zająć miejsce i zamienić się w słuch. A zatem cieszę się, że się spotykamy. Spotykamy się, bo się cieszymy. Na początek dowcip, który wprost nawiązuje do naszej sytuacji. Dzwoni Icek do rabina w środku nocy, rabin odbiera, a Icek mówi: „Rebe? Czy rebe dawał ogłoszenie do gazety?". „Tak". „Że rebe szuka kogoś, kto zna cztery języki i uczy gry na skrzypcach?". „Tak". „Aha. No, więc, rebe, ja dzwonię tylko po to, żeby powiedzieć, żeby rebe na mnie nie liczył...".

Czarzasty: Nie rozumiem. Mamy na nic nie liczyć?

Tusk: Aż tak to nie. Ale powściągać się trzeba. Rząd nie jest z gumy, więcej krzeseł nie wejdzie. Jeszcze jeden kawał. Szpital, pielęgniarka pyta starszą panią: „A stolec był?". „Słucham?!". „Pytam, czy stolec był?". „Nie rozumiem!". „Stolec! Był?!". „A, był jakiś doktor, ale ja nie wiem, jak się nazywał...". Nie chcę, żebyście i wy musieli kiedyś zapytać sami siebie: a stolec, przepraszam, stołek – był?

Kosiniak-Kamysz: Przecież my nie dla siebie, tylko dla Polski.

Tusk: Jak czterej jeźdźcy apokalipsy. I dlatego musimy się dogadać, co najmniej co do stanowiska marszałka Sejmu. Pan Szymon chce i lewica chce. A gdzie dwóch się bije, tam trzeci... Panie Włodzimierzu, proszę przestać mi szeptać do ucha, że pan nie chce! Ile można? Zgłoszono pana i jest musztarda po herbacie. Teraz to już trzeba zrobić rotacyjność. Jeśli dobrze, czyli konstytucyjnie, demokratycznie, transparentnie i praworządnie, ustalimy zasady rotacji na państwowym stanowisku numer 2, to nie będziemy musieli martwić się o kondycję demokracji. Pierwszy marszałek obejmie wybory samorządowe i europejskie, kolejno w kwietniu i czerwcu 2024 r., drugi – wybory prezydenckie w 2025 r., które obiecałem Rafałowi. Do tego momentu musimy wytrzymać razem.

Czarzasty: Ale jak, skoro tu się prawie nic nie zgadza. 500+ oni nie chcą, 800+ tym bardziej, to jak można mówić, że nic, co dane, nie będzie zabrane? Z kolei wiek emerytalny chcą podwyższać, a wy się nie wzbraniacie. To co my wpiszemy do umowy?

Tusk: Ogólnie, że j...ć PiS. Coś o mieszkaniach, że więcej i taniej. I że marszałek rotacyjny. Teraz konkrety, jak wy mówicie, programowe. Ja, to znaczy osobiście moja osoba, idę na premiera. Kosiniak-Kamysz na wice, bo chce. Czarzasty na wice, bo nie chce. Hołownia na obrotowego, to znaczy rotacyjnego marszałka. Rotacja będzie wyglądać tak, że najpierw bociana dziabnie szpak, a potem będzie zmiana i szpak dziabnie bociana. Stąd propozycja, panie Szymku, żeby pan sobie wziął tego marszałka w trzecim roku kadencji. Przyuczy się pan, a przy okazji nie upolityczni tego stanowiska, startując po nim na prezydenta. Jak komuś coś nie pasuje, możemy zrobić losowanie, jak w UEFA albo FIFA. Na żywo u Moniki Olejnik apolityczny Jerzy „Sepsa" Owsiak wyciągnie z kapelusza rzecznika Bodnara numerki wyznaczające kolejność obsady stanowiska drugiej osoby w państwie. To oczywiście żart, bo ja, wiecie, lubię żartować, haratać i likwidować. Jakieś pytanka?

Kolenda-Zaleska: Co pan robi, że pan tak świetnie wygląda? Na konferencji prasowej czterech liderów opozycji demokratycznej, to znaczy władzy, ale też demokratycznej, w odróżnieniu od opozycji niedemokratycznej czy niedemokratycznego prezydenta, no, w każdym razie, wydawał się pan najniższy, a jednocześnie patrzył z góry na pozostałych. Jak pan to robi? Ile to pana musiało kosztować?

Tusk: Nic nie kosztowało, gdyż płacę tylko za to, czego wymagam. A wymagam jednej listy. To znaczy, wróć, jednej rady ministrów pod przywództwem jednego prezesa, jednej partii, jednego pogromu, wróć, programu. Inaczej to się rozsypie. Dlatego nie możemy obecnie skupiać się na celach programowych, gdyż te, oprócz powszechnej w naszych szeregach chęci zamknięcia ryja dziennikarzom prawicowym oraz domknięcia wymiaru sprawiedliwości ludźmi oddanymi nam bardziej niż ich dziadkowie bezpiece, mamy skrajnie rozbieżne. Na razie nie musimy realizować niczego. Trzecia Droga nie musi wprowadzać dobrowolnego ZUS, gdyż „dobrowolny" oznacza dla nich coś zupełnie innego niż dla przeciętnego Polaka, a my z kolei dopóki mamy Trzecią Drogę, nie musimy zajmować się aborcją. Za chwilę rozdzielimy resorty. Tylko uprzedzam: jeśli do jednego stolca, to znaczy stołka, będzie więcej niż jeden kandydat, losujemy z kapelusza i po ciemku. Kolega Kierwiński ma już nawet przygotowane karteczki...

eprasa.pl 383475ee03

WIEŻA BAB

Co by tu jeszcze zrotować, panowie?

PSL-owcy pomysł rotacyjnego marszałka Sejmu głównie wyśmiewają. Być może dlatego, że pamiętają historię Kukiza

Przyszła koalicja rządowa od dnia wyborów próbuje się dogadać i idzie im jak po grudzie. Problemem jest podział stanowisk, kwestie programowe, a po mediach pielgrzymują politycy aktualnej opozycji, którzy od świtu do nocy opowiadają głównie o tym, jak to się nie zgadzają z kolegami, z którymi mają współrządzić.

Właściwie na nic nie ma zgody współkoalicjantów, którzy na razie są zgodni tylko w dwóch sprawach: że razem przejmą władzę i że premierem ma być Donald Tusk (choć tu nosem kręci partia Razem, ale Adrian Zandberg przyznał, że umie liczyć i rozumie, że ma niewiele do gadania). Poza tym zgody głównie nie ma.

Np. wszystkie partie układanki chciałyby mieć marszałka Sejmu. I tu liderzy tych ugrupowań wpadli na pomysł, by ta funkcja była rotacyjna. W zależności od pory dnia rotacyjnych marszałków jest dwóch (Szymon Hołownia i Włodzimierz Czarzasty) lub więcej (jeszcze ktoś z PO, np. Borys Budka, a może i ktoś z PSL, np. Piotr Zgorzelski). Marszałek, który w danej chwili nie jest marszałkiem, będzie wicemarszałkiem. Skoro rotacyjnie ma być w Sejmie, to dlaczego nie w Senacie? Pojawił się więc pomysł, by i marszałek Senatu miał charakter rotacyjny.

I tu Paweł Kukiz przypomina, że podobne rozwiązanie miało być wprowadzone w kadencji 2019–2023, kiedy startował on z list PSL, a funkcja wicemarszałka miała być wymienna pomiędzy jego ugrupowaniem a ludowcami. „Jeżeli to będzie umowa ustna – tak jak moja umowa z PSL – to może się tak samo zakończyć, jak moja umowa z PSL w 2019 r." – powiedział. „Wtedy funkcja wicemarszałka miała być rotacyjna pomiędzy PSL a Kukiz'15 i kiedy dziennikarz [...] zapytał wicemarszałka Piotra Zgorzelskiego, co z funkcją wicemarszałka i kiedy kukizowiec zastąpi ludowca, to on wtedy odpowiedział, że »rotacyjna to może być kosiarka«" – przypomniał Kukiz w rozmowie z PAP. Zaznaczył on, że jeśli ta umowa nie zostanie spisana, nici z rotacji, a nawet jeśli wszystko będzie na papierze, to i tak w polskim prawie prawdopodobnie nie będzie można egzekwować umowy politycznej, więc ci, którzy liczą, że się zrotują, mogą się spodziewać, że będą potraktowani jak kosiarka do trawy.

PSL-owcy w mediach pomysł rotacyjnego marszałka głównie wyśmiewają. Być może dlatego, że pamiętają historię Pawła Kukiza. Proponują więc, np. ustami Urszuli Pasławskiej, żeby rotacyjne było także stanowisko premiera rządu. Jednak tu niekoniecznie trafiają jak kulą w płot. Bo jeśli wziąć pod uwagę słowa Donalda Tuska z 2022 r. z Lublina: „Dajcie mi po wyborach 400 dni i zrobię porządek żelazną miotłą. A potem niech stery przejmą ludzie o delikatniejszych zamiarach", to lider Platformy sam zakłada, że ktoś go zrotuje – nie mylić z wyroluje, bo rolować to Tusk, ale nie Tuska.

Biorąc pod uwagę trudności z ustaleniem bazy programowej nowego rządu, ktoś mógłby wpaść na pomysł, by także kwestie programowe partii tworzących koalicję rządzącą były rotacyjne. I tak od stycznia do kwietnia rząd mógłby realizować program liberalny, od maja do sierpnia ten bardziej konserwatywny – Trzeciej Drogi, a od września do grudnia realizowano by hasła lewicowe i socjalne. W pierwszej połowie roku likwidowano by programy socjalne, a na koniec roku je wprowadzano. Niedziele handlowe przypadałaby w tych miesiącach, w których realizowano by postulaty liberalne, a w innych miesiącach byłyby wolne od handlu. Aborcja na życzenie do 12. tygodnia ciąży byłaby dozwolona we wrześniu, październiku, listopadzie i grudniu, zakazana w miesiącach przypadających Trzeciej Drodze, a w styczniu, lutym marcu i kwietniu nie byłoby wiadomo, jak jest, bo, jak wiadomo, PO ma problem z dotrzymywaniem swoich obietnic.

Zupełnie jednak nie wiem, jak ułożyć rotacyjny system podatkowy, bowiem w jednym roku powinien być spójny. Może więc w pierwszym roku rządów swoje pomysły realizowaliby liberałowie, a w drugim obowiązywałaby progresja podatkowa, której chce Lewica. Ten scenariusz jest jednak o tyle optymistyczny, że zakłada, iż ta egzotyczna koalicja od Sasa do Lasa przetrwa dłużej niż rok.

Dorota Łosiewicz

Nie lubią już Grety Thunberg

Greta Thunberg była nominowana do pokojowego Nobla, „Time" umieścił ją na okładce, kreowano ją na bohaterkę, która poświęciła swoje dzieciństwo dla walki z kryzysem klimatycznym. Wszystko to już przeszłość, a propalestyńskie oświadczenia publikowane przez firmowany jej nazwiskiem międzynarodowy ruch klimatyczny spotkał się z bardzo ostrą krytyką. Automatycznie Greta stała się dla lansujących ją dotąd mediów i środowisk opiniotwórczych niewiarygodna, a nawet groźna. Ministerstwo Edukacji Izraela usunie wszelkie wzmianki na jej temat z programu nauczania, a udział w jej inicjatywach będzie traktowany jako wspieranie terroryzmu.

Jak do tego doszło? W połowie października Greta Thunberg zjawiła się w Londynie, gdzie odbywał się międzynarodowy szczyt gromadzący decydentów odpowiadających za wydobywanie paliw kopalnych. W tym samym czasie Thunberg wstawiła na portal X (d. Twitter) posta solidaryzującego się z Palestyńczykami. Wszystko w trakcie trwających w Izraelu gwałtownych działań wojennych, w których śmierć poniosło tysiące cywilów. Na zamieszczonym zdjęciu jedna z jej towarzyszek trzymała pluszową ośmiornicę. Po kilku godzinach szwedzka aktywistka usunęła wpis i opublikowała kolejną wiadomość o identycznej treści, ale już bez tej zabawki. Wyjaśniała potem, że zrobiła to, ponieważ pluszak może być interpretowany jako antysemicki symbol. Został on bowiem skojarzony z grafikami umieszczanymi na okładkach „Protokołów mędrców syjonu", apokryfu kolportowanego w XIX w. Tłumaczyła, że pluszak służy dzieciom autystycznym do wyrażania uczuć, a w kolejnych wpisach potępiła brutalność Hamasu i antysemityzm. Równocześnie jednak na Instagramie udostępniła niemieckojęzyczny post oskarżający Izrael o ludobójstwo i utrzymywanie w państwie żydowskim „systemu apartheidu".

Działania szwedzkiej aktywistki doprowadziły do dużego zamieszania wśród klimatystów. „Nieodpowiedzialne oświadczenia Grety Thunberg i na temat ataku terrorystycznego na Izrael niszczą wielkie zaufanie, jakie wielu ludzi, zwłaszcza młodych, pokłada w integralności ruchu" – oświadczyła Luisa Neubauer z niemieckiego oddziału organizacji ekologicznej Fridays for Future. Niemiecka działaczka zapewniła też, że potępia palestyński terror i wyraziła nieograniczoną solidarność z narodem żydowskim. W Polsce ostro zareagowała „Gazeta Wyborcza". „Czy nastolatka z aspergerem, autyzmem, zaburzeniami odżywiania i nerwicami powinna mówić ludzkości, jak żyć?" – zapytała szyderczo w internecie. Legenda Grety kończy się bardzo szybko.

Maciej Walaszczyk

Fot. Grety Thunberg/Instagram

Bezpieczna przystań dla hitlerowców

Skandal, który wybuchł po tym, jak parlament Kanady owacjami na stojąco uhonorował 98-letniego członka SS Galizien Jarosława Hunkę, będzie miał nieoczekiwane konsekwencje. Otóż rząd Justina Trudeau ma zamiar ujawnić drugi – nieznany dotąd – raport poświęcony zbiegłym hitlerowcom, którzy znaleźli bezpieczną przystań w Kanadzie.

Opracowanie dokumentacji powierzono w latach 80. komisji pod kierownictwem sędziego Julesa Deschênesa po tym, jak Centrum Szymona Wiesenthala ujawniło listę 217 nazistów, którzy mieli schronić się po wojnie w Kanadzie. Ustalono wówczas, że 86 proc. osób z tej listy nigdy do Kanady nie dotarło, jednak przy okazji archiwalnych kwerend dokonano wielu innych odkryć, z których powstały – jak się później okazało – dwa raporty. W pierwszym, jawnym, znalazły się nazwiska 774 osób podejrzanych o zbrodnie wojenne. Spośród nich 448 nigdy nie przyjechało do Kanady, w przypadku 154 nie znaleziono dowodów na popełnienie przez nich przestępstw, a w kolejnych 131 sprawach okazały się one niewystarczające. W latach 1987–1992 tylko cztery osoby podejrzewane o zbrodnie wojenne udało się postawić przed sądem, ale nie doprowadzono do żadnego skazania. W kilku innych przypadkach, gdy podejrzanym zarzucano złamanie kanadyjskich przepisów migracyjnych, umożliwiono im wyjazd z kraju.

Teraz poinformowano, że istniał jeszcze jeden raport, zawierający dodatkowe 883 nazwiska – z nieznanych przyczyn został on utajniony. Przypuszcza się, że był to efekt zabiegów wpływowej w Kanadzie diaspory ukraińskiej, a dochodzenia wobec osób wymienionych w drugim raporcie, w tym poszukiwanie w innych krajach dowodów zbrodni wojennych, zostały w praktyce zablokowane lub były prowadzone bardzo opieszale.

W 1998 r. w Stanach Zjednoczonych przyjęto specjalną ustawę nakazującą ujawnienie wszelkich danych archiwalnych, również personalnych, osób podejrzewanych o dokonanie przestępstw podczas II wojny światowej. W Kanadzie, odmawiając podjęcia podobnych kroków, powoływano się na ochronę danych osobowych. Międzynarodowy skandal, który wybuchł przy okazji wizyty Zełenskiego, spowoduje, że kontynuowanie tej polityki nie będzie już możliwe.

Marek Budzisz

Fot. Cara MacMedia/Shutterstock.com

eprasa.pl 383475ee03

Drogi wiatr

Ambitne plany zapewnienia Europie energii odnawialnej z wiatru okazują się – co dość łatwo było przewidzieć – nieopłacalne. Koszty budowy morskich farm wiatrowych rosną bowiem w tak zawrotnym tempie, że wyprodukowany w nich prąd będzie zbyt drogi dla odbiorców.

Akcje niemieckiego koncernu Siemens Energy, należącego do grupy czołowych producentów turbin wiatrowych na świecie, spadły w ostatnich dniach o 40 proc., a więc do najniższego poziomu w historii tej firmy. Stało się tak po ujawnieniu informacji, że Siemens prowadzi negocjacje z rządem Niemiec w sprawie udzielenia jej pakietu ratunkowego w wysokości 15 mld euro. Według doniesień firmie grożą wielomiliardowe straty z powodu usterek w produkowanych przez nią turbinach. Problem jest jednak znacznie szerszy, bo na kwestie techniczne nakładają się gwałtownie rosnące koszty budowy infrastruktury, co mocno obniża opłacalność tego rodzaju przedsięwzięć.

Z powodu słabej rentowności coraz więcej firm energetycznych zawiesza swoje projekty w dziedzinie energii odnawialnej. Przykładowo latem br. szwedzki gigant energetyczny Vattenfall postanowił wstrzymać prace nad elektrownią Norfolk Boreas w Wielkiej Brytanii, która miała zasilać 1,5 mln domów. Vattenfall umówił się początkowo na cenę 37,35 funtów za 1 MWh, jednak po ponownej kalkulacji kosztów zmienił zdanie i zażądał od brytyjskiego rządu dodatkowej dotacji, aby jego inwestycja miała sens finansowy. Jeśli Londyn nie dopłaci, elektrowni nie będzie.

Również duński Ørsted ostrzega, że porzuci plany budowy siedmiu wielkich farm wiatrowych w USA dla 2 mln domów, jeżeli amerykańskie władze nie zrekompensują jej rosnących strat. Firma odstąpi też od realizacji podobnego projektu w Wielkiej Brytanii.

Ekonomiści zajmujący się energią ostrzegają, że spowolnienie w branży może zagrozić dotychczasowej polityce klimatycznej. Wielka Brytania postawiła sobie za cel pięciokrotne zwiększenie mocy morskich elektrowni wiatrowych do poziomu 50 GW, jednak prawdopodobnie nie uda się go osiągnąć do końca tej dekady, co może wywrócić plan ograniczenia emisji CO_2 do 0 w 2050 r. Podobny los może czekać strategię klimatyczną Joe Bidena, który wyznaczył amerykański cel dla morskiej energetyki wiatrowej na poziomie 30 GW do 2030 r. Analitycy spodziewają się jednak dwukrotnie niższego wyniku.

Prognozy dla branży wiatrowej nie są dziś najlepsze. Mimo to władze Unii Europejskiej twardo obstają przy ambitnym projekcie klimatycznym. Dlatego Siemens może się spodziewać, że jego straty i tak zostaną wyrównane dzięki pomocy niemieckiego rządu. Bo w tym przypadku koszty – jak wszystko na to wskazuje – nie grają głównej roli.

Konrad Kołodziejski

Niemcy

Wojna, której nie widzi świat

Sudan

Uwaga światowej opinii publicznej skoncentrowana jest dziś na dwóch konfliktach zbrojnych: w Izraelu i na Ukrainie. Największy kryzys humanitarny związany z wojną panuje dziś jednak w Sudanie, gdzie natychmiastowej pomocy potrzebuje ok. 18 mln ludzi, czyli 20 proc. populacji tego kraju. Spośród nich ponad 4,2 mln osób musiało uciekać ze swoich domów, zaś ok. 1,2 mln znalazło się w sąsiednich państwach, nieprzygotowanych na przyjęcie tak wielu uchodźców.

Powodem katastrofy humanitarnej stała się wojna domowa rozpętana w kwietniu przez dwóch generałów należących do junty wojskowej kontrolującej kraj od zamachu stanu w 2021 r. Na początku walki toczyły się głównie w stołecznym Chartumie, by potem rozprzestrzenić się na inne regiony. Szczególnie ciężka sytuacja panuje w Darfurze, gdzie rywalizacja polityczna obu dowódców nakłada się na stare konflikty plemienne. Dochodzi tam do czystek etnicznych, ponieważ ofiary mordowane są jedynie ze względu na przynależność do konkretnego ludu. Powszechną praktyką są też gwałty na kobietach, nawet 12-letnich dziewczynkach, traktowanych jak łupy wojenne. Poza tym armia rebeliantów dowodzona przez Mohameda Hamdana Dagalo, zwanego Hemedti, werbuje w swoje szeregi nastolatków, których uczy nienawiści, okrucieństwa i mordowania bez skrupułów.

Według oficjalnych danych w trakcie wojny zabito już ponad 9 tys. cywilów. Olbrzymia liczba osób zmarła też z powodu niedożywienia i braku opieki medycznej, ponieważ zniszczono wiele szpitali, brakuje personelu, leków, prądu oraz wody. W obozach dla uchodźców w sąsiednich krajach, takich jak Czad, Egipt i Sudan Południowy, uciekinierom zagląda w oczy głód. Mimo tej katastrofy humanitarnej konflikt w Sudanie nie istnieje dziś w świadomości zbiorowej cywilizowanego świata.

Grzegorz Górny

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Głupia powtórka z paskudnej historii

Jan Pietrzak

Co najmniej zastanawiająca jest strategiczna niemoc państwa niemieckiego w obliczu wyzwań stojących przed Europą. Dwa ich autorskie projekty: „Herzlich willkommen" i Nord Stream okazały się tak niemądre, że aż groźne... Nie tylko dla nich, lecz także dla całej Europy. Wywołały kryzys energetyczny i związaną z nim agresję Rosji na Ukrainę oraz blamaż gospodarczy i społeczny, często widywany na ulicach eleganckich niegdyś miast. Walki uliczne, strzelaniny, płonące sklepy i samochody. Do tego pomniejsze wpadki, wynikające z tępego doktrynerstwa w sprawach klimatycznych. Gwałtowne przerwy w dostawach energii, bo nie przewidziano, że zimą słońce jest mniej sprawne jako źródło ciepła, wydajność wiatraków słabsza niż stare dynamo w rowerze. Nic dziwnego, że Niemcy tak nerwowo poszukują jakiegoś sukcesu.

Umówili się ze sobą, że należy im się status przywódców. Ma to zapewnić radykalna zmiana struktury Unii Europejskiej, czyli federalizacja na wzór Rosji Sowieckiej. Komisarze rządzą od dawna. Brakowało jeszcze egzekutywy. Mam wierszyk na inaugurację według „Lokomotywy" Tuwima. „Siedzi za stołem egzekutywa, ciężka, toporna i pot z niej spływa. Straszna oliwa. Siedzi i nudzi, drzemie i niucha. Wrzask od rozgrzanej mównicy bucha. Lecz choćby przyszło tysiąc atletów, a każdy mądry jak ten z portretu, i każdy nie wiem, jak się napinał, to nie poradzą – taka ruina".

Nic dobrego nie wyjdzie z pomysłu federalizacji, ale co narobią szkody, to nikt im nie odbierze. Wielki potencjał ekonomiczny, technologiczny, kulturowy wspólnej Europy nie zostanie uruchomiony, a wręcz przeciwnie – będzie zdewastowany przez Berlin, nieudolnie zarządzający kryzysami, które sam powoduje. Potrafi dbać jedynie o apanaże brukselskiego dworu. Takie struktury inaczej nigdy nie działały. Mamy głupią powtórkę z paskudnej historii.

Dlatego małpy gibraltarskie, żubry białowieskie, osły dardanelskie, renifery fińskie, byki hiszpańskie, karpackie niedźwiedzie i okoliczne ludzkie stada wołają: NIE! Chcemy wolności! Nie potrzebujemy dyktatorów, potrzebujemy szlachetnej, rozumnej cywilizacji europejskiej, życzliwej Bogu, ludziom i zwierzętom. Precz z dyktatem Berlina!

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Złote, ale intelektualnie skromne

Dominik Zdort

Większych fragmentów ahistorycznego i chamskiego wręcz tekstu (na aperitif: porównanie prawicowych wyborców do małp), opublikowanego kilka dni temu we wpływowym polskim dzienniku, cytować nie będę, bo stek wyzwisk jest tak gęsty, że musiałbym chyba podać go w całości. Przywołuję więc tylko niektóre przykłady określeń zwolenników odchodzącej władzy: ćwierćinteligenci, osobowości histeryczne, tropiciele okultyzmu, sieroty po PRL (ofermy, lebiegi i strachajły), niedouki i gbury w barwach narodowych. W dodatku: rozjuszone koczkodany (znów te małpy!) w konfederatce, koloratce i z karabelką. Zaś ich mentalność tradycjonalistyczna to odpowiednik umysłowości prymitywnej.

Cały ten wywód został owinięty w złotko erudycji i skomplikowanych pojęć oraz opatrzony mądrymi cytatami. Tyle że nawet jeśli to opakowanie wygląda na złote, to intelektualnie jest bardzo skromne. Bo i pojęcia naciągane, i cytaty fałszywie rozumiane. Takie efekciarstwo dla prostaczków. To nie błyskotka, lecz raczej szary papier toaletowy, pochodzący wprost z retorycznej epoki Jerzego Urbana, produkt zastępczy, który pęka zanim spełnił swoją zasadniczą rolę – bo jego twórca sam nie potrafił powstrzymać własnej mentalité primitive.

Nazwiska autora nie wymieniam – czytelnikom tego tygodnika i tak nic ono nie powie, choć publicysta próbuje się lansować na łamach potężnych opozycyjnych (wciąż) mediów. Nie chcę go też obwiniać, bo każdy ma prawo być zakompleksionym człowieczkiem, dawać ujście swoim najniższym instynktom i obrażać tych, którzy właśnie ponieśli polityczną porażkę. Każdy prywatnie może nie mieć klasy, taktu i dobrych manier – cóż, takie cechy kształtują się w młodości. Jak wtedy skorupka nimi nie nasiąknie, to potem inaczej trąci. W normalnej sytuacji ten niemiły zapaszek to tylko osobisty i towarzyski problem nieszczęsnego autora.

Nie każda gazeta musi jednak takie wynurzenia publikować, a w dodatku rekomendować czytelnikom. A ten tekst – hejterskie kuriozum, pełne pogardy i nienawiści wobec ludzi o innych poglądach – poleca redaktor naczelny najważniejszej polskiej gazety, powszechnie uchodzący za intelektualistę. Myślałem, że zachował jakiś potencjał moralny i intelektualny. Lecz wiele wskazuje na to, że w mózgu zwija mu się już tylko wspomniany urbanowski produkt bez wyraźnego koloru.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 383475ee03

BRONISŁAW WILDSTEIN

Ostateczna regulacja

Mec. Kobyła: Otwieram posiedzenie... Krwiii...
Red. Skunks: Co ci jest? Bladyś taki...
Kobyła: Po ośmiu latach... Śmiali się ze mnie, że zemdlałem, kiedy przyszli po mnie pisowscy siepacze, ale byłem tak wycieńczony... Myślałem, że nie doczekam... Krwiii!
Skunks: Kobyła wampir. Ciekawe.
Kobyła: Żarty z życiowych kwestii! Wiadomo, skunks!
Sędzia Justuś: Nie mamy czasu na kłótnie. Posegregować trzeba sprawy, które będziemy wytaczać PiS. Bo mam już [*sprawdza w laptopie*] 1840. skargę, tym razem od koła postępowych gospodyń w Wilanowie, które domagają się przykładnego ukarania za naruszenie europejskiej godności...
Red. Filisterski: Pojedyncze skargi nas pogrążą. Posegregujmy je pod kątem podstawowych zbrodni PiS. Przeciw prawom człowieka, przeciw wolnościom człowieka i przeciw... Zaraz, a jak my się nazywamy?
Kobyła: Zapomnieliśmy o nazwie. Proponuję: Komisja do ostatecznego rozwiązania kwestii pisowskiej. Krwiii...
Skunks: Dobre, ale mam wrażenie, że będzie się źle kojarzyło. Może wprowadźmy regulację zamiast rozwiązania.
Kobyła: Może być. Na jedno wychodzi. Krwiii!
Europoseł Kłoda: Teoretyzujemy. Trzeba praktycznie. Komisja do weryfikacji mediów, wymiaru sprawiedliwości, gospodarki, kultury i polityki.
Kobyła [z uznaniem]: Znać wprawę. [*zaniepokojony*] A co tam się dzieje?
Skunks: To tylko poseł Orzeszkowa jak zawsze rozgrzany, ale... kto ci podbił oko?
Poseł Orzeszkowa [wzburzony]: Nie tylko oko, ale i zęba mi wybili. Dopadli mnie! O zobacz. [*pokazuje Filisterskiemu*]
Filisterski: Pfuj, daj już spokój!
Kobyła [przerażony]: Bojówka pisowska?
Orzeszkowa: Jaka pisowska. Nasi. Powtarzaliśmy, że zamkniemy pisiorów godzinę po wyborach, a tu już dni upłynęły. No właśnie! Wy tu sobie teoretyzujecie, a lud się burzy. Zaraz i was dopadną, a to się nie skończy na wybitym zębie.
Justuś: Wsadzić tak całkiem bez wyroku?
Kobyła: W trybie przyspieszonym najpierw zamknąć, a potem osądzić. Tu by się przydał trybunał...
Filisterski: Liberalny!
Kobyła: O, dobry pomysł. W ogóle to prawo musimy zacząć od sprawiedliwości. Nic, co zostało postanowione przez ostatnie osiem lat, nie jest prawomocne. Krwiii!
Kłoda: Ale wszystkich nie wsadzimy!
Orzeszkowa: Dlaczego?
Kłoda: To jednak kilka milionów wyborców. A głosowanie jest tajne.
Skunks: To kłopot.
Justuś: Jeśli jednak uznamy PiS za zbrodnię przeciw ludzkości...
Kobyła: Doskonały pomysł!
Orzeszkowa: Jutrzejszy numer gazety to będą wyłącznie nazwiska pisowskich przestępców. Jakby ich wsadzić, potem ich wspólników, potem wspólników wspólników i tak dalej. Jakoś by poszło.
Kłoda: Mielibyśmy satysfakcję, ale to nie najważniejsze. Wcześniej czy później wyjdą. My też wsadzaliśmy. Ale nie na wiele się zdało. A jak zweryfikowaliśmy sędziów i dziennikarzy, to na dobre. Okrągły stół tylko zaklepał.
Filisterski: Właściwe podejście. Strukturalne. Trzeba by tylko dobrać kryteria. Każdy, kto współpracował z pisowskim reżimem, ma dożywotni zakaz działania w mediach, wymiarze sprawiedliwości...
Orzeszkowa: I w służbach mundurowych.
Skunks: Nie tylko mundurowych.
Justuś: Traci czynne i bierne prawa wyborcze...
Kobyła: O, to, to.
Skunks: Ale zaraz... Czy tylko ten, kto jawnie współpracował? A ten, kto się nie przeciwstawiał, a nawet sabotował jednolity ruch oporu, niby sekundując mu, a w rzeczywistości pod wydumanymi pretekstami czepiając się bojowników o demokrację... Tacy byli nawet gorsi...
Filisterski: Nie ma gorszych!
Skunks [przestraszony]: Jasne, jasne! [*uspokajając się*] Chciałem tylko powiedzieć, że tacy podstępni też muszą odpowiedzieć!
Justuś: To trudniejsze.
Kobyła: Ale nie niemożliwe. Istnieją paragrafy penalizujące bierność wobec przestępstwa.
Filisterski: A rodziny?
Justuś: To dałoby się to podciągnąć pod powyższy paragraf.
Orzeszkowa: Tylko szybko! Słyszycie szum ludu? On nas rozliczy, jeśli się nie pośpieszymy. Nasz przewodniczący, oby żył wiecznie, telefonował, że w centrali czekają na naszą rozprawę z PiS. Ma być wzorcowa dla wyplenienia populizmu. Projekt musimy wysłać do Brukseli. Naniosą swoje poprawki.
Kobyła: Krwiii!

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 383475ee03

Walizka Żanety Steiner-Bogdaszewskiej

biolożki ze Stacji Badawczej Instytutu Parazytologii PAN w Kosewie

Wielu uważa, że biolog pracuje w laboratorium lub za biurkiem. Faktycznie, spędzamy wiele godzin przykuci do mikroskopów, przeglądając setki próbek lub pisząc raporty, artykuły i prace naukowe, lecz także podróżujemy. By zebrać materiał do badań, zdobyć doświadczenie w innych ośrodkach naukowych czy wziąć udział w polskich lub międzynarodowych konferencjach naukowych. Bardzo lubię ten aspekt mojej pracy w Stacji Badawczej Instytutu Parazytologii PAN w Kosewie. Wraz z mężem mieszkamy i pracujemy w stacji badawczej, w której w warunkach zbliżonych do naturalnych utrzymuje się ponad 400 jeleniowatych. Mieszkają tu też oswojone, wychowane przez nas na butelce jeleniowate, takie jak znana wszystkim łania Gabrysia czy łosie: Gucio i Maja. Dlatego dzisiejszą walizkę pakuję z ciężkim sercem. Z powodu decyzji PAN ośrodek liczący ponad 600 ha zostanie przekształcony m.in. w sad zachowawczy, w którym będą uprawiane jabłonie i łąki kwietne, a mieszkające tu od urodzenia jeleniowate zostaną przekazane do Lasów Państwowych lub prywatnych hodowców. Otrzymaliśmy już wypowiedzenie najmu, w związku z tym jeśli nie uda się powstrzymać nadchodzących zmian i odmienić losu zwierząt, w najbliższym czasie czeka nas przeprowadzka do nowego miejsca. Co znajdzie się w mojej sentymentalnej walizce?

ZDJĘCIA

Zdjęcia szczęśliwych lat spędzonych wraz z mężem w Kosewie, zdjęcia Gabrysi, którą wychowaliśmy z mężem na butelce, portrety naszych cudownych łosi czy oswojonych jeleniowatych oraz akwarelowe portrety naszych psiaków, również tych, których już z nami nie ma. Gdy na nie patrzę, wydają się żywe i realne, tak jakbym znów mogła je dotknąć i pogłaskać.

eprasa.pl 383475ee03

APARAT FOTOGRAFICZNY

Jestem ogromną fanką fotografii, od przyrodniczej do portertowej i rodzinnej. Lubię kolory, emocje i poranki, choć nie jestem rannym ptaszkiem. Moje prace możecie zobaczyć na Fb – @stacjabadawczaippan i @ zainspirowanimazurami.

WIEDZA

Zabiorę ze sobą doświadczenie zdobyte w trakcie pracy naukowej i edukacyjnej. Tu powstawały nasze prace magisterskie oraz powstaje moja praca doktorska. Wielu z was było naszymi słuchaczami na wycieczce edukacyjnej w Kosewie, wykładach czy warsztatach. Mogliście od nas usłyszeć o zwyczajach jeleni oraz porozmawiać z nami o wilkach, lisach i ewolucji. Wszyscy, duzi i mali mówili: „Takie lekcje biologii mógłbym mieć".

BUTELKA GABRYSI

Niełatwo jest wychować jelenia, tak by myślał, że jest jeleniem, a nie człowiekiem. Wymaga to doświadczenia, cierpliwości i mnóstwa empatii. Zabiorę ze sobą butelkę Gabrysi jako dowód na to, że człowiek potrafi wyjść myśleniem poza swój gatunek, jeśli istnieje potrzeba sensownego udzielenia pomocy zwierzakom.

PLAKAT ORGANIZACJI EKOLOGICZNEJ

Wiele osób zaangażowało się w ratowanie stacji badawczej, za co jesteśmy niezmiernie wdzięczni. Szczególnie bliskie mojemu sercu są działania licealistek z Zespołu Szkół Społecznych STO w Mikołajkach, które, tworząc petycję www.OcalJelenie.pl, miały odwagę głośno mówić o tym, co trzeba robić, gdy dorośli milczeli. Serdecznie Wam za to dziękuję!

ZDJĘCIA ŚLUBNE

Mojego męża poznałam w Kosewie, oboje pokochaliśmy to miejsce i siebie. Nasza sesja zdjęciowa musiała odbyć się w tej wyjątkowej okolicy. Szczególnie teraz, osiem lat później, kiedy przyszło mi się pakować i zdejmować zdjęcia ślubne ze ścian, rozumiem, jak ważne jest dla mnie to miejsce.

KOSZYK JABŁEK

Wszystkie komentarze zaangażowanych osób, udostępnienia, wizyty, smakołyki przywiezione dla zwierzaków dodawały nam otuchy w tym trudnym dla nas czasie. Były namiastką normalności i pokazywały, że jest wiele osób, uważających tak jak my, że drugiego tak wyjątkowego miejsca nie ma ani w Polsce, ani w Europie. Jeśli chcecie prześledzić naszą jesienną akcję, zajrzyjcie na Instagram – #uratujdomgabrysi, #niedlalikwidacjistacjibadawczejpan oraz #podarujjabluszkogabrysi

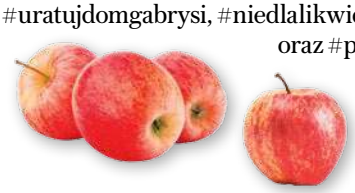

JELENIE

Zignorowanie potencjalnie tragicznego losu zwierząt z Kosewa, w tym tych oswojonych, odchowanych i uratowanych, z którymi jesteśmy szczególnie związani emocjonalnie, budzi w nas poczucie bezradności, ogromny smutek i oburzenie. Mamy nadzieję, że nie zapomnicie o futrzastych mieszkańcach Kosewa. Wierzymy głęboko, że to wyjątkowe miejsce nie zniknie i da się je odbudować.

Wysłuchał i zapisał
Michał Korsun

Fot.: Ż. Steiner Bogdaszewska, P. Bogdaszewski, A. Stachurski, D. Brodzik, Ł. Jakubowski; materiały prasowe stacji badawczej Instytutu Parazytologii PAN w Kosewie, Shutterstock

eprasa.pl 383475ee03

OGNIEM NA WPROST

Dłużnicy na front!

Nowość. Moskale zrobili ostatnio sondaż i wyszło im, że ponad 70 proc. Rosjan mogłoby poprzeć decyzję Władimira P., gdyby ten zdecydował się zakończyć wojnę z Ukrainą „już w tym tygodniu". Sondaż przeprowadziło całkowicie kontrolowane przez Kreml Rosyjskie Centrum Lewady. A świadczy to o tym, że celowo upubliczniono tę informację w przestrzeni publicznej. Pytanie, dlaczego? Czyżby sygnał dla pospólstwa i głubinki (kacapska wiocha), że zbliża się koniec i niby ma to być zgodne z wolą obywateli? Choć obecnie na froncie w kilku miejscach Ruski atakuje, to jednak skutki tych szturmów są prawie żadne, oczywiście poza dużymi stratami. Mimo wszystko, choć propaganda moskiewska fabrykuje multum nieprawdziwych informacji, wygląda na to, że Ruscy zaczynają mieć dosyć wojny. I łaska Boska.

Do moskiewskiej armii powoływano kryminalistów, sięgano po osoby z terenów okupowanych oraz imigrantów – nadszedł czas na nowy pomysł. Myśleli i wymyślili. Teraz od Królewca po Władywostok padł blady strach na dłużników. Dostaną alternatywę. Iście diabelską. Albo spłacą pożyczki, albo czeka ich powołanie do wojska i ewentualnie, ze stosunkowo dużym prawdopodobieństwem, ukraińska kulka. A zwiać też za bardzo nie ma dokąd. Nowy program rekrutacji już jest gotowy i lada chwila dłużnicy staną się „pracownikami kontraktowymi" wojska. Stąd jest już tylko krok do przyspieszonego szkolenia i później pozostaje radzić sobie w maszynce do mielenia mięsa, czy to na froncie zaporoskim, pod Awdijiwką, czy Bachmutem. W ten sposób dłużnicy odpracują zaległości wobec państwa. Statystyczny rosyjski dłużnik ma ok. 40 lat, wykształcenie średnie albo wyższe. I pracuje. Długi Moskali są ogromne, ale niektórzy widzą światło w tunelu. Tamtejszy MON oferuje zamrożenie kredytów albo preferencyjne kredyty hipoteczne. Ale jest jeden warunek. Trzeba wrócić z frontu. Choćby bez nóg, byle żywym.

Jak pokazuje historia i wojna na Ukrainie, największą wartością armii Moskwy jest jej wielkość oraz kompletne nieliczenie się ze stratami. Według ukraińskiego resortu obrony 30 października 2023 r. liczba wyeliminowanych z walki rosyjskich żołnierzy od początku pełnoskalowej wojny, czyli od 24 lutego 2022 r., przekroczyła 300 tys. Rosjanie stracili więc na Ukrainie kilkakrotnie więcej ludzi niż we wszystkich konfliktach, w których ich siły zbrojne brały udział po II wojnie światowej, a więc w ciągu 77 lat. Jak podaje Sztab Generalny Sił Zbrojnych Ukrainy (SZU), do tej pory wyeliminowano dodatkowo 5211 czołgów, prawie 10 tys. bojowych wozów piechoty i transporterów opancerzonych, 7227 dział, 321 samolotów bojowych, 324 śmigłowce, 20 okrętów wojennych, a nawet 1 łódź podwodną. Stąd płynie wskazówka dla krajów sąsiednich i NATO, że do zatrzymania bojców potrzebna jest w pierwszej kolejności bardzo duża ilość amunicji. Jak jej wystarczy, Ruski nie przejdzie. Niestety, Kijów ciągle ma jej za mało.

W Stanach Zjednoczonych, które są największym i najwierniejszym sojusznikiem Ukrainy, sytuacja nie przedstawia się zachęcająco. Poparcie społeczne dla pomocy wojskowej spada od miesięcy, nie przyczyniła się do jego ożywienia nawet wizyta Zełenskiego w Ameryce. Ok. 41 proc. Amerykanów chce obecnie, aby Kongres dostarczył Kijowowi więcej broni – w porównaniu z 65 proc. w czerwcu, kiedy Ukraina rozpoczęła poważną kontrofensywę. Dla krawaciarzy w Kijowie nadchodzą ciężkie czasy. Co na to wojsko? Jedynym przywódcą, który cieszy się jeszcze niesłabnącym autorytetem i poważaniem, jest głównodowodzący gen. Walerij Załużny. Co prawda Zełenski nie chce słyszeć o pokoju bez sukcesu, podobnie jak większość Ukraińców, ale w stolicy coraz więcej polityków twierdzi co innego. Osobiście wątpię, żeby Tryzuby oddali Krym i Donbas za pokój. Jak przesadzą, zawisną na swoich krawatach, bo z armią w boju nie ma żartów.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 383475ee03

Suwerenność

Marta Kaczyńska-Zielińska

Naród polski nigdy w całej swej tysiącletniej historii nie zrezygnował ze swojej podmiotowości. 11 listopada jest symbolem zwycięstwa drugiej niepodległości Polski po 123 latach zaborów. Ten dzień powinien być także – jak pragnął tego prezydent Lech Kaczyński – symbolem przyszłej Polski, która zajmie takie miejsce w Europie, które należy się jej z tytułu bohaterskiej walki w XIX i XX w., na które uczciwie zasłużyła.

11 listopada 1918 r. to data, w której potwierdziło się istnienie prawdziwych polskich elit zabiegających o przywrócenie Polakom państwowości, a egzamin z patriotyzmu zdali polscy politycy. Ogromną rolę odegrali także polscy intelektualiści, tacy jak Żeromski i Sienkiewicz krzewiący umiłowanie do ojczyzny, polscy artyści, zabiegający o sprawę polską na zachodnich salonach, malujący polską historię i kodujący w nutach polską duszę, jak Matejko czy Chopin. Skuteczni okazali się także polscy żołnierze na wszystkich frontach. Polska odzyskała swoją państwowość, bo o nią zabiegała i walczyła.

W II Rzeczypospolitej scalono trzy zabory, stworzono jeden system prawny, państwo zyskało sprawnie funkcjonującą administrację, dysponowało siłami zbrojnymi. Polska rozwijała się, modernizowała i miała szanse stać się silnym, liczącym się europejskim państwem. II wojna światowa zatrzymała te możliwości, pochłaniając miliony ofiar, niszcząc i rabując państwo polskie oraz Polaków rękoma Niemców i Rosjan. Naród okazał się jednak na tyle silny i doskonale zorganizowany, że zdołał stworzyć antyhitlerowskie podziemie, poderwać się do walki w powstaniu warszawskim, przeprowadzić akcję „Burza", a po wojnie stawiać opór komunizmowi. Kolejne pokolenia żyły w Polsce pozbawionej suwerenności, zależnej od Związku Radzieckiego i zdrajców ojczyzny, którzy w imieniu Moskwy zarządzali PRL.

Największy w historii świata ruch społeczny Solidarność i poprzedzające go inicjatywy opozycyjne, zrywy w latach 1956, 1968, 1976 i 1980 doprowadziły do odzyskania przez Polskę suwerenności. Suwerenności obciążonej postkomunizmem, lecz otwierającej zupełnie nowy rozdział w dziejach Polski i Europy. To dzięki odzyskanej przez nas wolności mógł upaść mur berliński i ruszyło domino, kładące kres żelaznej kurtynie.

Po 30 latach III Rzeczypospolitej, po ostatnich ośmiu latach dynamicznego rozwoju, wdrażania reform i zmiany polityki społeczno-gospodarczej, w obliczu przygotowywanych zmian w traktatach regulujących funkcjonowanie Unii Europejskiej, w istocie zmierzających do dewastacji cywilizacji łacińskiej, odebrania państwom członkowskim suwerenności i sprowadzenia Polski do poziomu tworu przypominającego niemiecki land, trzeba stanąć na straży wartości, o które przez wieki walczyli nasi przodkowie. Nasza historia, zwieńczona odzyskaniem niepodległości, zobowiązuje – w imię szacunku dla bohaterów przeszłości oraz naszej przyszłości, wolności, naszego bezpieczeństwa i możliwości dalszego zrównoważonego rozwoju.

UE jest ścisłym związkiem państw niepodległych, o odrębnej tożsamości, historii. Zgodnie z postanowieniami obowiązującego traktatu Unia powinna szanować tożsamość narodową państw członkowskich, nierozerwalnie związaną z ich podstawowymi strukturami politycznymi i konstytucyjnymi, a także z zasadniczymi funkcjami, takimi jak zapewnianie integralności terytorialnej, porządku publicznego i bezpieczeństwa narodowego. Doświadczenia związane z kryzysami, które dotknęły Stary Kontynent w ostatnich latach, pokazują, że Europa może być silna w miarę sprawnego funkcjonowania poszczególnych państw. Każde z nich ma swoje uwarunkowania i potrzeby. Nie można próbować ich ujednolicać. Nie istnieje jeden europejski naród. Próby stworzenia go zawsze będą budzić najgorsze skojarzenia z wyciosanym za pomocą terroru *homo sovieticus*. Europa składa się z pięknie różniących się od siebie narodów, spojonych przez wieki duchem cywilizacji łacińskiej. Różnorodność i wspólnota wartości zapewniły jej rozwój, a ludziom zamieszkującym Stary Kontynent wolność i dobrobyt. W obliczu wojny na Ukrainie i ataku Hamasu na Izrael widać jeszcze wyraźniej, jak irracjonalne są inicjatywy przedstawione w raporcie rozpoczynającym prace nad reformą unijnych traktatów oraz jak bardzo zagrażają one niepodległości Polski i bezpieczeństwu Europy.

Z głębokim smutkiem przyjąłem wiadomość o śmierci

ŚP
PROFESOR
WANDY PÓŁTAWSKIEJ

Damy Orderu Orła Białego, niezłomnej obrończyni cywilizacji życia, wieloletniej bliskiej przyjaciółki Jana Pawła II, urodzonej 2 listopada 1921 roku w Lublinie.

Podczas II wojny światowej współpracowała jako harcerka ze strukturami Lubelskiego Okręgu Związku Walki Zbrojnej. Od lutego 1941 roku więziona na Zamku Lubelskim, przesłuchiwana i torturowana przez Gestapo. Od września 1941 roku więźniarka o numerze 7709 w niemieckim nazistowskim obozie KL Ravensbrück, poddawana zbrodniczym doświadczeniom pseudomedycznym. W marcu 1945 roku przewieziona do KL Neustadt-Glewe.

Po wojnie wybitny lekarz psychiatra. Autorka wielu publikacji z zakresu medycyny, ochrony życia poczętego i osób starszych oraz problematyki małżeństwa i rodziny.

Wybitnie zasłużona w dziele propagowania wartości i znaczenia rodziny we współczesnym społeczeństwie. Profesor Papieskiej Akademii Teologicznej. Niezastąpiony autorytet moralny.

Niech odpoczywa w Pokoju Wiecznym!
Cześć Jej Pamięci!

Jan Józef Kasprzyk
Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

58/1023/F

eprasa.pl 383475ee03

Kołatka, głupcze

Samuel Pereira

Jako człowieka od kilkunastu lat pracującego w mediach nic tak nie mnie denerwuje, jak widok portali informacyjnych, a konkretnie tekstów na tych portalach, gdzie w środku pojawiają się chamskie fake newsy, reklamy internetowe, mające zachęcić do kliknięcia. I nie chodzi mi o marketing, czyli koloryzowanie rzeczywistości, żeby konsument wybrał dany produkt, tylko ordynarne kłamstwo, np. przez użycie ostatnio modnej sztucznej inteligencji.

Mamy więc byłego prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego, który w wywiadzie chwali nowe rozwiązania finansowe, a jest to przerobione nagranie – politykowi wsadzono w usta słowa, których nigdy nie wypowiedział. Mamy już nie tylko polityków, lecz także aktorów i celebrytów, reklamujących coś, o czym najpewniej nawet nie mają pojęcia, ale oszuści bez oporów korzystają z ich wizerunków. Takie zabiegi rażą tym bardziej, gdy takie „reklamy" pojawiają się w miejscach, w których odbiorcy szukają informacji, a nie jej zdeformowanej formy. Jesteśmy przyzwyczajani do oszustwa i, niestety, nieświadomie oswajani z fałszem.

Jak z tym walczyć, gdy w grę wchodzą interesy tech-gigantów, których nikt tak naprawdę nie chce naruszyć? Chyba tylko przez edukację, a konkretnie nauczenie młodych, że nie wszystko co widzą i czytają w sieci, to prawda, a większość treści w internecie muszą sami przesiewać dzięki krytycznemu podejściu i samodzielnemu myśleniu. Taka „szczepionka" na kłamstwo powinna być aplikowana już w pierwszych klasach szkoły podstawowej, gdy dziecko zaczyna się stykać z tą rzeczywistością. Wpojenie takich odpowiednich nawyków może być ciężkim zadaniem, choćby z powodu naturalnej w tym wieku żądzy wiedzy i poznawania świata, lecz jest niezbędne, żeby nasze dzieci i dalsze pokolenia nie zatonęły w fikcyjnym świecie, gdzie wszystko może być prawdą i fałszem jednocześnie.

Dajmy im więc do ręki kołatkę, o której mówił już Zbigniew Herbert: „Moja wyobraźnia / to kawałek deski / a za cały instrument / mam drewniany patyk / uderzam w deskę / a ona mi odpowiada / tak – tak / nie – nie".

Autor jest dyrektorem TVP Info

Kryminalny PRL to wciąż terra incognita

Z Przemysławem Semczukiem, dziennikarzem, pisarzem literatury faktu, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Kiedy po raz pierwszy usłyszał pan o czarnej wołdze? Co sprawiło, że wrócił pan do tej historii?

Przemysław Semczuk: W dzieciństwie, czyli jak każdy wychowany w PRL. Jak się okazuje, wcale nie jest to legenda. Doszło do porwania dziecka, a porywaczki odjechały czarną wołgą. Tamte poszukiwania zapadły w pamięć i samochód kojarzy się z kryminalną tematyką z tamtych czasów. Skojarzenie wydało mi się dobre, gdy pisałem książkę. Tworząc z Piotrem Litką scenariusz serialu „Czarna Wołga. Kryminalna historia PRL" [emisja na antenie TVP Historia – przyp. red.], odkrywałem te historie na nowo dzięki materiałom z archiwów TVP.

Do jakich jeszcze kryminalnych opowieści sięgnęliście?

Kryminalny PRL to wciąż *terra incognita*. Pokazujemy napady na banki, porwania dzieci, zamachy terrorystyczne i szantażystów, grożących wysadzeniem samolotu. Jest też psychopata ciemności, czyli człowiek, który zagroził wrzuceniem 1,5 kg cyjanku do ujęcia wody dla Jeleniej Góry. I brutalne zabójstwo posła, będącego jednocześnie znanym pisarzem i redaktorem naczelnym tygodnika „Forum".

Czy współczesność dopisała do wspomnianych opowieści nowe konteksty?

Odwrotnie. Musieliśmy bardzo ostrożnie pokazywać tamten świat. Odbiorcy, szczególnie młodzi, patrzą na wydarzenia z dzisiejszej perspektywy. A nie było wtedy badań DNA. Nawet ustalenie grupy krwi często stanowiło problem. Co ważniejsze, ludzie żyli inaczej. Nie było telefonów, mało kto miał samochód. Trudno nam to zrozumieć i dlatego często potrzebny jest kontekst tamtej epoki.

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 383475ee03

Rysują ***Mr Donk & dr Fish***

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 9.00 – 17.00), (22) 255 93 32
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: DAMIAN KLAMKA/EAST NEWS, JACEK DOMIŃSKI/REPORTER, ANDRZEJ WIKTOR, MATERIAŁY PRASOWE, SHUTTERSTOCK/DROP OF LIGHT, ZAID SAADALLAH, ID1974, F11PHOTO, OLGATILT63

Jak zamówić papierową prenumeratę tygodnika SIECI ?

1 Wybierz swoją prenumeratę

	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	82 zł	149 zł	265 zł
SIECI + SIECI HISTORII	-	169 zł	295 zł

2 Zamów i opłać:

- Zamów prenumeratę przez stronę **www.sieciprawdy.pl/prenumerata** i opłać przelewem ze swojego konta
- **Jeśli nie korzystasz z internetu**, opłać prenumeratę na poczcie, podając dane do wpłaty w okienku

Informacje o prenumeracie:
tel. 22 616 36 00
(poniedziałek-piątek w godz. 9-16)

Wytnij karteczkę-niezbędnik na pocztę

Dane do opłacenia prenumeraty SIECI na poczcie:

Nazwa odbiorcy: Fratria sp. z o.o.

Nr konta: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

Tytuł wpłaty: .....

.....
(tu wpisz adres dostawy prenumeraty – to warunek otrzymania prenumeraty)

Kwota: .....
(tu wpisz cenę wybranej prenumeraty, np. 265 zł)

eprasa.pl 383475ee03

Zemsta totalna

„Gazeta Wyborcza" spuściła ogary ze smyczy, nagonka ruszyła, zaraz się zacznie polowanie. Na naszych oczach pod wodzą Donalda Tuska rodzi się koalicja nienawiści, która merytorycznie może i różni się w bardzo wielu wymiarach, ale cementuje ją chęć odwetu na „pisowskim ludzie"

MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Akcja gazety Michnika o niby-zabawnym tytule „Państwu już dziękujemy" musi budzić najgorsze skojarzenia. „Dziennikarze »Wyborczej« z całej Polski stworzyli pisowską listę płac, by pokazać, jak ludzie partii Kaczyńskiego z nepotyzmu i kolesiostwa uczynili główny motyw swoich rządów" – czytamy we wszystkich dodatkach lokalnych. Bo to praca metodyczna, dzięki której ma powstać szczegółowa lista osób do „odstrzelenia", gdy tylko rząd pod wodzą Tuska będzie miał ku temu sposobność. Nikt nie może się prześlizgnąć, dlatego sprawa jest analizowana regionalnie. Czasem motywy zemsty są konstruowane i przedstawiane tak karkołomnie, że musi przyjść na myśl maksyma: „Dajcie mi człowieka, a paragraf się znajdzie", przypisywana Andriejowi Wyszynskiemu, stalinowskiemu prokuratorowi, oskarżającemu w najgłośniejszych procesach pokazowych ery wielkiego terroru ZSRR.

Dziennikarze „GW" zadbali o to, by ani na chwilę nie opuszczała nas bolszewicka retoryka, a nawet więcej – byśmy poczuli się jak w czasach rodzącego się niemieckiego faszyzmu. Nikt nie bawi się więc w subtelności, walą między oczy: „Oczywiście mamy świadomość, że to zaledwie wycinek wiedzy o tym, jak płaci państwo PiS. Dlatego prosimy czytelników i czytelniczki o sygnał, jeśli znają inne osoby, które powinny znaleźć się na tej liście". Hitler, przygotowując noc długich noży tuż po przejęciu władzy, także zachęcał do kolaborowania w imię konieczności pozbycia się zdrajców, a tworzenie list proskrypcyjnych odbywało się przy

eprasa.pl 383475ee03

fanfarach przyklaskujących mu akolitów. Dziś nad Wisłą jest podobnie.

CAŁA POLSKA DONOSI

Żeby było jeszcze zabawniej, dziennikarze „Wyborczej" chętnie nawiązują do politycznej twórczości Szymona Hołowni, który akurat w rozrywce spędził wiele lat. Jego wic z debaty w TVP o „tłustych kotach PiS", które mają „pakować kuwety", jest przytaczany na łamach gazet jak Polska długa i szeroka. To kolejna warstwa żarcików mających przykryć obrzydliwy proceder piętnowania politycznych przeciwników. Gdy wroga się namierzy i odpowiednio zdyskredytuje, nikt go nie będzie bronił i nie uroni po nim nawet łzy.

„Ludzie PiS, po których Częstochowa nie zapłacze", są wskazani z imienia i nazwiska w lokalnym dodatku gazety Michnika. Jest tutaj mowa m.in. o Szymonie Giżyńskim, szefie lokalnych struktur PiS, który w 2021 r. został sekretarzem stanu w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego i... miał czelność doprowadzić do tego, że w miejscu dawnej siedziby powiatowego i miejskiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, gdzie byli torturowani i zabijani przeciwnicy ludowego państwa, powstała instytucja o nazwie Centrum Pamięć i Wolność. Nie mniej „winna" jest katowicka kurator oświaty Urszula Bauer, która „zdecydowała, że każdorazowo rok szkolny w województwie śląskim będzie się zaczynać na Jasnej Górze". „Pakować kuwetę" ma także – według częstochowskiego biuletynu – były senator PiS i były wicewojewoda śląski, obecnie wiceprezes Tauron Polska Energia Artur Warzocha, który – gdy wybuchła pseudoafera dotycząca budowy tzw. dwóch wież w Warszawie – przekonywał w Polskim Radiu 24, że „Jarosław Kaczyński to człowiek o krystalicznej uczciwości". Wystarczy, by znaleźć się na czele listy proskrypcyjnej „GW".

„Stworzyliśmy krótki »poczet« postaci, które zapewne rozstaną się ze

Fot. Andrzej Wiktor (2), Jacek Dominski / REPORTER, Damian Klamka / East News

eprasa.pl 383475ee03

swoimi posadami w Olsztynie oraz na Warmii i Mazurach". Ta publikacja – jak czytamy – okazała się hitem, po niej „odezwali się ci, którzy nie znaleźli na niej swoich kolegów. I wskazali kolejne nazwiska". Zwracamy na to uwagę, bo tutaj donosy piszą na siebie podobno sami pisowcy. Dowiadujemy się z nich, że Leszek Sobański, prezes Radia Olsztyn (oczywiście do zwolnienia), ma żonę, która „pracuje na etacie u wojewody". Jerzy Szmit ma ponoć „tylko jedno stanowisko, ale [...] ta posada zapewnia byłemu szefowi okręgu olsztyńskiego PiS godziwy poziom życia". Cynglom z „GW" trudno znieść także Krystynę Futymę, dyrektor Polikliniki MSWiA, proszę się przygotować na mocny cytat: „Działacze PiS twierdzą, że łączą ją znajomości z ministrem Mariuszem Kamińskim".

I tak region po regionie, województwo po województwie, miasto po mieście...

PRZEZ ZAGŁODZENIE

Politycy opozycji aż przebierają nogami, by dorwać się do państwowych spółek. To dlatego popędzają prezydenta, by mimo braku umowy koalicyjnej i wizji rządzenia nominował na premiera Donalda Tuska. Nie ma wątpliwości, że karuzela zmian ruszy wtedy z kopyta, lecz na razie narracja ma być miękka. Borys Budka o zwolnieniu wszystkich członków zarządów i rad nadzorczych spółek skarbu państwa: „Przeprowadzimy nowy nabór w transparentnych konkursach, w których będą decydować kompetencje, a nie znajomości rodzinne i partyjne". Nie każdy w zjednoczonej opozycji potrafi jednak wstrzymać emocje. Krzysztof Gawkowski, Lewica: „W połączeniach czy wielkich fuzjach, takich jak ORLEN miał, trzeba mieć swoje władze. Dlatego te władze muszą być z nowego rozdania politycznego".

Do pośpiechu w przejmowaniu spółek skarbu państwa zachęca były premier i były minister finansów, obecnie europoseł Marek Belka: „Nie będziemy dzielić włosa na czworo i zastanawiać się, kiedy będziemy mieli odpowiednią liczbę fachowców służby cywilnej zdolnych do przejęcia urzędów. Należy zrobić szybkie odszczurzanie". I choć to stwierdzenie wywołało powszechną krytykę, nawet ze strony publicystów „GW", to trudno uwierzyć w ich dobrą wolę. Czymże innym, jak nie zachętą właśnie do pewnej formy „deratyzacji" jest donosicielska akcja na łamach lokalnych dodatków?

Poseł KO Michał Szczerba w radiowym wywiadzie wskazywał na 17 „pisowskich instytucji, którymi należy się zająć od razu po wyborach". Poza spółkami do przejęcia, a potem likwidacji ma być przede wszystkim Centralne Biuro Antykorupcyjne i Instytut Pamięci Narodowej, lecz także np. Polska Fundacja Narodowa, Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej czy Narodowy Instytut Wolności. Wiadomo, o co chodzi z CBA – to biuro napsuło sporo krwi hochsztaplerom związanym z Platformą, tropiło również patologię w kręgach władzy. W rządzie Tuska nikt nie zaryzykuje takiej niezależności. Pozostałe wymienione instytucje łączy dbałość o polską historię, właściwy przekaz także na zewnątrz, mobilizowanie patriotycznego społeczeństwa obywatelskiego i budowanie dumy z polskości. Jasne jest, że teraz tego typu polityka historyczna ma się skończyć. A jeśli czegoś nie da się zlikwidować, jak np. IPN, to zawsze będzie można mu uchwalić głodowy budżet, by instytut nie miał zbyt dużo energii do tropienia postkomuny, która od ogłoszenia wyników wyborów coraz odważniej podnosi łeb.

> „Dziennikarze »Wyborczej« z całej Polski stworzyli pisowską listę płac", dzięki której ma powstać szczegółowa lista osób do „odstrzelenia", gdy tylko rząd pod wodzą Tuska będzie miał ku temu sposobność

MEDIA NA CELOWNIKU

Zupełnie osobnym rozdziałem, nakręconym całkiem jawnymi emocjami brutalnej wendety, będzie przejmowanie mediów, jak się okazuje, nie tylko publicznych. Od tygodni trwa karuzela pomysłów, jak dobrać się do TVP Info (były szef KRRiT postuluje nawet zmianę na TVP24 – pewnie dlatego, by nie różnić się za bardzo od stacji z Wiertniczej), solą w oku wciąż są Wiadomości TVP. Dziennikarze Telewizji Polskiej codziennie słyszą od polityków mniej lub bardziej zawoalowane groźby. Roman Giertych nie dotarł do Sejmu, by odebrać zaświadczenie o wyborze na posła. Być może dlatego reporterów straszy z oddali, przez internet: „Funkcjonariuszom TVP, którzy tak bardzo stęsknili się za mną, że biegają po Sejmie i nagabują moich kolegów, pytając, gdzie jestem, uprzejmie obiecuję, że się zobaczymy. Jak już was wywalą z TVP, to wszyscy o was zapomną. A ja nie... Do zobaczenia!".

Lecz zupełnie nową jakością, i proszę nie mówić, że to nie bolszewizm, jest wytykanie palcami tych redakcji prywatnych, które dotychczas były zbyt mało pisowskie. Tak, rozgrzana „Wyborcza" nie zatrzymuje się ani na chwilę. Wojciech Czuchnowski w długim facebookowym wpisie (opublikowanym na koncie żony dziennikarza, a wcześniej żony ostatniego szefa WSI) wzywa do „rachunku sumienia" również komercyjne media, uderzając szczególnie w Polsat News, Interię oraz RMF FM. Wskazał z imienia i nazwiska Marka Balawajdera, szefa informacji radia: „Pod jego rządami RMF wszedł w bliską relację z władzą. Rozgłośnia bardzo oszczędnie informowała o aferach i nadużyciach PiS oraz jego koalicjantów. Nie pamiętam, by podawała jakiekolwiek krytyczne informacje na temat prezesa ORLENU". Według Czuchnowskiego

eprasa.pl 383475ee03

powodem miało być zatrudnienie żony dziennikarza w słowackiej spółce, zależnej polskiego koncernu. Tropem „GW" poszedł redaktor Boczek z OKO.press, wyliczając Magdalenie Balawajder zarobki na państwowej posadzie. Kierownictwo radia i koncernu niezależnie od siebie analizują twórczość medialną Boczka i Czuchnowskiego, nie wykluczając drogi sądowej.

Świeżo upieczony poseł KO Michał Kołodziejczak w porannej rozmowie w RMF FM z Robertem Mazurkiem nie był w stanie odpowiedzieć na najprostsze pytania (np. co to jest Zgromadzenie Narodowe), dlatego stwierdził, że dziennikarz „bardziej występuje w roli rzecznika PiS". Później, w innych mediach, zaczął grozić: „Robert Mazurek to jest kłamca, oszust i to powinna być jakaś podstawa do zmiany prawa prasowego". Niby to śmieszne, ale w sumie straszne. Ścieżka wytyczona przez „GW" za chwilę będzie bardzo zatłoczona.

MICHNIK PRZYPILNUJE

Donald Tusk w jednym z ostatnich filmików z uśmiechem mówi: „Pamiętacie? Zwyciężymy, rozliczymy, naprawimy ludzkie krzywdy i pojednamy. I pierwszy punkt, dzięki wam, został załatwiony". Czas na kolejne. Jak będzie wyglądało „rozliczanie", pokazują m.in. jaskółki opisane wyżej. A gdyby Tuskowej władzy zabrakło rewolucyjnego zapału, gorącego żelaza będzie pilnował Adam Michnik.

Ten sam Michnik, który kiedyś napisał: „Lękam się procesu politycznego, w którym zwycięzcy sądzić będą pokonanych. Parę razy oglądałem takie procesy, nie chciałbym tego więcej zobaczyć. [...] I czasem myślę, że kiedy realnych komunistów zabraknie, to będzie się ich tworzyć, że wspólny wróg potrzebny będzie dla scementowania świata nowej władzy". To słowa z 13 grudnia 1991 r., ale dziś pasują, jak ulał. Świat nowej władzy cementuje bowiem właśnie wspólny wróg, z którym z taką żarliwością chcą się rozprawić.

Abolicyjnego *credo* Michnika nie wolno traktować jako zapisu dawnych myśli, które straciły aktualność. Specjalnej ustawy gwarantującej nietykalność autorom stanu wojennego domagał się przecież nie tylko w 1991 r., lecz także powtórzył ten postulat w 2005 r., gdy po przejęciu władzy przez PiS 13 grudnia przemawiał na Uniwersytecie Warszawskim. Ba, powyższy cytat „GW" przypomniała jeszcze w 2016 r., gdy na 70. urodziny Michnika składał mu hołd Maciej Stasiński, przywołując najwybitniejsze myśli nadredaktora.

„Zwycięzcy nie powinni sądzić pokonanych" jest zatem mottem dla Michnika może i aktualnym. Lecz z jednym wyjątkiem: nie dotyczy pokonanego PiS. Na froncie wojny z tą formacją dopuszczalne jest absolutnie wszystko, włącznie z sięganiem po stalinowskie i faszystowskie metody, odpowiedzialność zbiorową, donosicielstwo, karanie za sympatie polityczne itd. Na to cywilizacyjni arbitrzy dają zielone światło.

> Do pośpiechu w przejmowaniu spółek skarbu państwa zachęca Marek Belka: „Nie będziemy dzielić włosa na czworo i zastanawiać się, kiedy będziemy mieli odpowiednią liczbę fachowców służby cywilnej zdolnych do przejęcia urzędów. Należy zrobić szybkie odszczurzanie"

Tomasz Lis pisze więc o epoce PiS, że „raka trzeba potraktować skalpelem albo potężną dawką chemii, żeby go pokonać i zapewnić, że nie wróci". Janina Ochojska zachwyca się internetowym ściekiem, który proponuje akcję „15 X – Narodowy Dzień Dziękczynienia. Naród piecze Kaczkę" (stąd już bardzo blisko do Palikotowego: „Wypatroszymy Jarosława Kaczyńskiego"). Nawet umiarkowany Jan Filip Libicki zapowiada anihilację PiS: „W sprawie aborcji będę głosował jak zawsze. Nawet kiedy trzeba by zrezygnować z polityki. A w każdej innej sprawie zrobię wszystko, żeby PiS przestał istnieć".

Nowa ekipa zabiera się więc do „porządków" z iście totalitarną gorliwością. Dorwanie się do władzy i zemsta na PiS uzasadnią gwałt zasad ustrojowych, prawa, dobrych obyczajów, lecz także własnych postulatów (odpolitycznienia, pojednania, budowani zgody narodowej). Do takiej operacji konieczne jest odpowiednie podglebie narracyjne i ono już się pichci.

Oto „Gazeta Wyborcza" przed tygodniem wydrukowała tekst Jarosława Bratkiewicza pt. „Tłum nie rozumie ni w ząb, co to jest patriotyzm, racja stanu, suwerenność". Autor jest postacią zasłużoną dla obozu III RP. Gdy pracował w MSZ, był jednym z głównych architektów resetu rządu Tuska z Rosją. Szykował ówczesnemu premierowi tezy do rozmów z Putinem. Cara Aleksandra I nazywał w nich królem Polski, który „zaskarbił sobie sympatię Polaków". Dowiedzieliśmy się tego z serialu „Reset", który precyzyjnie wyświetlił haniebną rolę, jaką Bratkiewicz odgrywał w czasie pojednania ekipy PO-PSL z Rosją.

Mimo to „Wyborcza" wciąż korzysta z jego egzaltowanego pióra, a najnowszy tekst jest opatrzony stemplem „Adam Michnik poleca". Czytelnicy dowiadują się więc, że to publicystyka najwyższej próby. Można by nawet rzec: drogowskaz na najbliższy czas. Co takiego poleca Michnik?

„Już w latach 2006–07 w polskiej polityce, ponad powagą spraw i celów państwowych, rozhuśtała się iście małpoludzia czereda. Czyli rządzący PiS i nabożnie otaczający tę partię »lud pisowski«". Dehumanizacja wroga jest sednem tej publikacji. „Lud pisowski" u Bratkiewicza cechuje „grubiańskie i obskuranckie jestestwo", no i oczywiście „mentalité primitive". Z pseudointeligenckim poczuciem wyższości poucza: „Populiści są z reguły

eprasa.pl 383475ee03

ćwierć- i 1/8-inteligentami, ludźmi jednej książki lub broszury i gnostyckiego przejrzenia. Nienawidzą więc intelektualistów, których znamionuje umysłowość krytyczna i racjonalny dystans. Stąd dzisiaj po stronie pisowskiej harcują niedouk i gbur w barwach narodowych".

Zagotowało się po tym tekście. Również w samej „Wyborczej". Czołowa publicystka gazety Dominika Wielowieyska udaje oburzenie na „język oświeconych elit". Udaje, bo sama po ów język sięga: „Fajnie jest z pogardą i wyższością wypowiedzieć się na temat emeryta, który ma minimalne świadczenie i odlicza każdą złotówkę na leki i dla którego trzynastka ma duże znaczenie. Ma podstawowe wykształcenie i nie ma wiedzy o świecie i nie do końca rozumie zmieniającą się wokół niego rzeczywistość. Cynicy to wykorzystują, podsycając jego lęki".

Strażniczka szacunku wobec oponentów wrzuca do jednego wora wszystkich emerytów zadowolonych z tego, że wreszcie jakiś rząd sobie o nich przypomniał. Polityczni ulubieńcy Dominiki mieli seniorów głęboko z tyłu, obsypywali ich waloryzacjami, które nie wystarczały na zestaw witamin, chcieli pędzić ich do pracy możliwie długo, by możliwie krótko utrzymywać darmozjadów na emeryckim socjalu. 2015 r. był przełomem. Życie kilku pokoleń nestorów radykalnie się odmieniło. Dziś ci, którzy to doceniają, są przez tę pseudointelektualną czeredę, sowicie uwłaszczoną na „Gazecie", wyzywani od nieuków (ukończona tylko podstawówka) i tłumoków (brak zrozumienia świata). Wielowieyska pisze o emerytach dokładnie z tą samą wyższością, którą wytyka Bratkiewiczowi.

Łączy ich zresztą więcej. Wielowieyska bowiem na jednym wdechu oburza się na język Bratkiewicza oraz język polityków PiS, zarzucających (jakże trafnie) Donaldowi Tuskowi służalczość wobec Berlina. „Partia Jarosława Kaczyńskiego poniża w ten sposób wszystkich Polaków i państwo polskie, bo określenia te dotyczą byłego i przyszłego premiera RP, który reprezentuje nasz kraj". Nigdy jednak nie oburzało pani redaktor obrażanie Jarosława Kaczyńskiego przez Tuska i jego absurdalne zarzuty o prorosyjskość obozu Zjednoczonej Prawicy. Nie oburzało nazywanie rządu „seryjnymi mordercami kobiet" czy złodziejami. Ot, taki czerski kalizm. *Nihil novi.*

GWAŁCIĆ NIE BĘDĄ

O tym zjawisku napisano już zresztą niejedną książkę. Bo to „Wyborcza" wyhodowała przecież potężne stado troglodytów, którzy rżą z każdego przejęzyczenia Kaczyńskiego, a cmokają w zachwycie, gdy tylko dziarsko zmarszczy czoło demokrata Tusk.

> Do likwidacji mają pójść m.in.: Centralne Biuro Antykorupcyjne, Instytut Pamięci Narodowej, Polska Fundacja Narodowa, Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej czy Narodowy Instytut Wolności

Swoje zrobiły stosy pełnych abominacji tekstów o politycznych przeciwnikach, promowanie języka i postaci pokroju Sikorskiego, Niesiołowskiego czy politycznego chama z Biłgoraja. „Palikot nam się udał" – tytułował swój komentarz Piotr Pacewicz w 2011 r., zachwycony dobrym wynikiem wyborczym człowieka, który dziś kończy swą biznesową karierę w aurze ogromnego finansowego przekrętu.

Obrzydliwa poetyka „dorzynania pisowskich watah" (Sikorski) i „strącania pisowskiej szarańczy ze zdrowego drzewa naszego państwa" (Schetyna) wraca z jeszcze większą mocą. Nagonka z lat 2005–2007 może się dziś okazać niewinną igraszką. „Moherowe berety", „sekta smoleńska", przemysł pogardy wymierzony w Lecha Kaczyńskiego, odczłowieczanie inaczej myślących – wszystko to już było. Teraz będzie bardziej, skoro bluzgi stały się dla wielu polityków czymś więcej niż akceptowalny element debaty. Poseł Zembaczyński zadeklarował przecież: „»J...ć PiS« to hasło przewodnie mojej misji politycznej i utożsamiam się z nim w 100 proc.".

Przekaz posła z Opolszczyzny wywołuje euforię sporej części elektoratu Platformy. A co to środowisko ma dla osób o nieco wrażliwszym usposobieniu? Np. opinie Ewy Woydyłło-Osiatyńskiej, psycholog od uzależnień, którą TVN24 obsadził w roli ekspertki polityczno-społecznej. Oto efekt:

„Wyobraźmy sobie taką rzecz, że sieroty po PiS będą żyły wśród nas i nie możemy być macochą. W tym sensie trzeba pozwolić im dać głos. [...] Zniknie największa tuba propagandowa – TVP i TVP Info. I teraz ci sami ludzie, którzy się nasączyli przez osiem lat tymi szkalowaniami o różnych ludziach, jakimś Tuskiem Niemcem, złodziejem Owsiakiem i tak dalej, to one zaczną słuchać innego przekazu. To w tym jest nadzieja. My nie będziemy nikogo pogwałcać. My po prosu im będziemy udostępniać wiedzę, jakieś obserwacje".

Kto to jest „my"? Czyżby pani psycholog aspirowała do jakiejś komisji programowej w przejętej TVP? Nawet jeśli nie ona, to znajdzie się cała armia chętnych, by reedukować „sieroty po PiS". To jeden z najważniejszych elementów planu zemsty: pełne ujednolicenie przekazu we wszystkich mediach, domknięcie systemu.

Dopiero teraz wolność słowa jest zagrożona jak nigdy wcześniej. Przestrzegamy przed tym w liście otwartym środowiska dziennikarskiego, opublikowanym na portalu wPolityce.pl. I pytamy: „Czy stan, w którym wszystkie wielkie telewizje i portale internetowe będą takie same, będzie można nazwać w ogóle demokracją?". Oczywiście nie. Ale przecież nie o demokrację im chodzi.

eprasa.pl 383475ee03

Zderzenie ze ścianą

Jeśli komuś się wydaje, że rządzenie będzie proste tylko dlatego, że zajmie się nim Donald Tusk razem z opozycją, to lewituje w stratosferze

STANISŁAW JANECKI

Gdyby opozycja stworzyła rząd, co jest możliwe, od razu zderzyłby się z kilkoma ścianami, przede wszystkim tam, gdzie miało być łatwo i szybko, gdy chodzi o zmiany oraz rozliczenia. O tym, że łatwo nie będzie, mówi nawet prof. Adam Bodnar, nowy senator, były rzecznik praw obywatelskich. Przestrzega przed działaniami niekonstytucyjnymi, a za takie można uznać np. pomysły Donalda Tuska na „odzyskiwanie" mediów publicznych, Narodowego Banku Polskiego, Trybunału Konstytucyjnego czy Krajowej Rady Sądownictwa. „Trzeba z tym żyć, bo ja niespecjalnie widzę, jakie mogą być argumenty konstytucyjne, żeby skrócić kadencję prezesa NBP" – tłumaczył Adam Bodnar w TVN24. Zastanawiał się też, „czy te wszystkie zmiany, które chcemy przeprowadzać, mają służyć wyłącznie do osiągnięciu celu politycznego, czy też działamy zawsze i wszędzie zgodnie z konstytucją. [...] Ja się obawiam takiego scenariusza, że jeżeli ta konstytucja będzie tu i tam naruszona albo gdzieś trochę zignorowana, albo zlekceważona, to za chwilę się okaże, że opozycja demokratyczna sama się zaplącze we własne nogi, już w którymś momencie nie będzie żadnego punktu odniesienia". I podpowiadał: „Słuchajcie, pewnych rzeczy nie możemy zrobić. Trudno, zabetonowali się, wylali tony cementu na różne instytucje państwowe. To uniemożliwia nam działanie, ale musimy działać w ten sposób i musicie być cierpliwi".

Politycy, szczególnie ci z Koalicji Obywatelskiej, przekonują, że wszystko uda się załatwić na zasadzie „hop-siup". Nie uda się. A różni „mściciele" mogą zostać potraktowani jak osoby, które dużo mówią, ale ostatecznie nic albo bardzo niewiele mogą zrobić. Choć spora część ich elektoratu dyszy żądzą zemsty, a nawet krwi.

Nie chodzi tylko o legalizm i rozpoczynanie rządów od łamania prawa, lecz nawet te nielegalne działania nie są tak proste, jak się wydaje Donaldowi Tuskowi, Rafałowi Trzaskowskiemu czy Janowi Grabcowi.

ZŁAMANE ZĘBY NA TVP

Na pierwszy ogień „mścicieli" miałaby pójść Telewizja Polska, bo reszta mediów publicznych jest do niej dołączana na zasadzie, że istnieje szerszy problem, choć wcale tak nie jest. I tu – jak mawiał gen. Bolesław Wieniawa-Długoszowski – „żarty się skończyły, zaczynają się schody". Zakładając, że będzie powołany nowy minister kultury, to jest on jednoosobowym właścicielem tej spółki skarbu państwa i jednocześnie walnym zgromadzeniem. Minister kultury zapewne zawiesiłby zarząd TVP, czyli prezesa Mateusza Matyszkowicza. Wówczas rada nadzorcza spółki mogłaby na trzy miesiące delegować p.o. prezesa spośród swoich członków. Ale jest mało prawdopodobne, aby obecna rada nadzorcza chciała wykonać życzenie ministra. Wtedy może on „połączyć, przekształcić lub podzielić spółkę", żeby zaprowadzić własne porządki. Tyle tylko, że to wymaga zgody Rady Mediów Narodowych, a ta na taki numer nie pójdzie.

Nowa władza starałaby się wówczas uznać radę za nielegalną i próbować ją zlikwidować. I znowu nie jest to takie proste, skoro rada została powołana w drodze ustawy i w ten sam sposób może zostać zlikwidowana. Wprawdzie zgodnie z ustawą o radiofonii i telewizji do Telewizji Polskiej S.A. stosuje się Kodeks spółek handlowych (art. 26 ust. 4 ustawy), a jednocześnie jest ona jednoosobową

Fot. OleksSH/Shutterstock.com

eprasa.pl 383475ee03

spółką akcyjną skarbu państwa, podlegającą regulacjom art. 26 ust. 1 i 2 ustawy, czyli uprawnienia walnego zgromadzenia wykonuje minister właściwy ds. kultury i dziedzictwa narodowego, jednak z art. 27 ust. 3 oraz z art. 28 ust. 1e ustawy jasno wynika, że wyłączną kompetencję do powoływania i odwoływania członków zarządu oraz rady nadzorczej TVP ma Rada Mediów Narodowych. A ta nie zgodzi się zapewne na takie działanie, zaś próba jej likwidacji może być zawetowana przez prezydenta, którego posłowie Koalicji Obywatelskiej, Trzeciej Drogi i Nowej Lewicy nie są w stanie obalić, nawet przy pomocy Konfederacji.

Jan Dworak, były prezes TVP i były przewodniczący KRRiT, uważa, że ma asa w rękawie, gdyż Trybunał Konstytucyjny pod przewodem prof. Andrzeja Rzeplińskiego uznał w 2016 r. odebranie KRRiT przez RMN prawa do powoływania władz spółek medialnych za niekonstytucyjne. Ale żeby krajowej radzie te prawa przywrócić, trzeba by zlikwidować RMN powołaną ustawą, czyli na drodze ustawowej.

Inny pomysł „mścicieli" polega na tym, żeby minister kultury postawił spółkę TVP S.A. w stan likwidacji. Wtedy powołane zostałyby zarządy komisaryczne, a tych Rada Mediów Narodowych nie mogłaby odwołać. I tu żądzę zemsty gasi prof. Tadeusz Kowalski z Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, zaliczany przez opozycję do jej „aktywów": „Nie bardzo wyobrażam sobie likwidację w takim trybie kanału telewizyjnego. Nawet z prawnego punktu widzenia nie byłoby to łatwe do przeprowadzenia. Niektórzy konstytucjonaliści mieli wątpliwości co do zgodności projektu z dwoma artykułami Konstytucji RP: 14., który zapewnia wolność prasy i innych środków społecznego przekazu, i 54., który mówi, że »każdemu zapewnia się wolność wyrażania swoich poglądów oraz pozyskiwania i rozpowszechniania informacji. Cenzura prewencyjna środków społecznego przekazu oraz koncesjonowanie prasy są zakazane«".

Choć „mściciele" najbardziej liczą na likwidację TVP S.A., lecz nie chcą uznać rzeczy oczywistej, czyli tego, że skoro z art. 26 ust. 1 i 2 ustawy o radiofonii i telewizji wynika, iż „telewizję publiczną tworzy spółka Telewizja Polska – Spółka Akcyjna", to członkowie zarządu lub rady nadzorczej TVP mogą złożyć do sądu powództwo o uchylenie lub stwierdzenie nieważności uchwały o likwidacji spółki, powołując się na naruszenie przepisów rzeczonej ustawy. I razem z powództwem skierować do sądu wniosek o zabezpieczenie, co oznaczałoby wstrzymanie wykonalności uchwały o likwidacji.

Jest jeszcze kwestia pieniędzy: ewentualna nowa władza musiałby zmierzyć się z tym, że media publiczne nie mają na 2024 r. zapewnionego dodatkowego finansowania, takiego jak w poprzednich latach. Jeśli tych pieniędzy nie będzie, media publiczne szybko zaczną ginąć. A jeśli dostaną pieniądze, nowa władza będzie oskarżana o to, że robi tak samo, jak poprzednia, czyli jest kompletnie niewiarygodna.

> Nie ma najmniejszych szans na przyjęcie na początku kadencji podwyższenia kwoty wolnej od podatku do 60 tys. zł, kredytu mieszkaniowego 0 proc. czy 20-proc. podwyżki dla budżetówki i 30-proc. dla nauczycieli. Jeśli nawet znalazłyby się na to pieniądze, powstałby impuls inflacyjny, od razu kwestionujący radzenie sobie nowej władzy z drożyzną

PREZES NBP NIE DO RUSZENIA

Poza rozprawieniem się z TVP S.A. Donald Tusk jest ogarnięty obsesją „wyprowadzenia" z urzędu prezesa Narodowego Banku Polskiego prof. Adama Glapińskiego. Wprawie poseł PSL prof. Władysław Teofil Bartoszewski, uważa, że „zgodnie z prawem nie możemy usunąć pana Glapińskiego. [...] Konstytucja nie przewiduje tego, żeby go wyrzucić", lecz Donald Tusk uważa, że nawet jeśli nie można, to trzeba. Dla przykładu. To jednak bajki.

Art. 227 konstytucji określa tylko, że organami NBP są m.in. prezes i zarząd, a ten pierwszy jest powoływany przez Sejm na wniosek prezydenta na sześć lat. Po szczegółowe zasady powoływania i odwoływania organów NBP konstytucja odsyła do ustawy. A ta w art. 9 stanowi, że prezesa NBP można odwołać w czterech konkretnych przypadkach: długotrwałej choroby, skazania prawomocnym wyrokiem sądu za popełnione przestępstwo, złożenie niezgodnego z prawdą oświadczenia lustracyjnego, stwierdzonego prawomocnym orzeczeniem sądu, orzeczenia przez Trybunał Stanu zakazu zajmowania kierowniczych stanowisk lub pełnienia funkcji związanych ze szczególną odpowiedzialnością w organach państwowych.

Skazanie za działanie na szkodę interesu publicznego jest bardzo trudne, bo trzeba udowodnić taki zamiar. Postawienie przed Trybunałem Stanu np. za naruszenie art. 227 konstytucji (odpowiedzialność za wartość złotego) ciągnęłoby się latami i nie musiałoby się wiązać z odwołaniem ze stanowiska. O uznaniu przez Sejm wyboru prezesa za nieważny byłby nie lada kłopot i można wprawdzie na rympał przyjąć stosowną uchwałę, ale wykładnia przepisów nie należy do Sejmu, tylko do Trybunału Konstytucyjnego. A nawet gdyby posłowie przyjęli uchwałę anulującą wybór prezesa, to wskazanie kolejnego należy do kompetencji prezydenta Andrzeja Dudy i może on ponownie wnioskować o powołanie prof. Adama Glapińskiego. A do czasu wyboru nowego prezesa funkcję sprawowałby dotychczasowy, czyli Glapiński.

KOLEJNE PROBLEMY

Potyczki z TVP czy prezesem NBP zależą jednak tylko od nowego rządu, są jednak sprawy, w których będzie na musiku. Już 1 stycznia 2024 r. zderzy się on z cenami energii, mrożonymi przez dwa lata, ale to się skończy 31 grudnia 2023 r. I wtedy ceny skoczą o kilkadziesiąt procent, czyli

eprasa.pl 383475ee03

nowy rząd będzie miał od razu ogromny problem. Gdyby ceny energii wzrosły np. o 70 proc., jak się ocenia, to już w styczniu 2024 r. może się pojawić wielkie społeczne niezadowolenie i wyparować euforia zwycięstwa, zwłaszcza wśród tych, którzy głosowali na Koalicję Obywatelską, Trzecią Drogę i Nową Lewicę.

Nowa władza zderzyłaby się ze ścianą, gdyby chciała likwidować fundusze celowe, przede wszystkim Polski Fundusz Rozwoju. Groziłoby to zatrzymaniem finansowania wielu inwestycji. Zderzenie ze ścianą nastąpi nawet po uwolnieniu środków z KPO. Tych pieniędzy nie można wydać na dowolne cele, a ich dopływ miałby niewielkie znaczenie dla kursu złotego i wiarygodności Polski, skoro bez tych środków nasz kraj ma świetne ratingi, a radzenie sobie gospodarki bez środków z KPO świadczy o jej dobrej kondycji.

Nowa władza sama szybko odczułaby negatywne skutki własnej polityki w czasie, gdy była w opozycji. Polityki szkodzącej Polsce i m.in. blokującej dostęp do środków unijnych. Nawet po odblokowaniu pieniądze napływałyby wolno i praktycznie nie miały większego wpływu na poziom życia oraz możliwości inwestycyjne.

Nie ma najmniejszych szans na przyjęcie na początku kadencji podwyższenia kwoty wolnej od podatku do 60 tys. zł, kredytu mieszkaniowego 0 proc. czy 20-proc. podwyżki dla budżetówki i 30-proc. dla nauczycieli. Jeśli nawet znalazłyby się na to pieniądze, powstałby impuls inflacyjny, od razu kwestionujący radzenie sobie nowej władzy z drożyzną.

Nawet w kwestiach ideologicznych nastąpiłoby zderzenie ze ścianą, oznaczające m.in. zamrożenie pomysłu aborcji do 12. tygodnia ciąży oraz zapomnienie o związkach jednopłciowych.

Nowa władza zderzyłaby się też z unijnym otwarciem rynków dla produktów z Ukrainy, znosząc polskie restrykcje wskutek nacisków Komisji Europejskiej, co musiałoby doprowadzić do masowego niezadowolenia oraz protestów na polskiej wsi. Zderzeniem ze ścianą będzie sprawa kontraktów zbrojeniowych. Nowy sprzęt i broń będą systematycznie napływać, a wypowiedzenie umów, szczególnie z firmami z USA, byłoby katastrofą dla wiarygodności Polski, a przede wszystkim bardzo zwiększyłoby poczucie zagrożenia w polskim społeczeństwie. Katastrofą byłoby wycofanie się z budowy CPK.

Odeszła Barbara Petrozolin-Skowrońska (1937–2023)

22 października 2023 r., w wieku 86 lat, odeszła Barbara Petrozolin-Skowrońska, historyk, encyklopedystka, varsavianistka, autorka książek, artykułów oraz scenariuszy słuchowisk radiowych, zawodowo związana przede wszystkim z PWN. W latach 1990–1998 była redaktor naczelną „Encyklopedii" PWN. Wydała m.in. nagradzaną „Encyklopedię Warszawy" (1994, supl. 1996) oraz „Nową encyklopedię powszechną" (t. 1–6, 1995–1996, supl. 1997). Mama redaktora Krzysztofa Skowrońskiego.

Barbara Petrozolin-Skowrońska urodziła się 24 lipca 1937 r. w Warszawie. Wojnę i okupację przeżyła na warszawskiej Saskiej Kępie, z którą była blisko związana do końca życia. W 1954 r. ukończyła liceum im. Marii Skłodowskiej-Curie, później studiowała historię na Uniwersytecie Warszawskim.

Interesowała się historią polskiej inteligencji XIX i XX w., przez wiele lat była związana z Pracownią Dziejów Inteligencji Instytutu Historycznego PAN, kierowaną przez prof. Jerzego Jedlickiego. Tam też dyskutowana była jej książka „Przed tą nocą" (1988 rok, później wznawiana pt. „Przed nocą styczniową"), opisująca postawy w społeczeństwie przed powstaniem styczniowym.

W latach 80. we współpracy z Programem IV Polskiego Radia inicjowała cykl słuchowisk pt. „Radiowe Portrety Polaków". Wówczas zaczęła się jej fascynacja Tytusem Chałubińskim, którego biografię pt. „Król Tatr z Mokotowskiej 8" wydała w 2005 r.

Była autorką wielu artykułów dotyczących historii prasy polskiej. Przez dziesięć lat przewodniczyła również Komisji Historycznej Towarzystwa Przyjaciół Warszawy. Była związana z miesięcznikiem „Wydawca", należała do Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek (sekretarz generalna 1999–2005) oraz Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich.

Barbara Petrozolin-Skowrońska była kobietą niezależną, dzielną, o nietuzinkowym poczuciu humoru i ciętym dowcipie, do końca życia czynną towarzysko, intelektualnie, aktywnie biorącą udział w życiu kulturalnym. Kochała kawiarnie, prasę, kino i poezję. Dużo czytała i recenzowała. Lubiła opowiadać i recytować wiersze. Przede wszystkim była jednak kochającą Matką i Babcią, zawsze pamiętającą o swoich bliskich, przyjaciołach i rodzinie.

Msza pogrzebowa zostanie odprawiona 6 listopada 2023 r. o godz. 12.30 w kościele św. Andrzeja Boboli przy ul. Nobla 16 w Warszawie. Pogrzeb tego samego dnia o godz. 14.30 na cmentarzu Stare Powązki (brama druga).

Bliskim zmarłej, w tym redaktorowi Krzysztofowi Skowrońskiemu, redakcja „Sieci" składa serdeczne wyrazy współczucia.

(mk)

eprasa.pl 383475ee03

Zamach na CPK

Centralny Port Komunikacyjny miał być symbolem nowej Polski – kraju dynamicznie się rozwijającego, który w ciągu ostatnich lat wyrósł na lidera naszej części Europy. Zmiana władzy po wyborach może oznaczać odrzucenie wielkich projektów rozwojowych i w konsekwencji powrót Polski do dawnej roli państwa peryferyjnego

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Tydzień temu Warszawę niespodziewanie odwiedził Jake Sullivan, doradca prezydenta Bidena ds. bezpieczeństwa narodowego. Przyczyny tej nagłej wizyty nie zostały wyjaśnione, jeśli nie liczyć lakonicznego komunikatu ambasadora USA w Polsce Marka Brzezinskiego, że „miał on przyjemność" porozmawiać z Sullivanem o „trwałych i silnych relacjach dwustronnych z Polską".

Być może wizyta Sullivana miała związek z jakimiś zagrożeniami płynącymi z Rosji, ale większość komentatorów spekulowała, że mogło chodzić o powstrzymanie szykującej się do przejęcia władzy ekipy Tuska przed zbyt głębokimi cięciami programów zbrojeniowych oraz blokowaniem strategicznych inwestycji, takich jak rozwój energetyki jądrowej czy budowa Centralnego Portu Komunikacyjnego (CPK). Każdy z tych projektów ma bowiem wymierne znaczenie dla amerykańskich interesów w Europie. Planowana elektrownia atomowa powstaje z udziałem amerykańskiego przemysłu, podobnie jest z dużą częścią zakupów uzbrojenia, wreszcie CPK – wraz z otaczającą go infrastrukturą transportową – może pełnić kluczową rolę w przypadku zagrożenia wojennego i konieczności szybkiego przerzutu wojsk oraz broni.

Można oczywiście zadać pytanie, dlaczego Amerykanie, którzy wcześniej – w osobie Marka Brzezinskiego – otwarcie wspierali antypisowską opozycję, nie dostrzegali konsekwencji przejęcia przez nią rządów w Polsce, jednak w tej chwili nie ma to już większego znaczenia. Układ sił w polskiej polityce się zmienił i – jak wszystko na to wskazuje – znów znaleźliśmy się w polu grawitacyjnym Berlina. A Niemcom wielkie inwestycje rozwojowe w Polsce po prostu przeszkadzają. Podobnie jak przeszkadza im – choć dziś wolą o tym głośno nie mówić – nadmierna obecność Stanów Zjednoczonych w Europie.

POSTAWIENI DO PIONU

Platforma Obywatelska jest partią, która przez cały okres swoich rządów w latach 2007–2015 i potem, już w opozycji, pozostawała szczególnie wyczulona na interesy Niemiec. Nie było to jednak w pełni zinternalizowane, bo przecież PO miewała i dobre pomysły dla Polski.

Warto przypomnieć, że po przejęciu władzy przez Tuska w 2007 r. kontynuowano program energetyki jądrowej oraz budowę terminala LPG w Świnoujściu, a ówczesny minister infrastruktury Cezary Grabarczyk snuł plany likwidacji Okęcia oraz budowy nowego wielkiego portu lotniczego pod Mszczonowem. A w 2015 r. – gdy premierem była już Ewa Kopacz – w pierwszym odruchu sprzeciwiono się planom relokacji imigrantów.

Z tych wszystkich dobrych pomysłów Platforma szybko się jednak wycofywała albo – jak w przypadku zaawansowanej już budowy terminala gazowego w Świnoujściu – przesuwała je niżej na liście priorytetów. Tak się bowiem przypadkiem składało, że kolidowały

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 383475ee03

one z interesami niemieckimi. Można więc chyba zaryzykować twierdzenie, że PO jest partią, która czasami umie dobrze rozpoznać interes Polski, ale nie potrafi lub nie chce go bronić.

To chyba nawet gorzej, niż gdyby Platforma nie była w stanie dostrzec, co jest dobre dla kraju. Bo wówczas mielibyśmy do czynienia z ludźmi zwyczajnie nierozgarniętymi. Jak jednak nazwać kogoś, kto wprawdzie umie rozróżniać między własnym a cudzym interesem, a mimo to preferuje cudzy? Cynikiem? Tchórzem? Konformistą? Lizusem? A może wszystkim naraz?

PO zawsze stała w pierwszym szeregu tych, którzy najgłośniej atakowali programy rozwojowe wprowadzane przez rządy Zjednoczonej Prawicy. Dotyczyło to nie tylko CPK czy zakupów broni, lecz także planów modernizacji infrastruktury morskiej i śródlądowej, np. pogłębiania Odry, wytyczania szlaków żeglugowych czy budowy terminala kontenerowego w Świnoujściu. Ostro zwalczano inwestycje zwiększające międzynarodową konkurencyjność polskiej gospodarki: fuzje przedsiębiorstw energetycznych, polonizację sektora bankowego, a nawet konkretne firmy, takie jak LOT czy PESA. Ich główną winą było to, że wchodziły w drogę innym, głównie obcemu kapitałowi.

Nie powinny zatem nikogo zaskakiwać słowa Rafała Trzaskowskiego, który w maju 2018 r. oznajmił, że CPK jest niepotrzebny, bo przecież będziemy mieli nowe lotnisko w Berlinie. My, czyli kto? Niemcy?

KWESTIA ZYSKÓW

CPK miał być symbolem nowej Polski – kraju dynamicznie się rozwijającego, który w ciągu ostatnich lat wyrósł na lidera naszej części Europy. Budowa portu nie stanowiła przedsięwzięcia wyłącznie gospodarczego. To była również decyzja polityczna, wpisująca się w długofalową strategię odbudowy podmiotowości Polski przyjętą przez rząd PiS.

Nowe lotnisko ma do 2035 r. osiągnąć przepustowość rzędu 40 mln pasażerów rocznie (docelowo 100 mln po dalszej rozbudowie), co oznacza, że będzie w stanie konkurować z największymi portami lotniczymi w okolicy, przede wszystkim z dopiero co zbudowanym w Berlinie lotniskiem Brandenburg, a po zwiększeniu przepustowości nawet z Frankfurtem. Dla porównania – według prognoz Okęcie odprawi w tym roku 18,5 mln przy przepustowości wynoszącej maksymalnie 24 mln, a potem będzie trzeba przenieść ruch. No właśnie, gdzie? Do znacznie mniejszego Modlina i Radomia? Można, ale po co? Ich łączna przepustowość – wraz z Okęciem – nie przekroczy bowiem 40 mln pasażerów. To jedynie tworzenie kolejnej prowizorki i zablokowanie rozwoju LOT. Tym bardziej że CPK – co należy podkreślić – to nie tylko lotnisko pasażerskie, lecz także wielki port cargo i ogromny projekt kolejowy (aż 1,8 tys. km nowych linii).

I właśnie tutaj tkwi – jak można sądzić – sedno sprawy. W naszej części Europy nie ma ani jednego portu transportowego z prawdziwego zdarzenia. Dzisiaj na Polskę przypada jedynie 1 proc. lotniczego ruchu cargo w Unii, choć jesteśmy piątym pod względem liczby ludności państwem UE i zarazem dynamicznie rozwijającą się – przynajmniej do tej pory – gospodarką. Tak mały wolumen towarowego ruchu lotniczego jest zaskakujący i bardzo utrudnia nasz rozwój. Wyjaśnienie jest jednak proste. Niemal wszystko, co przylatuje do nas z odległych krajów, ląduje na lotniskach niemieckich, przede wszystkim we Frankfurcie (1. miejsce w Europie pod względem liczby przeładunków) oraz w Lipsku (4. miejsce).

W tej chwili ponad 60 proc. polskiego frachtu lotniczego z Azji i Ameryki idzie przez Niemcy. Tam zmierzające do nas towary są clone i opodatkowywane. Polska traci na tym – jak wynika z raportu firmy doradczej EY – 200 mld zł potencjalnych zysków rocznie, wpływających do niemieckiego budżetu zamiast do polskiego. Utworzenie CPK odbierze więc Niemcom całkiem spore dochody. I tak naprawdę głównie o to idzie cały krzyk.

Do 2040 r. CPK wygeneruje niemal 300 tys. miejsc pracy, a wartość PKB wzrośnie w tym czasie o blisko 1 bln zł. Wszystko to stracimy, jeśli projekt budowy CPK zostanie porzucony

CPK, co należy podkreślić, to nie tylko lotnisko pasażerskie, lecz także wielki port cargo i ogromny projekt kolejowy – aż 1,8 tys. km nowych linii

MYDLENIE OCZU

W ostatnich dniach pojawiło się w mediach sporo wypowiedzi na temat przyszłości CPK. Warto zwrócić uwagę na słowa posła KO Marcina Kierwińskiego, który zapowiedział, że z projektu portu pozostanie jedynie komponent kolejowy. Nie ma to wielkiego sensu, bo skoro nie będzie CPK, który miał być kręgosłupem i centralnym punktem sieci kolejowej, nowe linie musiałyby prowadzić donikąd.

W podobnym duchu wypowiadał się na antenie radia RMF FM prof. Marian Noga, ekonomista, dawny senator SLD, a w latach 70. doktorant Leningradzkiego Uniwersytetu Państwowego. Jego zdaniem nie ma sensu budować nowego lotniska, bo wystarczy rozbudować Okęcie. Jak to zrobić, tego już nie wyjaśnił, choć powszechnie wiadomo, że taka rozbudowa jest obecnie niemożliwa. Nie tylko z powodu autostrady A2 biegnącej południowym skrajem lotniska, lecz także dlatego, że jego powiększenie musiałoby się wiązać z niesłychanie kosztownymi wywłaszczeniami i wysiedleniami tysięcy ludzi mieszkających w okolicy. Co więcej, wokół Okęcia, leżącego w bezpośrednim sąsiedztwie centrum Warszawy, zakazano lotów nocnych z powodu ich uciążliwości dla mieszkańców.

Okazuje się zatem, że to, co tak bardzo przeszkadzało w przypadku CPK (wywłaszczenia i dyskomfort dla mieszkańców) nie jest już żadnym problemem w przypadku Okęcia. Tak naprawdę wszystko to wskazuje jednak, że gadanina o rozbudowie Okęcia czy też o pozostawieniu wyłącznie komponentu kolejowego jest jedynie mydleniem oczu i szukaniem uzasadnienia dla całkowitego porzucenia projektu CPK. Wynika to chociażby z tzw. 100 konkretów Tuska, wśród których jest punkt mówiący o zatrzymaniu i weryfikacji CPK. Poseł KO Maciej Lasek potwierdził, że nowa koalicja uważa to przedsięwzięcie za „przeskalowane i rozdmuchane".

Nowego lotniska w Polsce ma po prostu nie być, a cały ten słowotok służy jedynie temu, by namieszać w głowie opinii publicznej.

> Przeciwnicy CPK nazywają tę inwestycję gigantomanią. Rzeczywiście jest gigantyczna, bo zapewnia gigantyczny skok cywilizacyjny. Stanowi symbol siły państwa i gwarancję jego suwerenności

TEST NA NIEZALEŻNOŚĆ

Jednym z często używanych argumentów przeciwko CPK są również wysokie koszty inwestycji. Według informacji pełnomocnika rządu ds. portu Marcina Horały, pierwszy etap budowy lotniska ma pochłonąć ponad 8 mld euro, z czego część ma pokryć wybrany niedawno zagraniczny inwestor – francuska grupa Vinci, należąca do największych operatorów lotnisk na świecie. W przeciwieństwie do wielu naszych ekspertów i polityków, Francuzi uwierzyli w sens budowy nowego lotniska w Europie.

Wydatki poniesione na CPK szybko się zresztą zwrócą. Nie tylko w postaci wspomnianych dochodów z frachtu lotniczego, które tracimy dziś na rzecz zagranicznej konkurencji, lecz także dzięki nowym miejscom pracy. Z raportu firmy konsultingowej Kearney wynika, że do 2040 r. CPK wygeneruje niemal 300 tys. miejsc pracy, a wartość PKB z tytułu działalności lotniska oraz powiązanej z nim infrastruktury wzrośnie w tym czasie o łącznie 986 mld zł. Wszystko to stracimy, jeśli projekt budowy portu zostanie porzucony. Co więcej, prawdopodobnie będzie trzeba również zapłacić kary umowne w przypadku zerwania podpisanych już umów.

Przeciwnicy CPK nazywają tę inwestycję gigantomanią. Rzeczywiście jest gigantyczna, bo zapewnia gigantyczny skok cywilizacyjny Polski. Tego rodzaju inwestycje stanowią symbol siły państwa i zarazem gwarancję jego suwerenności. W normalnych warunkach powinny być wyłączone z bieżących sporów politycznych. I gdyby Platforma naprawdę chciała udowodnić, że jest całkowicie suwerenna w swoich decyzjach, powinna kontynuować CPK oraz inne projekty rozwojowe, a nawet zaproponować kolejne. Tyle że nic takiego nie robi.

Dalszy los Centralnego Portu Komunikacyjnego będzie więc dla ewentualnej nowej ekipy rządzącej rodzajem testu na niezależność od nacisków z zewnątrz. Można mieć jednak uzasadnione obawy, czy zostanie zaliczony.

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 383475ee03

Najważniejsze, by się nie bać

Pokusa sięgnięcia po bezprawie i przemoc będą silne nie tylko z powodów propagandowych. Niemieccy dziennikarze podsuwają Tuskowi ten pomysł bardzo wyraźnie. Lęk przed powrotem PiS do władzy będzie duży, zarówno wśród partii III RP, jak i u naszych sąsiadów. W tle jest przecież proces centralizacji UE

Fot. Andrzej Wiktor

Jacek Karnowski rozmawia z Adamem Borowskim, wydawcą, działaczem opozycji antykomunistycznej

Co dalej? Czy czeka nas powtórka z tego, co było w latach 2007–2015? A może prześladowania opozycji i zemsta na różnych środowiskach przybiorą jeszcze ostrzejszą formę?

Adam Borowski: Będzie fala zemsty. Zapowiadana od dawna, bardzo głośno i wyraźnie. Tusk oraz jego ekipa będą chcieli pokazać swojemu elektoratowi, że przynajmniej w tej sferze dotrzymują słowa. Będą wyrzucali z administracji, z firm należących do państwa, będą czyścili aż do sprzątaczek. Szykowane są także listy proskrypcyjne!

Ma pan na myśli akcję „Gazety Wyborczej", wskazującą, kogo wyrzucić, i proszącą, by dosyłać własne propozycje? To akcja, która mocno kojarzy się z czasami stalinowskimi.

Tak. Myślę teraz o swoich licznych kolegach z podziemia, czytających tę gazetę, którzy przecież widzą, co się szykuje, i nie reagują. Zapewne usprawiedliwiają swoje milczenie tezą o rzekomym łamaniu praworządności przez ekipę Prawa i Sprawiedliwości. Ale to także bzdura. Taką samą histerię wykreowano w 2007 r. Powołano nawet specjalną komisję kierowaną przez Andrzeja Czumę. Po bez mała czterech latach intensywnej pracy i wydaniu kilku milionów złotych. Komisja stwierdziła, że: „Większość zarzutów wobec rządzących w latach 2005-2007 nie znalazła potwierdzenia".

Czy jednak tym razem sądy nie są dużo bardziej rozgrzane i w wielu przypadkach nie będą potrzebowały żadnych dowodów? Już zapadają skandaliczne wyroki.

Jak się chce kogoś uderzyć, to kij się zawsze znajdzie. No i Andrzej Czuma był jednak człowiekiem, który miał w sobie etos opozycyjny, pewnych granic nie przekroczył. Teraz tego już nie będzie.

Idą Szczerby i Jońskie.

Idzie też Nitras, tego typu ludzie. Dla zemsty zrobią wszystko. Na pewno będą więc akty oskarżenia. Wierzę

eprasa.pl 383475ee03

jednak, że nie wszyscy sędziowie są podatni na naciski, nie wszyscy dali się wciągnąć w politykę i nie wszyscy należą do Iustitii. Niedawno zeznawałem jako świadek w pewnym procesie i byłem pod wrażeniem sędziego, który naprawdę szukał prawdy, nie godził się na to, co mu przyniósł prokurator.

W czasie rządów Donalda Tuska zapadły wyroki na Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika, wyjątkowo hucpiarskie, jawnie polityczne.

Początkowo nie mogli znaleźć prokuratora, który by napisał akt oskarżenia, ale w końcu znaleźli i wyroki zapadły. A kilka lat temu skazano Natalię Nitek-Płażyńską za to, że nagrała Niemca, który zachowywał się, jakby nadal trwała niemiecka okupacja. Można wyliczać bez końca. Politycy partii opozycyjnych, idących po władzę, grożą także dziennikarzom mediów publicznych. To jest naprawdę zabawne, bo sugeruje się, że TVP była „propagandowa", a TVN heroicznie szukała prawdy, ważąc argumenty za i przeciw, balansując konkluzje. To kabaret.

To będą igrzyska, które będą miały przesłonić fakt, że rząd płaci polskimi interesami zagranicy, rezygnuje z ambitnych projektów, wyprzedaje majątek narodowy?

Pokusa sięgnięcia po bezprawie i przemoc będą silne nie tylko z powodów propagandowych. Niemieccy dziennikarze podsuwają Tuskowi ten pomysł bardzo wyraźnie. Lęk przed powrotem PiS do władzy będzie duży, zarówno wśród partii III RP, jak i u naszych sąsiadów. W tle jest przecież proces centralizacji Unii Europejskiej, który – jeśli nie zostanie zatrzymany – zepchnie Polskę do roli bezradnej prowincji, będzie oznaczał koniec naszej niepodległości.

To naprawdę były najważniejsze wybory po 1989 r.

Tak, były najważniejsze, bo zagrożenia na Wschodzie i Zachodzie stały się konkretne. To, co idzie z Brukseli i Berlina, naprawdę przeraża. Nie rozumiem, dlaczego inne państwa śpią, dlaczego nie toczą się poważne dyskusje w tej sprawie. Czy nikt nie widzi tego zagrożenia? Może elitom chodzi o to, by przepchnąć wszystko po cichu.

Czy uda się przekonać Polaków, że będzie im lepiej, jeśli zrzekną się suwerenności, i także – bo to będzie skutek – zrezygnują z prawa do demokratycznego wyboru realnej władzy?

My mamy taką naszą czułość na niepodległość, którą odzyskaliśmy niedawno. I dlatego mimo wszystko tak wielu Polaków widzi te zagrożenia. U nas to nie przejdzie po cichu. Zerwiemy się, powstaną ruchy społeczne. Zresztą w porównaniu z okresem komunizmu mamy dużo: są struktury PiS, także Konfederacji, która moim zdaniem też będzie broniła suwerenności. Są też Kluby Gazety Polskiej, są grupy rekonstrukcyjne i ogromna ilość organizacji patriotycznych. Jest jeszcze Kościół katolicki, zawsze niezawodny w potrzebie. Lecz wagę sprawy powinni zrozumieć również ludzie z drugiej strony.

W jakim sensie?

Nic i nikt nie zniszczy polskiego pierwiastka wolności. A to oznacza, że jeśli współcześni lewicowcy przyłożą rękę do utraty przez Polskę niepodległości, to ich dzieci, wnuki czy prawnuki znów będą musiały zapłacić daninę krwi za jej odzyskanie. Jak uczy historia, wcześniej czy później Polacy upomną się o swoją Ojczyznę, o jej suwerenny byt. Bo one też upomną się o wolność. Zresztą w tym nowym superpaństwie nie będziemy mieli nic do powiedzenia i to szybko wybrzmi. Niestety bardzo dla nas boleśnie.

Wracając do zemsty, którą szykuje opozycja. Tusk mówi tak: rozliczę, ukarzę, a potem się pojednamy i znów będziemy jednością. Co pan sądzi o tej koncepcji?

Wyjaśnijmy sobie jedno: nie będzie żadnego pojednania narodowego pod przywództwem Donalda Tuska. On wie, że w sprawie zamachu w Smoleńsku zachował się haniebnie. A naocznych świadków swojej hańby się zabija. Dlatego pojednania, nad czym boleję, nie mogło być również pod przywództwem Jarosława Kaczyńskiego. Ta nienawiść, którą wykreowała Platforma w stosunku do PiS, jest tak wielka, że tego już nie da się skleić w tym kształcie personalnym.

Potrzeba czasu?

Dużo czasu. Nasze pokolenie musi odejść, może wtedy odbudujemy jedność. Ten podział bardzo nas osłabia, tym bardziej że PO tak się zapiekła w tej nienawiści, że jest gotowa Polsce szkodzić, byle dojść do władzy. Udowodniła to nie raz i nie dwa. Oni to rozpoczęli w 2005 r., oni postawili sobie cel eksterminacji konkurencji. Chcieli i chcą nas dorżnąć, jak to ujął Radosław Sikorski.

Może tym razem im się uda?

Oni nie rozumieją jednego: uważają, że problem leży w sferze politycznej. A to nieprawda. Po prostu w Polsce są i będą ludzie, którzy za niepodległość są w stanie oddać wszystko. My nie znikniemy. Nie wyjedziemy. Będziemy tu trwać i będziemy dbać o polskość. Ona jest naszym życiem, naszą dumą. I choć jestem piłsudczykiem, to powtarzam za Dmowskim: jestem Polakiem i mam obowiązki polskie. Chcę służyć ojczyźnie, bo wiem, że bez tego życie człowieka nigdy nie będzie prawdziwie pełne.

Co będzie najważniejsze w pierwszym okresie, gdy ta rozgrzana władza przystąpi do represji politycznych?

Najważniejsze, by się nie bać. Oraz by być gotowym na represje – mentalnie i instytucjonalnie. Tak jak w PRL: gdy szedłem do więzienia, to nie martwiłem się o rodzinę, bo wiedziałem, że są ludzie, którzy otoczą ją opieką. Kluczowa jest tkanka instytucjonalna, o którą można się oprzeć. I to jest, tego nie trzeba tworzyć od zera. Są też niezależne media, które nie pozwolą, by to wszystko odbywało się w ciszy. Ale najważniejsze jest wzajemne wspieranie się. Niedopuszczenie do tego, by każdy mierzył się z tym wszystkim sam, w pojedynkę.

A więc solidarność?

Tak, solidarność jest sprawą zasadniczą. Ale ważna jest też Solidarność, czyli związek zawodowy, który nie wyrzekł się swoich tradycji, sztandarów i który może stanowić bardzo ważny punkt oparcia w nadchodzących cza-

eprasa.pl 383475ee03

sach. Potrzebujemy też ośrodków dokumentujących wszystko, co się dzieje. Bardzo ważna będzie pomoc prawna i tutaj bardzo liczę na prawników Ordo Iuris. Jeśli będziemy się wzajemnie wspierali, to przetrwamy.

Tusk będzie miał w ręku jedną, mocną kartę: w Europie nie ma sił, które mogłyby się upomnieć o prześladowaną polską opozycję. A może się mylę?

Tak się wydaje, ale zobaczymy. PiS ma silną delegację w europarlamencie, są też posłowie z innych partii, należący do grupy EKR. Sądzę również, że wśród tych sił, które stoją za nowym rządem opozycji, będą i takie, które nie poprą tak twardego kursu. Będzie też wybrzmiewał fakt podstawowy: zarzuty wobec rządów PiS były po prostu wyssane z palca. Całe to gadanie o łamaniu konstytucji, praworządności – to wszystko było fałszywe. A gdy ludzie, którzy głosowali na opozycję, zobaczą rzeczywiste represje, to postawią też pytanie: „Co ja zrobiłem? Co wybrałem?".

Jak ważna będzie obrona tych instytucji, które nowy rząd będzie chciał przejąć, omijając prawo, kalendarz, skracając kadencje? Najważniejszy bój będzie dotyczył mediów publicznych. Jeśli one wpadną w ręce ludzi Tuska, naród nie będzie miał dostępu do rzetelnej informacji, o wielu sprawach społeczeństwo się nie dowie.

To sprawa zasadnicza. Ale niezależnie od tego, czy uda się obronić media publiczne, czy też nie, walka będzie trwała dalej. PiS potrafiło wygrać w 2015 r., mając wsparcie garstki mediów o niewielkim zasięgu. Trzeba też bronić Instytutu Pamięci Narodowej, którego dorobek naukowy jest imponujący. Trzeba bronić Trybunału Konstytucyjnego. Trzeba bić się o każdy kawałek niepodległości, suwerenności, myślenia państwowego i narodowego.

Kluczową sprawą będzie poziom oporu społecznego. Jeśli będzie istotny, zauważalny, może zatrzymać antyspołeczną władzę. Każde zwycięstwo będzie znaczyło wiele, chodzi przecież o ocalenie potencjału naszego państwa. Czy znajdą się ludzie, którzy podejmą tę walkę?

Jestem przekonany, że tak. Na PiS głosowało ponad 7,6 mln wyborców. Oni się nie rozpierzchną. Są też niepodległościowe elity. Dziś wielu ludzi pracuje w różnych instytucjach i trochę ich nie widać, ale wkrótce zostaną wyrzuceni i będą mogli angażować się w różne inicjatywy. Bardzo na to liczę.

> Nic i nikt nie zniszczy polskiego pierwiastka wolności. A to oznacza, że jeśli współcześni lewicowcy przyłożą rękę do utraty przez Polskę niepodległości, to ich dzieci będą znów musiały zapłacić daninę krwi

Czy to mogło się skończyć inaczej? Czy dało się uniknąć tej relatywnej porażki – a więc zwycięstwa, które nie daje władzy?

Pracując na rzecz reelekcji prezydenta Andrzeja Dudy w 2020 r., cieszyłem się ze zwycięstwa, ale jednocześnie już wówczas miałem silne przekonanie, że jeżeli nie trafimy do młodego pokolenia, to kolejne wybory możemy przegrać, bo nasze pokolenie odchodzi. Ale jak trafić do młodzieży konkretnie? Tego nie wiem, tu muszą się wypowiedzieć młodzi których w naszych szeregach trochę jest. Ja mam dobre doświadczenia z młodym pokoleniem. Mam sporo spotkań, czasem w szkołach, czasem w domach kultury wokół filmu „Legiony" i to są zawsze ciekawe rozmowy. Zadają dobre, celne pytania, sporo rozumieją. Nie jesteśmy więc bez szans.

To wszystko jednak nie przekłada się na konkrety. Nie widać nowych środowisk. Ostatnia fala była związana z odkrywaniem pamięci o żołnierzach wyklętych. To było już ponad dekadę temu! Potem – właściwie nic.

Zgoda. Żołnierzy wyklętych wykreował antyrządowy ruch który skupił głównie młodych. Młodych ludzi łatwiej organizować wokół buntu, niezgody na istniejącą rzeczywistość. Jak dostrzegą proces uzależniania naszej Ojczyzny od Niemiec, zbuntują się. Będzie ich można organizować wokół idei suwerenności i niepodległości Polski. Jedno wiem na pewno – nic nie jest wieczne. Lewicowo-liberalne monstrum, dziś wprost zagrażające polskiej niepodległości, też się kiedyś zachwieje, upadnie. Jacek Kaczmarski miał rację, gdy śpiewał: „Dusza moja – pragnie postu, ciało – karnawału!". Nasze życie jest wojną postu z karnawałem. Dobro często przegrywa, bo zło wydaje się atrakcyjniejsze, ale potrzeba wartości zawsze wraca i przełamuje pustkę. Głęboko w to wierzę.

Niestety młode pokolenia odwróciły się także od Kościoła. Nie widzą sacrum, piękna, widzą grzesznych kapłanów. Czy to można jeszcze zmienić?

Głęboko wierzę, że nasz Kościół się oczyści i odrodzi. Że znów będzie opoką dla prześladowanych, twierdzą polskości. Tak jak w czasach zaborów, I i II wojny światowej, czasach terroru komunistycznego i „Solidarności", która bez Kościoła po prostu by nie przetrwała.

Mówi pan, żeby się nie bać. Pan w czasach komuny się nie bał?

Umiałem przełamać lęk. Na zawsze zapamiętałem lekcję, której udzielił mi Władysław Siła-Nowicki. Gdy w czasie procesu naszej grupy esbek groził mu więzieniem, odpowiedział temu młodemu człowiekowi: „Pan to możesz mnie w d...ę pocałować". Wiedział co mówi: był po dwóch wyrokach kary śmierci, przetrwał tortury w stalinowskich więzieniach. My musimy myśleć tak samo. Co z tego, że zrobicie czystki, wyrzucicie ludzi z pracy, wytoczycie ileś procesów, zniszczycie życie wielu ludziom? Nic. Powtarzam za Siłą-Nowickim: „Możecie nas pocałować d...ę".

eprasa.pl 383475ee03

Powrót Balcerowicza

JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

Nie jest już w polityce, nie obejmuje urzędów państwowych, jest jedynie ojcem założycielem think tanku Forum Obywatelskiego Rozwoju. A jednak Leszek Balcerowicz ma znaczące wpływy w kształtującym się obozie nowej władzy. I znów chce wyprzedać Polskę

Dosłownie, literalnie – wyprzedać Polskę. Prof. Balcerowicz nie tłumaczy przy tym, jaki jest bilans zysków i strat z powodu np. prywatyzacji ORLENU, lecz uzasadnia to założeniami ideologicznymi. „To co z takim ORLENEM zrobić? Sprywatyzować?" – zapytał ekonomisty już po wyborach Hubert Biskupski, zastępca redaktora naczelnego „Super Expressu". „Ależ oczywiście" – obruszył się Balcerowicz. Tym razem jednak w rozmowach z dziennikarzami nalega, by nie używać słów nacechowanych emocjonalnie. Nie „wyprzedaż", a „odpolitycznienie". Bo przecież państwowe zawsze jest mniej lub bardziej upolitycznione. Balcerowicz nie myli się co do tego, że gospodarka prywatna jest bardziej efektywna i bardziej niezależna od polityki, ale ten poziom ogólności bardziej przystoi niepełnoletniemu fanowi Janusza Korwin-Mikkego, a nie profesorowi ekonomii i autorowi transformacji gospodarczej sprzed trzech dekad. Zwłaszcza że taki ORLEN reprezentuje nie tylko strategiczną gałąź gospodarki, która w dobie rosyjskiej inwazji na Ukrainę i kompromitacji Unii współpracą energetyczną z Putinem jest po prostu warunkiem naszego bezpieczeństwa, lecz także spółka pod kierownictwem Daniela Obajtka i wcześniej Wojciecha Jasińskiego zaczęła przynosić ogromne zyski. Tylko w tym roku po podliczeniu trzech pierwszych kwartałów zysk operacyjny wyniósł ok. 34 mld zł, a nie jest to najlepszy rok spółki. Balcerowicz z emfazą ogłasza jednak, że to, co państwowe, jest jak „za Gierka", a to, co prywatne, zawsze musi być dobre. Co do zasady zgoda, ale chyba nie dlatego stopnie naukowe z ekonomii wymagają dekad studiów i badań, by na wszystkie pytania odpowiadać kilkoma frazesami z notatniczka Sławomira Mentzena.

POSTMARKSISTOWSKA NOWOMOWA

Tymczasem Balcerowicz wszędzie, gdzie może, zapowiada cięcia budżetowe, chociaż – znowu – woli używać słowa „ograniczenia". Nie chce programów socjalnych, nie chce zmian w podatkach, więc pieniędzy chce szukać właśnie w prywatyzacji. Jego zdaniem PiS dokonało „upartyjnienia gospodarki, czyli nacjonalizacji gospodarki. Mamy największy po Turcji udział własności państwowej, która ostatecznie jest narażona na władzę czy manipulacje polityków". W opinii profesora wyprzedawanie, pardon – odpolitycznianie gospodarki „nie jest ryzykowne dla nowych władz", bo ludzie nie odczują tego bezpośrednim odbieraniem pieniędzy. Balcerowicz w rozmowach z mediami wspomina też o konieczności podniesienia wieku emerytalnego oraz o 800+ tylko dla niektórych. Autor transformacji gospodarczej lat 90. właściwie pozostaje wierny swojej doktrynie

Fot. photowalking/Shutterstock.com

eprasa.pl 383475ee03

sprzed lat, która doprowadziła do bezrobocia i polskiej biedy. I tak jak wtedy, dziś Balcerowicz także liczy się z tym, że część ludzi będzie niezadowolona, lecz nie dlatego, że będzie im gorzej, ale przez... „zawiść". Tak na łamach „Przeglądu Politycznego" w 1993 r. tłumaczył to czytelnikom: „Mamy do czynienia z pewną nową stratyfikacją: na tych, którzy są w stanie lepiej wykorzystywać nowe możliwości, i na tych, którzy są w stanie wykorzystać je gorzej. Ci drudzy, rzecz normalna, przeżywają coś, co można nazwać kosztem psychicznym, którego źródłem jest nieładne, ale ludzkie uczucie: zawiść". No tak, jeśli dzięki neoliberalnemu podejściu do gospodarki co piąty Polak nie miał pracy (a takie były wówczas realia), to faktycznie winna była wyłącznie „zawiść" niezaradnych, a nie rodzinne dramaty, brak pieniędzy, zwijające się państwo i gospodarka.

POWIĄZANIA FINANSOWE I NIE TYLKO

Wiemy więc, że Balcerowicz chce dla Polski dokończenia swojego dzieła z czasu, gdy dość szybko przeskoczył z wykładania marksizmu-leninizmu na wierność dzikiemu kapitalizmowi. Ale czy ma realną możliwość pchnięcia naszej gospodarki na takie tory, sam nie będąc w rządzie? Oczywiście. Wiadomo bowiem, że poza bezpośrednim sprawowaniem władzy można mieć w niej spore wpływy i swoich lojalnych ludzi.

Gdy Szymon Hołownia podczas wieczoru wyborczego mówił o „końcu rozdawnictwa", powtarzał jedynie rady Balcerowicza. Sam ekonomista przyznaje, że głosował na Trzecią Drogę (a konkretnie na Pawła Zalewskiego) i to właśnie program Polski 2050 odpowiada mu najbardziej. Na listach tej koalicji był także zwolennik zwijania państwa i nauk Balcerowicza Ryszard Petru. Lecz nie tylko on. Pewnym łącznikiem między Balcerowiczem a Hołownią jest Michał Kobosko, szef intelektualnego zaplecza Polski 2050. Gdy był redaktorem naczelnym „Newsweeka" czy tygodnika „Wprost" albo kierując polską edycją magazynu „Forbes", spotykał się z guru polskiego neoliberalizmu, panowie prowadzili rozmowy o gospodarce. W 2009 r. obaj przekonywali do szybkiego przyjęcia euro. „To na pewno będzie historyczne wydarzenie" – mówił Balcerowicz w rozmowie z Kobosko. „To wszystko da się szybko zrobić" – konstatował.

Ale wpływy Balcerowicza to nie tylko Trzecia Droga. Profesor jest założycielem Forum Obywatelskiego Rozwoju – tego samego, które przed referendum 15 października organizowało akcje zniechęcające do wypowiedzenia się w sprawie wyprzedaży majątku narodowego. FOR od tygodni straszy Polaków, że – mówiąc w skrócie – „pieniędzy nie ma i nie będzie". Natychmiast po wyborach tę narrację przejęła Platforma Obywatelska, a wpływ na nią ma również środowisko Balcerowicza, m.in. pochodzące z FOR. Prof. Andrzej Rzońca (także zwolennik wyprzedania wszystkiego szybko i gładko) w latach 2017–2020 pełnił funkcję głównego ekonomisty PO, przy okazji był studentem Balcerowicza, później promowanym przez niego w instytucjach polskich i międzynarodowych.

> Gdy Hołownia podczas wieczoru wyborczego mówił o „końcu rozdawnictwa", powtarzał jedynie rady Balcerowicza. Sam ekonomista przyznaje, że głosował na Trzecią Drogę i to właśnie program Polski 2050 odpowiada mu najbardziej

We władzach FOR jest Jan Łukasz Wejchert, syn założyciela TVN, mający wpływy w portalach Onet i WP.pl. W Radzie Fundacji FOR są też ludzie, którzy jednocześnie są niezwykle hojnymi darczyńcami dla ekipy Balcerowicza. Firma Press Glass, której właścicielem jest Arkadiusz Muś, tylko w 2021 r. wpłaciła 500 tys. zł. Firma Jana Wejcherta – 100 tys. zł. Niemiecka Fundacja Friedricha Naumanna – 150 tys. zł. Partnerem FOR jest m.in. Fundacja Adenauera – oba środowiska były zaangażowane w organizację Campusu Polska Przyszłości Rafała Trzaskowskiego. Mówimy tutaj nie tylko o zapleczu Balcerowicza, ale i stricte Platformy. Muś nie tylko wspiera FOR, lecz także partię Donalda Tuska. Tylko w sierpniu 2023 r. przelał na kampanię PO ponad 50 tys. zł. Tyle samo wpłaciła jego córka – łącznie 100 tys. zł. Zaczyna to wyglądać, jakby Balcerowicz i Tusk byli jedynie wynajętymi graczami, mającymi uzyskać coś dla swoich sponsorów – grona najbogatszych Polaków oraz niemieckich instytucji.

DŁUGIE MACKI BALCEROWICZA

Wpływy Balcerowicza są widoczne w Trzeciej Drodze, Platformie Obywatelskiej, wielu mediach liberalnych; środowisko autora polskiej transformacji jest włączone w wielki system biznesowo-polityczny III RP, który stworzył upośledzone państwo nad Wisłą. Tadeusz Syryjczyk, od dekad współpracownik Balcerowicza, będąc w rządzie Tadeusza Mazowieckiego ministrem przemysłu, oburzał kolegów z Solidarności słowami: „Albo kapitał zagraniczny wpłynie do Polski i będziemy pracować u bogatego Niemca, Francuza, Szweda z korzyścią dla kraju [...], albo nie wpłynie i będziemy szukać pracy poza granicami". W horyzoncie myślowym twórców takiej Polski nie ma starań o budowanie własnej gospodarczej potęgi, jest jedynie wizja pracy dla Niemca nad Wisłą albo nad Łabą. *Tertium non datur*.

Oprócz konkretnych powiązań instytucjonalnych, personalnych i finansowych Leszka Balcerowicza istnieje też cała grupa komentatorów oraz liderów opinii, którzy są zachłyśnięci nauką profesora. Jeśli ekipa Tuska zacznie za chwilę wyprzedawać kraj, to oni pierwsi będą przygrywali takim „reformom" w takt niemieckich marszów.

eprasa.pl 383475ee03

Lewicy droga do współrządzenia

W wieczór wyborczy w sztabie Lewicy nastroje były niezwykle optymistyczne. Miało być pięknie, lecz rzeczywistość wcale nie jest taka różowa

DOROTA ŁOSIEWICZ

„Po 18 latach Lewica wraca do współrządzenia. Chcę wam powiedzieć, że nikt nam tego nie zabierze" – mówił podczas wieczoru wyborczego wiceszef Nowej Lewicy Włodzimierz Czarzasty. Niedługo potem zaczęły się schody.

CEL: ZMARGINALIZOWAĆ LEWICĘ

– W perspektywie dwóch lat PO będzie dążyć do rozbicia Lewicy, bo po co mieć dwóch koalicjantów, skoro można mieć tylko jednego. Tusk nas nie lubi i nie polubi – usłyszałam od jednego z polityków Lewicy kilka dni po wyborach. Tę kasandryczną wizję dość szybko potwierdziły medialne spekulacje o tym, że Trzecia Droga i PO próbują zmarginalizować Lewicę. „Politycy KO i Trzeciej Drogi kombinują, jak zbudować większość sejmową i rząd bez 26 posłów Czarzastego i Zandberga" – informował portal wPolityce.pl. W rozmowie ze mną w studiu wPolsce.pl aktualny sekretarz klubu parlamentarnego Lewicy Dariusz Wieczorek, negocjator koalicyjnego porozumienia (wspólnie z Krzysztofem Gawkowkim, wiceprzewodniczącym Nowej Lewicy) bagatelizował te doniesienia. „Na te newsy mogę się tylko uśmiechnąć. To są kompletne bzdury. Ja bym apelował do PR-owców PiS, by dali sobie spokój z tego typu mieszaniem" – mówił Wieczorek.

Jednak w „Kwadransie politycznym" TVP, kilka dni po wyborach, zastępca przewodniczącego Polski 2050 Michał Kobosko, którego raczej nie można uznać za PR-owca PiS, pytany przeze mnie o szanse na objęcie przez Czarzastego funkcji marszałka Sejmu, na co ten ma wielką ochotę, stwierdził: „Nie wydaje mi się, żeby po wyniku Nowej Lewicy można było w jego przypadku mówić o tak wybijającej się roli, jeżeli chodzi o prezydium Sejmu" – komentował Kobosko. W tym samym programie w rozmowie z Krzysztofem Ziemcem sekretarz generalny Nowej Lewicy Marcin Kulasek odgryzał się: „Przed wyborami Donald Tusk zwrócił się z apelem, żeby głosować na Trzecią Drogę, bo inaczej będzie trzecia kadencja PiS. O to samo apelował prezydent Aleksander Kwaśniewski. Wynik dobry, nie zazdrościmy, upominamy kolegów, że ambicje trzeba powściągnąć, bo gdyby się nie wydarzył ten apel, to mogłoby być różnie".

W rozmowie ze mną Marcin Kulasek dodaje: „Przypomnę tylko, że bez Lewicy nie będzie większości rządowej. Kolegom z Trzeciej Drogi wygodnie mówić o 65 mandatach, ale jak przyjrzymy się

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 383475ee03

bliżej, to zobaczymy, że PSL ma 27 mandatów, czyli podobnie jak Lewica, a przecież mamy jeszcze dziewięciu senatorów, Polska 2050 ma 31 mandatów, a reszta należy do Centrum dla Polski i Bezpartyjnych, którzy startowali z Trzeciej Drogi. Tak więc partie tworzące Trzecią Drogę mają zbliżoną do Lewicy liczbę mandatów".

Jednak liberalne media dość chętnie i często piszą o słabym wyniku Lewicy, a politycy tej partii przyznają, że może chodzić o osłabienie pozycji negocjacyjnej formacji. Jeden z takich krytycznych tekstów opublikował na łamach Wirtualnej Polski prof. Marek Migalski, twierdzący, że „najwięcej problemów przy tworzeniu nowego rządu oraz w czasie jego działania stwarzać będzie najmniejszy jego element, czyli Lewica". Migalski wylicza: „Liczby są bezwzględne – na Lewicę w 2019 r. oddano ok. 2,3 mln głosów, a dwa tygodnie temu tylko 1,8 mln. W procentach wygląda to tak, że przed czterema laty stanowiło to 12,5 proc., a teraz tylko 8,6 proc. W przeliczeniu na mandaty obraz jest dramatyczny, bo oznacza spadek z 49 posłów w 2019 r. do 26 w obecnym Sejmie".

Tekst Migalskiego z wyróżnionym powyższym fragmentem triumfalnie podawał na platformie X (d. Twitter) były premier z ramienia SLD Leszek Miller. Ta satysfakcja budzi irytację w Lewicy: „Warto przypomnieć, że to Leszek Miller wyprowadził SLD w 2015 r. z parlamentu i to dzięki niemu PiS miało wówczas samodzielną większość. Leszek Miller mówił kiedyś, że mężczyznę poznaję się nie po tym jak zaczyna, a jak kończy, a on już dawno powinien skończyć" – odpowiada zapytany o tę publikację Kulasek.

KARUZELA STANOWISK

Od innego z polityków słyszę, że z algorytmu wynika, iż Lewica powinna uzyskać dwa resorty plus coś istotnego w Sejmie lub Senacie. W momencie, w którym piszę ten tekst (a ustalenia koalicjantów zmieniają się z dnia na dzień), realny wydaje się scenariusz, że funkcja marszałka Sejmu, na której bardzo ma zależeć Czarzastemu, będzie miała charakter rotacyjny. Na tym stanowisku mieliby się zmieniać lider Polski 2050 Szymon Hołownia oraz współprzewodniczący Nowej Lewicy. „Rotacyjny system pełnienia funkcji marszałka Sejmu to dobra koncepcja dla Polski i dla stabilności Sejmu w partiach koalicyjnych. Powinno być dwóch marszałków Sejmu, bo są dwie formacje, które współpracują z PO, a ta będzie miała swojego premiera" – mówił w TVN24 Krzysztof Gawkowski; miałby on jednocześnie objąć tekę wicepremiera. Przyznawał jednak, że jeszcze nic nie zostało podpisane. Z informacji PAP wynika, że umowa koalicyjna ma być gotowa w poniedziałek, czyli w chwili, gdy czytelnicy dostaną ten numer tygodnika „Sieci" do rąk.

– Problem ze stanowiskiem marszałka Sejmu polega na tym, że jest zbyt wielu chętnych do objęcia tej funkcji. Także PO oprócz stanowiska premiera ma chrapkę na to stanowisko. Partiom opozycyjnym, które mają współrządzić, niekoniecznie podoba się sytuacja, w której Platforma miałaby zagarnąć wszystko. PO tych wyborów nie wygrała, bo w poprzednich wyborach uzyskała 134 mandaty, a teraz 122. Elektorat poszerzyła jako Koalicja Obywatelka, mając na pokładzie takie osoby, jak Michał Kołodziejczak czy Roman Giertych i parę innych spoza PO. Trzecia Droga także ma ochotę na fotel marszałka Sejmu, bo nie jest tajemnicą, że Hołownia chce kandydować w wyborach prezydenckich, a kandydowanie z pozycji marszałka byłoby najwygodniejszym rozwiązaniem i idealnym punktem startu. Jednocześnie wiemy, że najsprawniej można rządzić, gdy premier ma swojego marszałka, bo istotna jest szybkość postępowania ustawodawczego – wylicza zarzewia konfliktu, te oprócz programowych, Piotr Kusznieruk, członek Zarządu Krajowego Nowej Lewicy. Pytam więc, czy działaczom frakcji SLD podoba się pomysł, by wicepremierem został Gawkowski, który aktualnie jest we frakcji Wiosny. „Nie ma już tak ostrego podziału między działaczami frakcji Wiosna a SLD, bo ten podział zatarł czas" – uważa Kusznieruk.

Jednak posłowie z frakcji SLD z lekkim niepokojem patrzą na to, że nie bierze się ich pod uwagę przy rozdziale stanowisk, bo lider partii skupił się na walce o fotel marszałka, odpuszczając całą resztę. Co prawda słychać, że resort edukacji mogłaby objąć Agnieszka Dziemianowicz-Bąk (frakcja SLD), a na fotel ministra zdrowia ma ochotę Marcelina Zawisza (Razem), ale szczególnie o tej ostatniej kandydaturze mało kto myśli na poważnie.

Moi rozmówcy pytani o to, dlaczego Włodzimierz Czarzasty nie chce być wicepremierem i woli oddać tę funkcję Krzysztofowi Gawkowskiemu, mają na ten temat różne teorie. Jedni twierdzą, że chciałby być wicepremierem, ale nie sprzyja temu układ sił. Inni mówią, że być może obawia się, że zdrowie nie pozwoli mu sprawować tak obciążającej funkcji. Słyszę też, że są w klubie Lewicy posłowie, których w ogóle nie interesują ministerialne teki, bo gdy się zorientowali, jak trudne będzie współrządzenie, nie chcą legitymizować rządu twarzą. Tu pada m.in. nazwisko posła Tomasza Treli czy Andrzeja Szejny, którzy wolą działać w partii, klubie czy komisjach sejmowych.

Niezadowolenie z przebiegu rozmów przyszłych koalicjantów głośno artykułowała w mediach Magdalena Biejat, współprzewodnicząca (obok Adriana Zandberga) partii Razem, która uzyskała mandat senatora, i gdyby nie apetyty Czarzastego na dzierżenie laski marszałkowskiej, miałaby szansę objąć stanowisko marszałka Senatu. W obecnym układzie może liczyć co najwyżej na marszałkowanie rotacyjne. O ile w ogóle. „Ja bym chętnie została marszałkiem Senatu, ale nie jest kwestią zasadniczą, kto na jakim stanowisku zasiądzie, tylko to, jaki programowo rząd się ułoży" – stwierdziła w Radiu ZET Biejat.

Politycy Lewicy przyznają, że w koalicyjnej układance sporym problemem jest partia Razem, mająca niski poziom akceptacji dla programowego porozumienia z liberałami. Nieoficjalnie dowiaduję się, że nie można wykluczyć, iż niektórzy posłowie z Razem wstrzymają się w głosowaniu nad wotum zaufania dla premiera Donalda Tuska. A to, czy partia ta będzie tworzyła z Nową Lewicą klub, czy powoła osobne koło, ma być uzależnione od tego, co znajdzie się w umowie koalicyjnej – czy pojawią się tam prawa kobiet, sprowadzone do liberalizacji przepisów aborcyjnych, temat umów śmieciowych czy praw pracowniczych. Tak więc politycy Lewicy muszą się dogadać nie tylko z koalicjantami, lecz także sami ze sobą. I nie wiadomo, co jest trudniejsze. Wszyscy jednak zapewniają: dogadamy się i będziemy współrządzić.

eprasa.pl 383475ee03

KPO: mało chętnych na znaczone unijne pieniądze

Wiele wskazuje na to, że wielki unijny projekt Funduszu Odbudowy może się okazać wielką porażką. Gigantyczne pożyczki mogą zagrozić euro i systemowi finansowemu UE

DARIUSZ MATUSZAK

Fundusz na odbudowę europejskiej gospodarki po COVID-19 miał być sztandarowym dziełem Brukseli. Jak mówił przewodniczący Rady Europejskiej Charles Michel, „przewrotem kopernikańskim". Według eurokraty Unia co i rusz przeżywa takie kopernikańskie przewroty – w polityce energetycznej, obronnej – więc aż dziw, że jeszcze istnieje. Wyjątkowość projektu polega na tym, że UE, emitując obligacje i umieszczając je na rynkach, zaciąga ogromne pożyczki – docelowo ok. 800 mld euro, a ich zwrot jest gwarantowany unijnym budżetem. W teorii dług staje się wspólny, czyli wszystkie państwa mają odpowiadać za spłatę. Pieniądze z Funduszu Odbudowy przekazywane są dalej poszczególnym krajom na ich krajowe plany odbudowy (KPO) w formie pożyczek i spłacanych podatkami grantów. Oczywiście Unia, jak broker finansowy, zarabia na operacji, bo może uszczknąć procenciki od dystrybuowanych kwot.

Fundusz miał nie tylko odbudować gospodarkę, lecz także autorytet władców UE, którzy chcieli pokazać swą moc po kompromitacji w czasie pandemii. Wtedy Komisja Europejska nie była nawet w stanie skoordynować ruchu na obszarze Wspólnoty i poszczególne państwa zamykały granice, jak chciały i kiedy chciały, paraliżując Europę. Niczym drogowi zbóje przejmowały też transporty środków sanitarnych. A wtedy wyszła ona, cała na biało – przewodnicząca Ursula von der Leyen i triumfalnie obwieściła, że KE załatwiła 50 respiratorów. Jaka moc! Prawie po dwie sztuki na kraj! Katastrofą okazał się też wspólny zakup szczepionek. Unia dostała je znaczniej później niż reszta Zachodu. Najlepiej podsumował to ówczesny wicekanclerz Olaf Scholz, który na posiedzeniu rządu walił pięścią w stół i krzyczał, że „to Scheisse jest najlepszą reklamą brexitu".

Wiele jednak wskazuje na to, iż kolejny projekt KE okaże się porażką, a może i katastrofą. Wydaje się, że zdają sobie z tego sprawę europejskie rządy, bo choć pieniądze są, to mało kto je chce. Zaledwie siedem państw zgłosiło się po kredyty z liczącej 380 mld euro pożyczkowej części funduszu. Tam są pieniądze, o których opozycja krzyczała, że nam się należą i przez PiS nie możemy ich otrzymać. To było kłamstwo. Możemy dostać pożyczkę, a nie darmowe pieniądze w ramach dotacji. Ci, którzy się darli, że rząd nas zadłuża, wołali też najgłośniej, że nie ma pieniędzy z KPO, czyli że nie zadłużamy się jeszcze bardziej.

Unia udzieliła pożyczek na zaledwie 47 mld euro, z czego 38 mld trafiło do

Fot. Travelview/Shutterstock.com

eprasa.pl 383475ee03

Włoch. „Die Welt" pisze, że Włosi złożyli w Brukseli projekty dotyczące m.in. budowy zasilanej energią słoneczną kliniki dla psów ulicznych czy muzeum szynki. To drobiazgi i nie wina Brukseli, że kraje zgłaszają idiotyczne pomysły, przy czym pierwszy – dotyczący psów – z powodu magicznego pojęcia „energia słoneczna" ma szansę akceptacji, trzeba jednak przyznać, że ich autorzy rozumieli, iż w KPO nie chodzi o odbudowę gospodarki.

Włochy z Hiszpanią są też największymi odbiorcami niby-bezzwrotnych dotacji, które zostaną zwrócone z dodatkowych podatków. Rzym pobrał 29 mld, a Madryt 37 mld euro. Państwa unijne zgodziły się na zwiększenie zasobów własnych Brukseli, więc teraz będą płacić jej na zwrot pożyczek pieniędzmi z rozszerzonego ETS, opłat – węglowej, transgranicznych i cyfrowych. O tym, czy to zadziała, przekonamy się w 2027 r.

KAMIENI MILOWYCH KUPA

Czemu mało kto chce te pieniądze? M.in. dlatego, że towarzyszy im, by sparafrazować posła Sienkiewicza, „kamieni milowych kupa". Nie tylko Polska ma problem z jej uskładaniem. Belgia np. nie realizuje reformy emerytalnej. Poszczególne kraje uskładały średnio 17 proc. owych kamieni. Już w samym założeniu Funduszu Odbudowy tkwił więc problem i eurokracja nie może powiedzieć: „Chcieliśmy dobrze, a wyszło jak zwykle", bo nikt w Brukseli dobrze nie chciał. Szybko się okazało, że nie jest to projekt odbudowy gospodarki, lecz zawłaszczania władzy, dalszej unifikacji Unii, np. poprzez budowę jednego systemu emerytalnego czy podatkowego, zaciskania więzów, tak że całkowicie krępują one państwa członkowskie.

W przypadku Polski chodziło też o efekt propagandowy. Blokowanie Krajowego Planu Odbudowy było narzędziem mającym pomóc opozycji w zdobyciu władzy, bo mogła bez przerwy się wydzierać: „Gdzie są pieniądze z KPO", „Cała Polska czeka na pieniądze z KPO", „Rury zapchane, dach przecieka, bo nie ma pieniędzy z KPO". Opozycji też nie chodziło o te pieniądze, tylko o wmawianie, że bez nowego „planu Marschalla", jak u Kononowicza, niczego nie będzie. Dlatego robiła w Brukseli wszystko, by je blokować.

Unijne pieniądze są znaczone. Aż 37 proc. środków ma być przeznaczone na tzw. zielony ład, czyli zmarnowane na coś, co nie działa albo jest szkodliwe. Ilustrują to przykłady choćby z ostatniego tygodnia. Właśnie się okazało, że jeśli Berlin nie poręczy 15 mld euro, to zbankrutuje Siemens Energy, właściciel drugiego w Europie producenta wiatraków prądotwórczych – Siemens Games. Ten bowiem ma gigantyczne straty. Na skraju upadku jest największy na świecie operator elektrowni wiatrowych na morzu – duński Ørsted. Firma ogłosiła, że straty za dziewięć miesięcy 2023 r. wynoszą 5,6 mld dol.

Kolejne 20 proc. unijnych środków trzeba wydać na cyfryzację, co może oznaczać permanentną inwigilację i budowę jak w Chinach systemu kredytu społecznego, w którym nieprawomyślni obywatele są pozbawiani praw. Programy pilotażowe działają już we Włoszech, a najlepiej można to rozpoznać po cenzurze. To ponury paradoks – w UE nie powstało żadne liczące się medium społecznościowe, ale jest ona prymusem w śledzeniu treści i zaprowadzaniu cenzury w nich, co potwierdza Akt o Usługach Cyfrowych (DSA).

KREDYT DLA STARYCH MAŁŻEŃSTW

Problem funduszu polega też na tym, że trucizną może okazać się to, co miało być jego największą zdobyczą – że członkowie Unii żyrują sobie nawzajem i mogą np. spłacać kredyty Włochów, którzy zbudują muzeum szynki. Nic tak bowiem nie łączy nienawidzących się małżonków, jak wspólny majątek i kredyt do spłacenia. Więzy mające scalać Europę mogą się okazać dla Brukseli stryczkiem. Największymi beneficjentami funduszy odbudowy są bowiem kraje najbardziej zadłużone, niemal bankruci. Dług Włoch sięga 147 proc. PKB, Hiszpanii zaś 111 proc. Spłata zaciągniętych przez UE pożyczek ma się rozpocząć w 2027 r., gdy przypadną pierwsze terminy wykupu obligacji. Od kogo? Nie wiadomo. Może od funduszy inwestycyjnych, a może też Chin. Tak czy owak, za trzy lata Unię sięgnie każąca ręka odsetek. By mogła regulować długi, najpierw muszą to zrobić Hiszpania, Włochy itd. To oznacza, że oprócz obsługi wcześniejszych zobowiązań, muszą odkładać na spłatę KPO. I tu kolejny problem. W strefie euro pieniądz zawsze był tani. EBC utrzymywał stopy na praktycznie zerowym poziomie. Teraz z powodu inflacji bank podniósł je do 4–4,5 proc., co oznacza ogromy wzrost kosztów obsługi długu.

CZAS ROZKOSZNEJ ZEMSTY?

Już niedługo dojdzie więc do wielkiej kumulacji. Jeśli gospodarki państw bankrutów radykalnie nie wzrosną, to może się okazać, że nie są w stanie spłacać długów. Już Grecja w 2011 r. prawie wywróciła euro i system finansowy Europy, a co dopiero, gdy długów nie będzie w stanie regulować trzecia i czwarta co do wielkości gospodarka UE. W optymistycznym wariancie może dojść pesymistycznie do tak pięknej katastrofy, jak u Greka Zorby. Dlaczego mowa o pesymistycznie optymistycznym wariancie? Bo paradoksalnie ratunek może się kryć w katastrofie. Jeśli Hiszpania i Włochy nie będą spłacać swych pożyczek, to Bruksela będzie musiała wykupywać obligacje pieniędzmi z własnego budżetu. Odwrócą się więc role. Do tej pory to Unia karała kraje, np. Polskę, wstrzymaniem funduszy, ale gdy będzie musiała za swoje (za nasze – ze składek, cła, VAT itd.) wykupywać obligacje, to nie będzie miała czym szantażować, bo nie będzie funduszy do rozdzielania. Stanie się zależna od wpłat także z Polski i może to być nasz czas rozkosznej zemsty. Przetrwanie UE oraz euro będzie też zależeć od naszych pieniędzy. Już teraz Brukseli brakuje 60 mld euro na budżet 2021–2027 i szefowa Parlamentu Europejskiego Roberta Metsola błaga rządy o wpłaty. Oczywiście nie musi się to tak skończyć, ale być może to będzie okazja do zmiany ustroju Unii i wyrwania jej z rąk zepsutej eurokracji.

Tak czy owak, jest już po wyborach i czas zapomnieć o KPO. Trzeba trzymać się z daleka od znaczonych unijnych pieniędzy. Projekt UE może okazać się katastrofą, a póki co nie jesteśmy stroną żadnej pożyczki. To nie my będziemy mieć kłopot z ich spłatą, a Bruksela. W takich warunkach być może przyjdzie nam się żegnać z KPO, a przy okazji znów wyjdzie na jaw, kto oszukiwał i kłamał.

eprasa.pl 383475ee03

Kościół kroczący w nieznane

GRZEGORZ GÓRNY

Zakończony właśnie watykański synod ds. synodalności jest tylko jednym z etapów dłuższego procesu, którego celem jest zmiana oblicza Kościoła

Jeszcze uczestnicy watykańskiego synodu ds. synodalności nie zdążyli rozjechać się do swoich domów, a już w przestrzeni publicznej zaczął się pojedynek o interpretację tego wydarzenia. Jako jeden z pierwszych głos zabrał przewodniczący niemieckiego episkopatu bp Georg Bätzing, który powiedział, że na synodzie, stanowiącym „duży krok dla Kościoła powszechnego", ujawniło się życzenie większości, by zrewidować katolicką etykę seksualną. Dostojnik wypowiadał się tak, jakby realizacja postulatów, z którymi przyjechał do Rzymu, wydawała się kwestią czasu. Czy jednak dobry humor niemieckiego hierarchy jest uzasadniony? Żeby odpowiedzieć na to pytanie, wróćmy do początków watykańskiego wydarzenia.

ZREWOLUCJONIZOWANA INSTYTUCJA

Nie był to synod biskupi taki, jak wszystkie inne w przeszłości. Zgodnie z prawem kanonicznym synod jest zgromadzeniem biskupów, na którym tylko oni mają prawo głosu, natomiast świeccy, jeżeli się tam pojawią, występują jedynie w roli ekspertów, doradców lub konsultorów. Tym razem jednak Franciszek – jak stwierdził portal Vatican News – „zrewolucjonizował instytucję synodu biskupów", dając prawo głosu nie tylko biskupom i niektórym pojedynczym kapłanom (np. przedstawicielom zakonów męskich), lecz także osobom świeckim. Wprowadził też w 70-osobowym gremium świeckich parytet płci, dopuszczając do czynnego udziału w synodzie sporą grupę kobiet. W ten sposób po raz pierwszy w historii Kościoła pojawiła się nowa funkcja: matki synodalnej.

Synod rozpoczął się 4 października. W auli Pawła VI ustawiono wiele okrągłych stołów, przy których posadzono po 12 gości z całego świata. Przebieg ich rozmów był nieznany, ponieważ na wszystkich uczestników nałożono tzw. tajemnicę papieską, czyli zakaz ujawniania tego, co się powiedziało i usłyszało podczas obrad. Każdy stolik jawił się jako oddzielna monada, niemająca kontaktu z innymi i nieświadoma tego, co się dzieje przy sąsiednim stoliku. Codziennie każda grupa poruszała odrębne zagadnienie, które zostało jej z góry przydzielone, przy czym każda miała swój własny program, nieznany innym.

Organizatorzy wydarzenia przypominali, że pochodzące z języka greckiego słowo „synod" można przetłumaczyć jako „idący wspólnie", „kroczący razem", jednak w praktyce wyglądało to jak siedzący osobno.

Przy stolikach uczestnicy mieli się wypowiadać na zadany temat, jednak nie mogli się odnosić do wystąpień swoich poprzedników, a zwłaszcza dyskutować lub polemizować z wyrażanymi przez nich poglądami. Nie można było też nazajutrz wracać do tematyki z dnia poprzedniego, nawet jeśli zapomniało się czegoś powiedzieć lub przez noc przemyślało się dane zagadnienie. Najważniejsze miało być słuchanie innych, a wszystkie głosy musiały zostać uwzględnione. W efekcie każdy postulat mógł zostać uznany za opinię najwyższej rangi, która musiała znaleźć miejsce w dokumencie końcowym synodu.

TRZY MINUTY PRZEZ 25 DNI

Oprócz pracy w grupach organizowano też sesje plenarne, jednak wyglądały one inaczej niż na dotychczasowych sy-

Fot. Ricardo Perna/Shutterstock.com

25/1023/F

eprasa.pl 383475ee03

nodach, gdzie biskupi mieli swobodę wypowiadania się na różne tematy. Teraz wszystkie wystąpienia mogły trwać maksymalnie trzy minuty. Były prefekt Kongregacji Nauki Wiary kard. Gerhard Müller skarżył się, że przez 25 dni trwania synodu został dopuszczony do głosu tylko raz i przemawiał zaledwie trzy minuty, mimo iż wiele razy zgłaszał się do wypowiedzi. Był jednak celowo pomijany przez prowadzących sesje, podobnie jak inni zwolennicy katolickiej ortodoksji. Bardzo często natomiast – jak zauważał purpurat – przekazywano mikrofon osobom nawołującym do zmian w nauczaniu Kościoła, zwłaszcza w dwóch obszarach: moralnej akceptacji dla homoseksualizmu oraz kapłaństwa kobiet. Według relacji Müllera nie można było polemizować z takimi wypowiedziami, ponieważ padały wówczas zarzuty o niedostateczne wsłuchiwanie się w głos Ducha Świętego.

Kardynał zauważył zresztą, że zwolennicy rewolucji teologicznej w Kościele nieustannie powoływali się na Ducha Świętego, by uzasadnić zmiany, które chcą wprowadzić. „Wprowadzają jednak nową hermeneutykę, za pomocą której chcą pogodzić Słowo Boże z tymi ideologiami – ideologiami antychrześcijańskimi. Ale nie możemy pogodzić Chrystusa i Antychrysta" – mówił wspomniany dostojnik w wywiadzie dla „National Catholic Register" już po zakończeniu synodu.

CZYM JEST SYNODALNOŚĆ?

Podczas obrad wiele nieporozumień wzbudzało samo rozumienie pojęć „synod" i „synodalność". Hierarchowie z Kościołów wschodnich zaprotestowali przeciw nazywaniu watykańskiego wydarzenia synodem, ponieważ nie spełnia ono takiej definicji i nie ma nic wspólnego z tradycją eklezjologiczną ich wspólnot. W odpowiedzi Stolica Apostolska musiała wydać oświadczenie, że co prawda zebrane w Rzymie zgromadzenie nie jest synodem biskupów ani w sensie kanonicznym, ani w świetle tradycji Kościołów wschodnich, jednak Franciszek zdecydował się nadać taką rangę temu wydarzeniu.

Wspomniany kard. Müller stwierdził: „W rzeczywistości to nie jest synod biskupów, lecz bardziej przypomina anglikańską koncepcję synodu, składającego się z trzech izb i wzorującego się na świeckim parlamencie. To nie jest Kościół katolicki".

Wielu uczestników nie wiedziało też, jak rozumieć słowo „synodalność", które w dokumencie roboczym poprzedzającym synod (tzw. Instrumentum laboris) pojawiło się aż 342 razy, podczas gdy imię Jezus tylko 14 razy. Jak informuje oficjalna watykańska strona internetowa synodu: „Synodalność oznacza szczególny styl, który określa życie i misję Kościoła, wyrażając jego naturę jako Ludu Bożego, który idzie razem i gromadzi się w zgromadzeniu, zwołanym przez Pana Jezusa mocą Ducha Świętego w celu głoszenia Ewangelii. Synodalność powinna wyrażać się

REKLAMA

w zwyczajnym sposobie życia i pracy Kościoła. Synodalność w tej perspektywie to znacznie więcej niż celebracja spotkań kościelnych i zgromadzeń biskupów lub kwestia prostego wewnętrznego zarządzania Kościołem; jest to specyficzny *modus vivendi et operandi* Kościoła, Ludu Bożego, który objawia i nadaje sens jego bytowi jako komunii, gdy wszyscy jego członkowie idą razem, gromadzą się i biorą czynny udział w jego misji ewangelizacyjnej".

Ta definicja jest tak ogólnikowa, że na jej podstawie trudno by było odpowiedzieć, na czym właściwie polega ów specyficzny *modus vivendi et operandi* Kościoła, jakim jest synodalność. Jeszcze przed rozpoczęciem watykańskich obrad kard. Joseph Zen z Hongkongu zauważył ze zdziwieniem, jak można nazywać synodalność konstytutywnym wymiarem życia Kościoła, skoro przez 20 wieków było to pojęcie zupełnie w nim nieobecne. Przed pontyfikatem Franciszka nie ma właściwie żadnych dokumentów Magisterium, poświęconych temu zjawisku. Dlatego wśród końcowych wniosków obecnego synodu znalazło się wezwanie do „teologicznego pogłębienia terminologicznego i pojęciowego rozumienia pojęcia i praktyki synodalności". Cytowany postulat zdradza niepewność wielu uczestników, iż tak naprawdę do końca nie wiedzą, w czym uczestniczą.

WIELOZNACZNE ZAPISY

Podczas tego typu zgromadzeń ważne jest nie tylko to, kto organizuje prace i układa agendę wydarzenia, lecz także to, kto redaguje końcowe dokumenty. W przypadku watykańskiego synodu praca komisji redakcyjnej musiała pozostawić wiele do życzenia, skoro uczestnicy zgłosili ok. 1,5 tys. poprawek do końcowego tekstu. Niektóre z nich zasadniczo zmieniały ostateczny wydźwięk dokumentu w niektórych punktach. W pierwotnej wersji znalazł się np. postulat, by jako nowy organ kościelny utworzyć „stały synod biskupów", mający za zadanie wspieranie papieża. Propozycja została jednak odrzucona. Większość opowiedziała się za dotychczasową praktyką, zgodnie z którą synod jest organem tymczasowym, a jego skład jest odtwarzany na nowo podczas każdej kolejnej sesji.

Najwięcej kontrowersji dotyczyło oczywiście postulatów związanych z nauczaniem moralnym, a zwłaszcza etyką seksualną Kościoła. W tych kwestiach ważne było użycie każdego słowa. Z pierwotnej wersji dokumentu usunięto więc określenie „LGBTQ+". Pojawiło się ono w kontekście „osób, które czują się marginalizowane lub wykluczone z Kościoła", które „również proszą o wysłuchanie i towarzyszenie". Organizatorzy synodu nie wyjaśnili powodów zniknięcia owego akronimu, jednak kard. Blase Cupich zasugerował, że stało się tak na skutek nacisku delegatów z Globalnego Południa. Inny uczestnik synodu, najbardziej wpływowy homolobbysta w Kościele katolickim, amerykański jezuita ks. James Martin, skomentował to stwierdzeniem, że ostateczna wersja dokumentu „nie odzwierciedla faktu, że temat osób LGBTQ pojawiał się wielokrotnie zarówno w wielu dyskusjach przy stole, jak i podczas sesji plenarnych, wywołując szeroko rozbieżne poglądy".

> Choć bp Bätzing ogłosił, że synod otworzył przestrzeń dla radykalnych zmian w Kościele, to inni hierarchowie stwierdzili coś odwrotnego, mówiąc, iż tak naprawdę w doktrynie Kościoła nic się nie zmieniło i nie zmieni

Ogólnie poprawki wprowadzane do końcowego dokumentu szły w takim kierunku, by znaleźć kompromisowe rozwiązanie, mogące zadowolić wszystkich uczestników. Tak było np. w przypadku zapisu, iż „pilnie należy zadbać o to, aby kobiety mogły uczestniczyć w procesach decyzyjnych i przyjmować odpowiedzialne role w duszpasterstwie i posłudze". W tym ogólnikowym zdaniu mogli odnaleźć się zarówno zwolennicy święceń kapłańskich oraz diakońskich dla kobiet, jak i przeciwnicy takich praktyk. Podobnie było w wielu innych kwestiach. Nie ma więc nic zdumiewającego w tym, że bp Bätzing ogłosił, iż synod otworzył przestrzeń dla radykalnych zmian w Kościele. Nie ma też nic dziwnego, że inni hierarchowie stwierdzili coś odwrotnego, mówiąc, iż tak naprawdę w doktrynie Kościoła nic się nie zmieniło i nie zmieni. Wieloznaczne zapisy pozwalają bowiem wszystkim na różne, nawet wzajemnie wykluczające się, interpretacje.

Tak naprawdę jednak zakończony niedawno synod to tylko jeden z rozłożonych w czasie etapów dłuższego procesu, którego celem jest zmiana oblicza Kościoła. Następna odsłona ma się odbyć za rok w Watykanie. Przez ten czas zapewne będzie następować stopniowe oswajanie wiernych z dalszymi przemianami, odmierzane kolejnymi papieskimi słowami i gestami, wypowiedziami kardynałów oraz biskupów, a także akcjami księży i świeckich.

Dokąd to wszystko zmierza? Franciszek odpowiada, że trzeba być otwartym na niespodzianki i dać się prowadzić Duchowi Świętemu. Pozostaje mieć więc nadzieję, że Duch Święty rzeczywiście sprawi niespodziankę tym, którzy chcą zmienić Kościół na swój obraz i podobieństwo.

Fot. Riccardo De Luca - Update/Shutterstock.com

SIECI

11 LISTOPADA

WIELCY MĘŻOWIE NIEPODLEGŁOŚCI

i zapracowane kobiety

ORLEN
PARTNER WYDANIA

Ojcowie i architekci polskiej niepodległości

To że Polacy zdobyli niepodległość pod kierownictwem swoich wielkich przywódców, często ze sobą wręcz skłóconych, jest niewątpliwym ewenementem na skalę światową

Z prof. Józefem Brynkusem z Uniwersytetu Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie, historykiem, badaczem dziejów tożsamości i świadomości historycznej Polaków i historii komunistycznej Polski, rozmawia Piotr Słabek

Przedstawiając proces odradzania się państwa polskiego jako ojców niepodległości Rzeczypospolitej, często wymienia się duże grono postaci historycznych, przede wszystkim jednak Józefa Piłsudskiego, Romana Dmowskiego, Ignacego Jana Paderewskiego, Ignacego Daszyńskiego, Wojciecha Korfantego, Wincentego Witosa. Czy to właśnie im zawdzięczamy wolność?

Józef Brynkus: To, o czym będę mówił, jest moją indywidualną wizją okoliczności odzyskania przez Polaków niepodległości w 1918 r. i konstytuowania się państwa polskiego w okresie międzywojennym. Nie jestem w stanie w krótkiej wypowiedzi poruszyć wszystkich kwestii, toteż pewnie wiele osób może do tej wizji podejść krytycznie, zauważając, że coś lub kogoś pominąłem albo odwrotnie – przeceniłem. Najpierw chciałbym jednak zauważyć, że to, co Polacy osiągnęli, także pod kierownictwem swoich wielkich przywódców, często ze sobą wręcz skłóconych, jest niewątpliwym ewenementem na skalę światową.

I ktoś, kto zna wielką pracę organiczną, lecz także taki romantyczny etos, który w okresie zaborów nigdy nie zaginął w polskiej świadomości, a w wielu warstwach społecznych się ukształtował – choćby wśród chłopów – powinien zrozumieć i zaakceptować choćby np. determinację Józefa Piłsudskiego, by za wszelką odzyskać niepodległość Polski i ją utwierdzić.

Przy okazji odzyskania przez nasz kraj niepodległości w 1918 r. warto mówić nie tylko o tych wielkich architektach, lecz także o tych, którzy ich koncepcje realizowali lub w tej realizacji mniej lub bardziej świadomie uczestniczyli. Tu najpierw wymieniłbym, już dziś w dyskursie naukowym niepomijane, ale w takim powszechnym jednak nieco bagatelizowane, kobiety. Zwłaszcza te związane z Piłsudskim. O nich za chwilę. Najpierw jednak parę słów o tych zazwyczaj bezimiennych, nieutrwalonych w przekazach źródłowych, których pokolenia w okresie 123-letniej niewoli, wbrew działaniom zaborców, budziły i utrwalały ducha polskiego w swoich dzieciach. A pomijając kwestie trudnej codziennej egzystencji, prześladowań, musiały one chociażby walczyć z zaplanowaną akcją wynarodowienia Polaków. Tu chciałbym przytoczyć kwestię edukacji. Zamysł zaborców w tym względzie, taki sam w każdym przypadku: rosyjskim, pruskim czy austriackim, idealnie oddają dwa fakty. Pierwszy to założenia szkoły austriackiej, lecz wcielane podobnie w każdym innym zaborze. Ta szkoła miała polskie dzieci jedynie uczyć czytać tak, by nawet nie tyle rozumieć, ile po prostu bezrefleksyjnie wykonać polecenia władzy. Drugi zamysł był związany z permanentnym dążeniem Polaków do wybicia się na niepodległość. Car rosyjski, trochę już nawet tym przerażony, zapytał jednego z gorliwych rusyfikatorów polskich poddanych: co ma zrobić z tymi Polakami, wiecznie dobijającymi się o niepodległość. Rusyfikator odpowiedział, że należałoby ich ogłupić do rosyjskiego poziomu. Lecz to się nie udało m.in. za sprawą mrówczej pracy polskich kobiet w każdej warstwie społecznej. Bez nich ci ojcowie polskiej niepodległości, przywołani w pytaniu, nie mieliby wsparcia.

Fot. Library of Congress, Biblioteka Narodowa, NAC, shutterstock

eprasa.pl 383475ee03

JÓZEF PIŁSUDSKI

ALEKSANDRA SZCZERBIŃSKA

ROMAN DMOWSKI

Trochę jeszcze o bezpośrednim udziale kobiet w ruchu niepodległościowym pod koniec epoki zaborów. Były one jego ważną częścią. Poza tym, że przygotowywały się do działań wojennych jako sanitariuszki, działały w sekcjach pomocniczych – np. szpitalach, kuchniach polowych czy szyły mundury, przemycały broń, gromadziły ją w składach, zbierały fundusze na działalność niepodległościową. Przykładem jest Aleksandra Szczerbińska, podczas I wojny światowej kierująca arsenałem, w którym zgromadzono kilka tysięcy sztuk broni. Nie do przecenienia jest też jej rola podczas napadu w Bezdanach na rosyjski pociąg przewożący pieniądze. Po udanej akcji, w której *notabene* wzięło udział czterech przyszłych polskich premierów: Piłsudski, Aleksander Prystor, Walery Sławek i Tomasz Arciszewski, to Szczerbińska przemyciła zdobyte pieniądze do Krakowa. M.in. dzięki nim stworzono Związek Walki Czynnej. Szczerbińska była szefową kobiecego wywiadu wojskowego wspomagającego działalność Komendanta.

Mówiąc więc o architektach polskiej niepodległości, o tych faktach nie należy zapominać. Odnosząc się jednak bezpośrednio do postaci Piłsudskiego, Dmowskiego, Paderewskiego, Witosa, Korfantego, Daszyńskiego, którzy za sprawą koncepcji prezydenta Andrzeja Dudy, jak należy wykorzystać 100. rocznicę odzyskania niepodległości przez Polskę do współczesnego zjednoczenia społeczeństwa polskiego, zostali wypromowani na ojców polskiej niepodległości, najpierw trzeba przyznać, że faktycznie nimi byli, choć ich wkład w to dzieło niewątpliwie był zróżnicowany. I po wtóre – oni już w momencie swojej aktywności politycznej mieli świadomość, że dążą do wielkiego celu, którym miała być wolna Polska. Każdy z nich jest też – w moim przekonaniu – patronem różnej drogi do niepodległości, choć niekoniecznie wizji wolnej Polski. Niektórzy mieli ją tylko w zarysach. Tutaj zdecydowanie wyróżniają się Piłsudski i Dmowski, którzy nie tylko wiedzieli jakiej Polski chcą, lecz także jak ją należy urządzić. Inna sprawa, jak to później wyglądało. Ale po kolei.

Ignacy Daszyński, uznawany przeze mnie za symbol robotniczej drogi do niepodległości, w działalność patriotyczną zaangażował się już w gimnazjum i za to go z niego wyrzucono. Był wrażliwy na biedę i związał się z ruchem socjalistycznym, którego w żadnym stopniu nie wolno utożsamiać z komunizmem ani ze słowem „socjalizm", używanym w okresie Polski Ludowej. Często był za tę działalność więziony przez władze austriackie. Jeszcze w czasie I wojny światowej, gdy na ziemiach polskich, znajdujących się pod zaborami, zaczęły powstawać zalążki polskiej władzy, Daszyński uczestniczył w nich jako jedna z ważniejszych postaci. Stanął na czele Tymczasowego Rządu Ludowego Republiki Polskiej w Lublinie. Z tego powodu przez wiele lat komuniści kreowali go na przeciwnika Piłsudskiego, akcentując to, że jego rząd miał mieć charakter robotniczy. Tymczasem Daszyński, gdy Piłsudski powrócił do Warszawy z więzienia w Magdeburgu,

eprasa.pl 383475ee03

wraz z rządem lubelskim oddał mu się do dyspozycji. Piłsudski powierzył mu misję utworzenia rządu, lecz się ona nie powiodła.

Do Wincentego Witosa, twardego chłopa, doświadczonego przysłowiową galicyjską biedą, zmuszonego przez nią do społecznej aktywności, idealnie pasuje dewiza: chłop potęgą jest i basta. Witos, podobnie jak Daszyński, związał się z Legionami Polskimi i wszedł w skład Naczelnego Komitetu Narodowego. Ale z czasem uznał, że sprawę polskiej wolności trzeba wiązać nie z państwami centralnymi, Rzeszą Niemiecką i Austro-Węgrami, ale zachodnimi (Anglią, Francją, a także później ze Stanami Zjednoczonymi), w kraju zaś z Narodową Demokracją. Witosowi trzeba przypisać wielką rolę w budzeniu ducha narodowego wśród chłopów, a po odzyskaniu polskiej niepodległości poświęcenie w jej utrwaleniu.

Jeśli o Daszyńskim i Witosie można powiedzieć, że reprezentowali i działali wśród prostego ludu, by obudzić w nim świadomość istnienia wolnej Polski – a że im się to udało, dowodzi wiele faktów, w tym budowa szkół elementarnych w Galicji (chłopi i robotnicy widzieli w edukacji narzędzie do swojego społecznego awansu oraz politycznej suwerenności), to o Paderewskim można powiedzieć, że był księciem polskiej niepodległości. Jeśli popatrzymy na jego życiorys do 1918 r., nie możemy zakwestionować tezy, iż przez cały ten czas, od momentu, gdy ujawnił się jako fundator pomnika Grunwaldzkiego w Krakowie w 500. rocznicę zwycięskiej dla Polaków bitwy z Krzyżakami, miłość do Polski wyznaczała jego kolejne działania. Przypominanie jego roli w zawarciu przez Woodrowa Wilsona w jego orędziu postulatu o utworzeniu suwerennej Polski jest konieczne, ale niewystarczające. Ten filantrop, mecenas sztuki, bez wątpienia niezwykle bogaty człowiek, stał się ikoną walki o niepodległą Polskę. To, co zarobił, kim się stał – a był według współczesnej miary celebrytą, z którym każdy człowiek z amerykańskiej elity chciał się zaprzyjaźnić – Paderewski wykorzystał dla Polski. Nie ma się więc co dziwić, że jego przyjazd do Poznania doprowadził do wybuchu 27 grudnia 1918 r. jedynego zwycięskiego polskiego powstania – powstania wielkopolskiego. Ten wybitny pianista, zwany czarodziejem klawiatury, w wolnej Polsce od 1919 r. pełnił funkcje premiera i ministra spraw zagranicznych. Miał ku temu i kwalifikacje, i znajomości – a to przecież było i jest ważne w dyplomacji.

Następny ojciec polskiej niepodległości, Wojciech Korfanty, to jedna z najważniejszych postaci dla Śląska i jego walki o przyłączenie do Polski. To on jako pierwszy w niemieckim parlamencie, 25 października 1918 r., domagał się przyłączenia do państwa polskiego wszystkich polskich ziem zaboru pruskiego. Był dyktatorem III powstania śląskiego, dzięki któremu zdecydowano o korzystniejszym dla Polski podziale Śląska.

Mimo ich zasług to jednak nie oni byli architektami polskiej niepodległości.

Daszyńskiego, Witosa, Paderewskiego i Korfantego można i trzeba nazwać ojcami polskiej niepodległości, ale to o Dmowskim i Piłsudskim należy nie tylko powiedzieć, lecz także uznać ich za jej faktycznych kreatorów, po prostu architektów. Trudno mówić o jakichś pomysłach na Polskę porozbiorową Ignacego Paderewskiego. Dla niego liczyło się tylko to, aby była wolna i w pełni suwerenna. Zaś Dmowski i Piłsudski już z zamysłem, jaka powinna być, podejmowali działania niepodległościowe.

Piłsudski był człowiekiem niezwykłym, kochały się w nim kobiety. Widać, że ideowość była wówczas w cenie. Gdy w listopadzie 1918 r. wrócił z więzienia w Magdeburgu, prały jego mundur, płacząc przy tym. Jego życie było bogate w wydarzenia nie tylko polityczne, lecz także osobiste, co w tym ostatnim wypadku trzeba łączyć z jego publiczną aktywnością. Od najmłodszych lat konspirował, a jego celem była wolna Polska. Za działalność niepodległościową władze carskie skazywały go na wieloletnie więzienie i zsyłkę na Syberię, a potem znowu więzienie. O tym, jak społecznie i politycznie wyobrażał sobie Polskę, świadczą jego słowa wypowiedziane już po odzyskaniu niepodległości do jego byłych kolegów z ruchu socjalistycznego: „Jechaliśmy wspólnym tramwajem, ale ja wysiadłem na przystanku niepodległość, a wy pojechaliście dalej". Tym samym uznawał dawnych towarzyszy z partii socjalistycznej za renegatów i zdrajców polskiego interesu, zwłaszcza tych, którzy związali się z komunistami lub się nimi stali.

Dmowski to autor koncepcji nowoczesnego polskiego patriotyzmu. Do klasyki patriotycznych zachowań przeszły jego słowa: „Jestem Polakiem i mam obowiązki polskie". Lecz dodawał także, iż wolno mu być dumnym z tego, co w Polsce i Polakach jest wielkie, lecz „muszę przyjąć i upokorzenie, które spada na naród za to, co jest w nim marne". Z działalnością konspiracyjną Dmowski zetknął się już w czasie gimnazjalnej edukacji. Było to typowe dla polskich dzieci i młodzieży, dorastających w domowej atmosferze tęsknoty za wolną Polską. Przecież miłość do polskiej ojczyzny nie mogła się w nich zrodzić samoistnie. Ktoś musiał ją w nich zapalić i były to polskie rodziny. Trochę ze względu na erudycję można go porównać do Paderewskiego. Dmowski był człowiekiem niezwykle wykształconym – ukończył studia przyrodnicze na Uniwersytecie Warszawskim. Miał inny pomysł na polską niepodległość niż Piłsudski, którego nie darzył sympatią.

Lecz powiedzmy uczciwie: bez tych dwóch filarów polskiej działalności konspiracyjnej Polska nie odzyskałaby niepodległości.

Gdyby można określić ich domeny działalności, to czym przede wszystkim zajmowali się Piłsudski, Dmowski, Paderewski?

Na przełomie XIX i XX w. Piłsudski postawił głównie na działania konspiracyjne, których celem było przygotowanie zbrojnych kadr. Wierzył w siłę zbrojną. I nie zraził go w tym zamyśle nawet zakończony propagandową klęską wymarsz „kadrówki" 6 sierpnia 1914 r. za granicę zaboru rosyjskiego z zamiarem wywołania narodowego powstania w Królestwie Polskim.

eprasa.pl 383475ee03

Wobec załamania się tej koncepcji, 16 sierpnia tego roku przystąpił do Naczelnego Komitetu Narodowego i z podległych sobie oddziałów utworzył 1. pułk piechoty Legionów Polskich. Początkowo w I wojnie światowej poparł Austro-Węgry i Niemcy, bo uważał, że one przegrają wojnę. Okazało się, że miał rację. W połowie lipca 1917 r. odmówił złożenia przysięgi na wierność cesarzom: niemieckiemu i austriacko-węgierskiemu, za co został aresztowany i uwięziony w twierdzy magdeburskiej.

Z kolei Dmowski uważał, że dla narodu polskiego zdecydowanie większe zagrożenie stanowią Niemcy niż Rosja, gdyż oprócz potęgi militarnej i wielkiego potencjału mają one przewagę cywilizacyjną, która w sytuacji opanowania przez nich wszystkich ziem polskich groziłaby wynarodowieniem Polaków. Stawiał też na działalność polityczną, choć nie kwestionował potrzeby własnej siły zbrojnej.

Natomiast Paderewski wiedział, że bez międzynarodowego wsparcia Polska będzie miała problem z odzyskaniem niepodległości. Dostrzegł wiodącą rolę USA w I wojnie światowej – militarną i opartą na niej polityczną. Wychwycił, że Stany Zjednoczone odchodzą od izolacjonizmu. Zauważył też znaczenie osobistych związków między politykami i własne koneksje z Wilsonem wykorzystał dla dobra Polski.

Czym różnili się ci wielcy Polacy? Jak widzieli przyszłości Polski?

Jak zaznaczyłem, zasadnicze różnice, w momencie, gdy Polska odzyskała niepodległość, dostrzec można w poglądach Piłsudskiego i Dmowskiego. Pozostali ojcowie polskiej niepodległości nie mieli zbyt dopracowanych koncepcji. W poglądach Piłsudskiego i Dmowskiego eksponuje się głównie ich podejście do sąsiadów odrodzonego kraju. Znacznie mniej uwagi poświęca się temu, jak sobie wyobrażali jej wewnętrzne „urządzenie", a to też jest ważne. Jeśli idzie o koncepcję federalistyczną Piłsudskiego, była ona pokłosiem poglądów polskich polityków już od czasu powstania styczniowego, którzy chcieli stworzyć bufor między Polską a Rosją, złożony ze skonfederowanych narodów: Ukraińców i Białorusinów. Choć w wyniku polsko-bolszewickiej wojny 1919–1921 r. – w skrócie rzecz ujmując – ta koncepcja się nie zmaterializowała, to jednak w II RP było silne piłsudczykowskie stronnictwo, uważające, że aby pozbyć się, a przynajmniej osłabić, sowieckie niebezpieczeństwo, to należy Związek Sowiecki/Rosję – jak to ujął prof. Mariusz Wołos – „rozpruć po szwach narodowościowych", czyli po prostu stworzyć albo państwa narodowe, albo federację narodów między II RP a Sowietami.

Tym, co tak naprawdę sprawiło, że materializował się pomysł na Polskę Piłsudskiego, przynajmniej na arenie międzynarodowej, były głównie okoliczności zewnętrzne. Budowa sojuszu niemiecko-bolszewicko/sowieckiego wprost narzucała koncepcję dwóch wrogów i nikt się jej specjalnie nie sprzeciwiał. O komunistach współpracujących z Niemcami i Sowietami należy wiedzieć i pamiętać, jednak nie wpływali oni na kształtowanie polskiej polityki zagranicznej.

Obronie Polski przed agresją sąsiadów – Niemców i Sowietów – podporządkowana była polityka wewnętrzna Piłsudskiego. Niestety w tym działaniu, także pod wpływem środowiska sanacyjnego, Piłsudski popełniał błędy. Nie uważam, że był nim przewrót majowy z 1926 r., ale proces brzeski już tak.

W kontekście działalności Dmowskiego warto wiedzieć, że po ustabilizowaniu się sytuacji politycznej w Polsce nigdy nie wystąpił on osobiście przeciw Piłsudskiemu.

Piłsudski i Dmowski dwa bieguny. W czym byli zgodni?

Łączyła ich miłość do Polski. A ze spraw bardziej konkretnych – gdy kształtowały się granice polskie, obaj mieli podobne poglądy, zwłaszcza w odniesieniu do granicy wschodniej. Uważali, że Polska musi ją, w obliczu wojny białych Rosjan z bolszewikami, zbrojnie wywalczyć, bez względu na to, kto w tej wojnie zwycięży. Po doświadczeniach I wojny światowej wiedzieli, że i biała, i czerwona Rosja będzie realizować imperialną politykę zagrażającą egzystencji młodego państwa polskiego.

Na jakich założeniach i fundamentach opierała się odrodzona polska niepodległość? Który z wymienionych mężów stanów miał największy wpływ na dwudziestolecie międzywojenne? W jaki sposób moglibyśmy określić żywe, aktualne dziedzictwo myśli politycznej Piłsudskiego, Dmowskiego, Paderewskiego – szczególnie w perspektywie jedności, a nie podziałów?

Nie da się ukryć, że fundamentem odrodzonej polskiej niepodległości była świadomość ówczesnych Polaków, że została ona zbrojnie wywalczona. To dopiero po II wojnie światowej, niejako na siłę, zaczęto się doszukiwać tzw. okoliczności sprzyjających, które deprecjonowałyby polski wysiłek włożony w odzyskanie wolności przez Polskę w 1918 r. II RP musiała być przygotowana na permanentne zagrożenie ze strony sąsiadów: Sowietów i Niemców.

Jeśli idzie o dziedzictwo myśli politycznej ojców i architektów polskiej niepodległości z 1918 r., to należy widzieć je głównie w solidaryzmie społecznym, przyjęciu rozsądnej polityki historycznej, zawiązywaniu sojuszy opartych na wspólnocie interesów i, parafrazując myśl Piłsudskiego, w tym, że mieszkańcy Polski są najpierw jej obywatelami i jej powinni przede wszystkim służyć.

Józef Brynkus
(ur. 1962) profesor UKEN w Krakowie. Autor ponad 100 publikacji naukowych w języku polskim, angielskim, czeskim, francuskim i niemieckim. Najważniejsza z nich to „Komunistyczna ideologizacja a szkolna edukacja historyczna" (1944–1989). Współorganizator projektu: „Pułkownik Kukliński – Zwycięska Misja" i opiekun naukowy projektu: „Rotmistrz Pilecki. Bohater Niezwyciężony"

Dodatek sponsorowany | 36/102/3/F

eprasa.pl 383475ee03

ORLEN

Z HYMNEM NA USTACH
i dumą w sercu

11 listopada,
gdy wybije południe,
wspólnie zaśpiewajmy
Mazurka Dąbrowskiego

niepodległa

eprasa.pl 383475ee03

Kalifat Rosja

Na naszych oczach, zarówno w związku z wojną, jak i procesami wewnętrznymi, Rosja w coraz większym stopniu staje się „muzułmańska", a w coraz mniejszym związana duchowo z tradycją Zachodu

MAREK BUDZISZ

Putin umarł, władzę przejmują przedstawiciele resortów siłowych z Nikołajem Patruszewem na czele. Jest on uznawany za arcyjastrzębia i teraz na Kremlu będzie rządził „dubler", czyli jeden z dwóch sobowtórów, których ponoć ma rosyjski prezydent. Takie „rewelacje" opublikował na platformie Telegram kanał Generał SWR (czyli w rozwinięciu służby wywiadu zagranicznego), powiązany, jak się uważa, ze znanym rosyjskim politologiem i twórcą niezliczonych teorii spiskowych Walerijem Sołowiejem. Wartość tych teorii w oczywisty sposób jest wątpliwa, lecz Rosjanie lubią teorie spiskowe. Ponadto, jak powiedział mediom Andriej Jusow z ukraińskiego wywiadu wojskowego, Kreml w celowy sposób kolportuje tego rodzaju sensacje, gdy chce odwrócić uwagę rodzimej i międzynarodowej opinii publicznej od niewygodnych dla siebie spraw. Tym razem chodzi o niedawne antysemickie wystąpienia na Kaukazie.

POLOWANIE NA ŻYDÓW

Wszystko zaczęło się w Chasawiurcie, stolicy regionu w Dagestanie, jednej z republik północnego Kaukazu wchodzącej w skład Federacji Rosyjskiej. Rozeszła się tam plotka, że w miejscowym hotelu Flamingo znajdują się ewakuowani z Izraela Żydzi, którzy mieliby teraz osiedlać się w Rosji. Pogłoska trafiła na podatny grunt, bo po ataku Hamasu na Izrael i odwetowych bombardowaniach Strefy Gazy w rejonach Rosji zamieszkałych przez muzułmanów emocje zaczęły szybko rosnąć. Najpierw w meczetach w Czeczenii, Tatarstanie czy w Baszkirii zaczęły się modlitwy „za naród Palestyński", potem w stolicy Dagestanu Machaczkale 18 października służby porządkowe rozpędziły nielegalny wiec poparcia dla bombardowanej przez Izrael Strefy Gazy, lecz sytuacja zaczęła się wymykać spod kontroli. W Chasawiurcie policja zgodziła się, aby przedstawiciele demonstrujących dokonali „inspekcji" hotelu i stwierdzili, że żadnych Żydów tam nie ma, na drzwiach zawisła nawet stosowna kartka, lecz demonstracje zaczęły się rozlewać. Tego dnia antyizraelski wiec miał też miejsce w Czerkiesku, stolicy niewielkiej republiki Karaczajo-Czerkiesji, a w Nalcziku nieznani sprawcy próbowali podpalić budowane tam centrum kultury żydowskiej.

Naprawdę groźnie zrobiło się jednak dzień później, kiedy agresywny tłum

Fot. NICOLA MESSANA PHOTOS/Shutterstock.com, Olga Iutina/Shutterstock.com, hakanyalcin/Shutterstock.com, PRADIP GHOSH/Shutterstock.com, ChameleonsEye/Shutterstock.com, Daniel jakulovic/Shutterstock.com, shutterstock

eprasa.pl 383475ee03

wdarł się na lotnisko w Machaczkale po tym, jak wylądował tam odbywający regularne rejsy samolot z Tel-Awiwu. Nastroje były pogromowe, w poszukiwaniu Żydów przetrząsano środki komunikacji, ci, którzy przylecieli, musieli się zabarykadować w samolocie, a potem zostali ewakuowani. W zajściach rannych zostało 20 osób, w tym 9 przedstawicieli służb porządkowych. Zidentyfikowano ponad 150 uczestników tej utarczki, zaczęły się aresztowania, ale sytuacja w republice, jak kilka dni później informowali przedstawiciele wspólnot żydowskich, nadal jest napięta. Ambasada Izraela w Moskwie poinformowała nawet o gotowości ewakuacji z północnego Kaukazu wszystkich zamieszkujących ten region Żydów, a z perspektywy Kremla, od lat budującego narrację o tym, że w Rosji w harmonii żyją obok siebie przedstawiciele różnych wyznań, to, co się wydarzyło, nie jest wygodne.

Tym bardziej że emocje dały o sobie znać nie tylko na Kaukazie, lecz także ogarnęły Moskwę. Jewgienij Satanowski, rosyjski ekspert znany z antyzachodnich sądów, stały gość w propagandowym show Władimira Sołowiowa, w jednym z wywiadów internetowych poszedł na całość. O urzędującym wiceministrze spraw zagranicznych Michaile Bogdanowie, byłym ambasadorze Rosji w Egipcie, człowieku, który, jak się uważa, współkształtuje bliskowschodnią politykę Kremla, powiedział, że jest to „stary pijak", który powinien odejść „po tym, jak otrzyma solidną premię finansową". Irytację Satanowskiego, który w trwającym konflikcie jednoznacznie popiera Izrael, wzbudziła propozycją Bogdanowa, aby ogłosić „humanitarne zawieszenie broni" między Izraelem a Hamasem oraz niedawna wizyta politycznej reprezentacji tej organizacji w Moskwie. Ta pierwsza po ataku na Izrael zagraniczna podróż przedstawicieli Hamasu została odczytana zarówno na świecie, jak i w Rosji w kategoriach opowiedzenia się Kremla po jednej ze stron starcia. Satanowski w ferworze dyskusji powiedział też, że Maria Zacharowa, rzeczniczka rosyjskiego MSZ, to „zbyt dużo pijąca zdzira" i dał do zrozumienia, iż wielu przedstawicieli rosyjskiej władzy cieszyło się z ataku 7 października, w którym zginęło 1,4 tys. Żydów.

Wystąpienie Satanowskiego wywołało burzę i doprowadziło do jego zwolnienia z programu. Jak się jednak uważa, Sołowiow został zmuszony do takiego kroku, a na dodatek Sergiej Markow, zanany rosyjski polittechnolog powiązany z Kremlem, powiedział publicznie, że z narodowościowego punktu widzenia w programie Sołowiowa, który sam jest Żydem, można zauważyć znaczącą „nierównowagę", czyli przewagę pobratymców prowadzącego. Ten z kolei oskarżył Markowa o wezwanie do „czystek etnicznych", dodając do tego spostrzeżenie na temat odradzania się w Rosji „ducha IV Rzeszy i antysemityzmu". Na tym ta wymiana uprzejmości póki co się zakończyła, ale gołym okiem widać, że w Rosji wrze, podskórne i nieujawnione emocje zaczynają wypływać.

> Mimo osobistej przyjaźni między Putinem a Netanjahu rosyjska polityka będzie dryfowała w stronę poparcia świata islamu walczącego z Izraelem. Jeśli wojna na Bliskim Wschodzie rozleje się i przekształci w konflikt regionalny, ten proces jeszcze przyspieszy

BUZUJĄCY KAUKAZ

Tym, co uderzyło obserwatorów wydarzeń w Dagestanie, to bezczynność organów władzy. Jak zauważyła Tatiana Stanovaya, regularnie pisząca dla Centrum Carnegie, siły specjalne interweniowały z opóźnieniem, mimo że już dwa dni wcześniej na Kaukazie Północnym dochodziło do antyizraelskich ekscesów. Najwyraźniej w Machaczkale się do nich nie przygotowano, a gen. Siergiej Mielikow, kierujący tamtejszą administracją, w przeszłości zastępca dowódcy Gwardii Narodowej, był bardzo pasywny i przystąpił do działania, kiedy tłum splądrował już lotnisko. Powodów tego może być kilka.

Po pierwsze, jak zauważyła Stanovaya, władza nie umie sobie radzić z nieoczekiwanymi wydarzeniami. Rosyjscy siłowicy przez lata byli szkoleni, jak walczyć z liberałami oraz przeciwnikami Putina i to im idzie nieźle, ale jeśli staje się coś nieoczekiwanego, to wpadają w stupor, czekając na rozkazy z góry. Tyle że tym razem ich nie było, bo, jak napisał Andriej Piercew, korespondent portalu Meduza specjalizujący się w analizowaniu sytuacji na Kremlu, przedstawiciele administracji rosyjskiego prezydenta zostali zaskoczeni. Podobnie jak w przypadku „puczu Prigożyna" – na dole nie wiedziano, jak reagować, a Moskwa nie była w stanie szybko wytyczyć spójnej linii postępowania.

Jak się jednak uważa w Rosji, jest też wiele innych przyczyn, dlaczego to na Kaukazie wybuchły antysemickie emocje. Po pierwsze, Dagestan jest jednym z najbiedniejszych regionów Rosji, gdzie zarabia się średnio o jedną trzecią mniej niż w pozostałych rejonach, jest tu też duża liczba bezrobotnej i zradykalizowanej młodzieży. Jest też krajem najbardziej dotkniętym wojną, i to na dwa sposoby. Moskwie zaczyna brakować pieniędzy na subsydia dla najsłabiej rozwiniętych części Federacji, bo niemal 40 proc. budżetu idzie na wojnę. To oznacza, że słabo rozwinięte i biedne regiony, takie jak Dagestan, dostają coraz mniej. W ub.r. z powodu przerw w dostawach wody i energii elektrycznej wybuchały demonstracje w Machaczkale, które zresztą władza traktowała jako „niepolityczne" i była gotowa je tolerować.

Protestowały również matki żołnierzy, którzy zaciągnęli się na wojnę. To kolejne źródło napięcia. Młodzi ludzie z Dagestanu, ale nie wyłącznie, bo po-

eprasa.pl 383475ee03

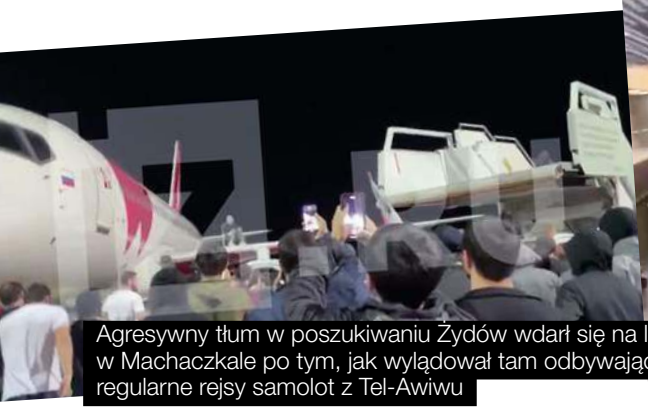

Agresywny tłum w poszukiwaniu Żydów wdarł się na lotnisko w Machaczkale po tym, jak wylądował tam odbywający regularne rejsy samolot z Tel-Awiwu

dobne zjawisko zauważa się w Buriacji, skuszeni obietnicą wysokiego żołdu, masowo zaciągali się na ochotników, aby walczyć na Ukrainie. W związku z rosyjską taktyką ich straty były nieproporcjonalnie wielkie, co spowodowało, że niektórzy przedstawiciele nierosyjskich społeczności zaczęli mówić o ukrytej „czystce etnicznej" – jej ofiarami mają być wyznający islam i inne niechrześcijańskie religie obywatele Federacji Rosyjskiej. Fatima Abdulkarim, pochodząca z Dagestanu aktywistka społeczna, mówi nawet o „islamofobii", którą skrycie kierują się w swej polityce przedstawiciele rosyjskiej klasy politycznej.

Na tym tle wszystko jest postrzegane w kategoriach prowokacji i rodzi niewspółmierną reakcję. Chuligański wybryk Nikity Żurawlewa, mieszkańca Wołgogradu, który w maju przed miejscowym meczetem spalił Koran, urósł do rangi wydarzenia o potencjalnie wybuchowych konsekwencjach. Aresztowanego młodzieńca przekazano wymiarowi sprawiedliwości w Czeczenii w związku z „powszechnym oburzeniem" i żądaniami, aby sądzić go przed sądem islamskim. Na znajdującego się w areszcie Żurawlewa napadł 15-letni syn Kadyrowa, który pobił osadzonego, a film przedstawiający całe wydarzenie umieścił w sieci. Czeczeński dyktator nagrodził swoją latorośl odznaczeniem, a na dodatek, jak informują rosyjskie media, zaczął obdzwaniać innych liderów muzułmańskich republik, aby i ci przyznali jemu nagrody.

KREML PRZYMYKA OCZY

Na to, co się dzieje w Kakuazie Północnym, władze w Moskwie nie reagują albo starają się minimalizować zagrożenia, dopuszczając koncesje na rzecz wyznawców islamu. To niewiele zmienia, bo niechęć do „czarnych", jak się w Rosji pogardliwie określa przybyszów z Kaukazu, w wielkich ośrodkach miejskich w rodzaju Moskwy czy Petersburga, jest powszechnie manifestowana. Tworzą się więc izolowane i nielubiące się społeczności, swoiste getta na tle różnic narodowościowych i religijnych. Już obecnie Czeczenia jest „republiką" rządzącą się prawem szariatu; sam Kadyrow informował o swych kolejnych ślubach, co jest otwartym łamaniem prawa obowiązującego w Rosji. To denerwuje Rosjan, którzy zaczynają uważać, że muzułmanie zyskują nadzwyczajne uprawnienia. Dla Kremla liczy się deklaratywna lojalność wobec Putina i Moskwy, a to, jak rosyjscy muzułmanie rządzą się u siebie, w coraz mniejszym stopniu interesuje obóz władzy. Im ten słabnie albo musi koncentrować się na wojnie z Ukrainą, tym koncesje dla lojalnych przywódców na Kaukazie są większe. Po buncie Prigożyna Kadyrow dostał zgodę, aby lojalne wobec niego oddziały mogły się zaopatrzyć w lotnictwo i broń pancerną.

Te koncesje, w tym zgoda na antyizraelskie wystąpienia i ekscesy, będą rosły w miarę, jak Moskwa będzie słabła i uzależniała się od dostaw broni, np. z Iranu. Oczywiście wojna Izraela z Hamasem sprzyja też radykalizowaniu się nastrojów, zwłaszcza w świecie muzułmańskim. Rustam Minnichanow, przywódca muzułmańskiego Tatarstanu, już zapowiedział organizację w całej republice sieci centrów pomocy humanitarnej dla Strefy Gazy, a rosyjskie media informują, że aresztowani po zajściach w Machaczkale będą najprawdopodobniej sądzeni na podstawie artykułów o chuligaństwo, za które w Rosji są niewielkie kary.

Ta pobłażliwość jest zrozumiała, bo w Moskwie doskonale zdają sobie sprawę z rosnącego uzależnienie od świata muzułmańskiego. To powoduje, że dotychczasowa, realizowana przez Putina przez wiele lat polityka równego dystansu, sprawiająca, że Rosja mogła utrzymywać kontakty ze wszystkimi stronami bliskowschodniego sporu, jest już niemożliwa w obecnych realiach. Mimo osobistej przyjaźni między Putinem a Netanjahu rosyjska polityka będzie dryfowała w stronę poparcia świata islamu walczącego z Izraelem. Jeśli wojna na Bliskim Wschodzie się rozleje i przekształci w konflikt regionalny, ten proces jeszcze przyspieszy.

Jest jeszcze jeden powód obserwowanych zmian. Jeszcze w 2019 r. Damir Muchetdinow, pierwszy zastępca przewodniczącego Wspólnoty Muzułmanów w Rosji, stwierdził, że w świetle niektórych ekspertyz już w 2050 r., w związku z różnicami w zakresie przyrostu naturalnego między regionami „słowiańskimi" a muzułmańskimi, udział wyznawców islamu w strukturze narodowościowej Federacji Rosyjskiej może przekroczyć 50 proc. Już obecnie, w świetle danych ostatniego spisu ludności, przeprowadzonego w 2020 r., na 147,1 mln mieszkańców Federacji Rosyjskiej jako Rosjanie identyfikowało się jedynie 105,5 mln. A to oznacza, że nawet nie biorąc pod uwagę skali nielegalnej migracji z muzułmańskich krajów przestrzeni postsowieckiej, szacowanej na poziomie przekraczającym 5 mln ludzi, już obecnie udział ludności wyznającej islam i inne niechrześcijańskie religie przekracza 30 proc. i szybko rośnie.

Zarówno w związku z wojną, jak i procesami wewnętrznymi, na naszych oczach Rosja w coraz większym stopniu staje się „muzułmańska", a w coraz mniejszym związana duchowo z tradycją Zachodu. Za 30 lat możemy zatem graniczyć z zupełnie inną, lecz nie mniej radykalną i groźną Rosją, która może stać się antyzachodnim kalifatem.

eprasa.pl 383475ee03

Coraz trudniej o (amerykańskiego) żołnierza

Od czasu, gdy na wschodzie Europy wybuchła wielka wojna, zaś zachodni alianci zaczęli przerzucać na Ukrainę duże ilości broni, zaczęły się odsłaniać ukrywane wcześniej słabości armii NATO

JAN ROKITA

Wymiaru międzynarodowego skandalu nabrały przede wszystkim wieści o stanie wojska niemieckiego i jego przygotowaniu do wojny. Dziś już publicznie wiadomo, że w ciągu dziesięciolecia 2013–2022 niemiecka armia pod władzą trzech kolejnych niekompetentnych ministrów obrony uległa faktycznemu rozkładowi. Owi ministrowie to trzy kobiety, bo nowoczesna poprawność polityczna nakazywała przez te lata zarówno niemieckiej chadecji, jak i socjalistom powoływać na zwierzchników armii wyłącznie kobiety, nie bacząc na ich zdolności i wiedzę w dziedzinie militarnej.

Dwie chadeczki – panie von der Leyen i Karrenbauer – rozpoczęły destrukcję niemieckiej armii, a socjalistka, pani Lambrecht, postawiła kropkę nad i. Skandal osiągnął jednak swoje apogeum wcale nie z powodu kolejnych odkryć na temat stanu armii, czasem przekraczających granice tragigroteski, ale dlatego, że ostatnia pani minister obrony obwieściła w sylwestra ubiegłego roku, iż wojna rosyjsko-ukraińska to dla niej „niezapomniana szansa na wiele wyjątkowych przeżyć i spotkań z ciekawymi ludźmi". Dopiero po tym występie pani Lambrecht kanclerz Scholz zdecydował, że w resorcie obrony na razie zawiesi feministyczne eksperymenty, a szefem ministerstwa mianuje mężczyznę, i to na dodatek nieźle obeznanego z problematyką bezpieczeństwa. Czas pokaże, co uda mu się istotnie naprawić.

AMUNICJI NA DWA DNI

Warto przypomnieć nieco wieści na temat niemieckiej armii, które w ciągu ostatniego roku obiegły świat (dla porządku dodam tylko, że każda z nich była potwierdzana przez niemieckie media).

Po pierwsze – Bundeswehra ma amunicję na dwa dni wojny, a gdyby konflikt miał trwać trzy dni, to musi przestać strzelać.

Fot. Yeongsik Im/Shutterstock.com

eprasa.pl 383475ee03

Po drugie – nowa generacja czołgów, na którą wydano prawie 20 mld dol., niestety, nie nadaje się na wojnę z powodu wad technicznych. Po trzecie – w 84-mln społeczeństwie nie da się zwiększyć liczebności armii, gdyż w młodym pokoleniu praktycznie brak chętnych. Po czwarte – niemieccy żołnierze są zmuszani do używania zimowej bielizny podczas ćwiczeń odbywanych w letnie upały, ponieważ letniej kwatermistrzostwo zapomniało zakupić. Po piąte – podczas sojuszniczych ćwiczeń wszystkie spośród 18. niemieckich wozów bojowych utknęły w pierwszym dniu manewrów z powodu awarii. No i po szóste – podczas innych ćwiczeń NATO (co wyciekło do amerykańskich mediów z rządowego tajnego raportu) zdesperowani niemieccy żołnierze próbowali ukryć brak broni, zastępując karabiny maszynowe miotłami, których drążki malowali na czarno i mocowali na pojazdach opancerzonych.

Trzeba przyznać, że taki zestaw informacji robi wrażenie nawet na laiku w kwestiach militarnych. Bundeswehra jest zapewne przypadkiem skrajnym, bo też – jak się zdaje – poziom niekompetencji w zarządzaniu niemiecką armią przez polityków okazał się zupełnie wyjątkowy.

Jeśli więc kto w Polsce (albo gdziekolwiek indziej) obawiałby się rzekomego „militaryzmu niemieckiego", to rzeczywiście może odetchnąć z ulgą. Rzecz jednak w tym, że choć nasz kraj zbroi się ostatnio na potęgę, przyjmowane czasem u nas dufne założenie, iż europejscy sojusznicy i tak się do niczego nie przydadzą, więc nie są nam potrzebni do hipotetycznej obrony kraju, wydaje się błędne. Niewykluczone, że z armią niemiecką w stanie rozkładu faktycznie lepiej było nie robić niczego wspólnie ponad konieczne minimum, wymagane z powodu obowiązków NATO. Jeśli jednak obecnemu niemieckiemu ministrowi obrony, który w ramach nowej polityki („Zeitenwende") dostał także spore pieniądze na armię, uda się w końcu odwrócić tragiczny trend, to polityka integrowania polsko-niemieckiego wysiłku obronnego jest na dłuższą metę jedynym sposobem zapewnienia bezpieczeństwa całej Europie Środkowej.

Tym bardziej że o ile o niemieckiej słabości militarnej dużo już teraz wiemy, o tyle nowością są kłopoty armii amerykańskiej, o których ostatnio głośno, ale nie w Europie, tylko w Kongresie USA oraz na łamach profesjonalnych amerykańskich portali.

CORAZ MNIEJ REKRUTÓW

Od paru miesięcy toczy się za oceanem debata dotycząca kłopotów rekrutacyjnych Pentagonu wśród młodych Amerykanów urodzonych na przełomie XX i XXI w. (tzw. generacja Z albo pokolenie internetowe). I, co ciekawe, owe kłopoty dotyczą nie tylko US Army, lecz także US Navy oraz US Air Force, co zwłaszcza w przypadku sił powietrznych jest fenomenem od lat niewidzianym w Ameryce. W ciągu ostatniego czasu zwierzchnicy poszczególnych rodzajów sił zbrojnych obszernie informowali amerykańskich posłów i senatorów o skali i przyczynach kłopotów rekrutacyjnych. Również w Polsce warto nieco przyjrzeć się tej kwestii, skoro w końcu chodzi o armię, którą się w naszym kraju, od prawa do lewa, zwykło traktować – w przeciwieństwie do Bundeswehry – jako realnego gwaranta bezpieczeństwa.

Wszystko zaczęło się jeszcze we wrześniu od na poły sensacyjnego oświadczenia sekretarza ds. sił powietrznych Franka Kendalla, iż po raz pierwszy od ćwierćwiecza US Air Force nie jest zdolna do rekrutacji wystarczającej liczby nowych pilotów.

Kendall zorganizował dyskusyjny okrągły stół dla profesjonalnych mediów na ten temat (w Polsce byłoby to niemożliwe, zresztą w Niemczech również), informując o braku aż 10 proc. nowych adeptów wojskowego lotnictwa, o przyczynach tego oraz krokach, jakie Pentagon zamierza w związku z tym podjąć. Co ciekawe, Kendall wskazał na trzy główne powody braku nowych kadr w siłach powietrznych. Są to: zaraza, która zmniejszyła trwale mobilność młodego pokolenia, oraz wysoka konkurencyjność amerykańskiego rynku pracy, na którym praktycznie nie ma bezrobocia, a pensje wzrosły znacząco w ostatnim czasie. Jednak na pierwszym miejscu Kendall wymienił przyczynę, do której przyjdzie nam jeszcze wrócić, a którą eufemistycznie określił mianem „pewnych trudności kulturowych z pokoleniem Z".

Krótko potem w Kongresie USA w identycznej kwestii wystąpiła pani Christine Wormuth, którą Biden dwa lata temu mianował sekretarzem armii, czyli osobą odpowiedzialną za zarządzanie amerykańskimi wojskami lądowymi. Poinformowała ona kongresmenów, iż w kończącym się roku budżetowym 2023 nie udało się jej uzupełnić stanu US Army o 10 tys. rekrutów, co i tak jest wynikiem lepszym niż w roku poprzednim, kiedy zabrakło aż 15 tys. rekrutów. Luka kadrowa w wojskach lądowych zwiększa się zatem każdego roku. Wormuth dość obszernie relacjonowała kroki podjęte przez Pentagon, by przezwyciężyć ów niepokojący trend. Tworzy się więc nową, sprofesjonalizowaną

REKLAMA

50/1023/F

eprasa.pl 383475ee03

służbę rekrutacyjną, którą ma kierować nowe trzygwiazdkowe dowództwo US Army, a w jej skład mają wchodzić „specjaliści od poszukiwania talentów". Do tej pory było bowiem tak, że armia nie miała swoich stałych headhunterów, lecz doraźnie kierowano do takich zadań co bardziej komunikatywnych oficerów.

Co jednak ciekawsze, to rozpoczęta już inicjatywa kursów przygotowawczych „Żołnierze przyszłości". Brzmi to pompatycznie, ale istota rzeczy jest prozaiczna. Otóż według badań Pentagonu tylko 23 proc. młodzieży w wieku 17–24 lat nadaje się obecnie do służby w armii, a to głównie ze względu na masową otyłość, uzależnienie od narkotyków albo deficyty zdrowia psychicznego. Jeśli to prawda (a dlaczego mielibyśmy nie wierzyć w dane Pentagonu?) – to znaczy, że jakieś trzy czwarte Amerykanów z pokolenia Z to grubasy, narkomani albo psychopaci. Nawet jeśli ten obraz jest przesadzony, bo oprócz owych trzech głównych powodów, o których mówi Wormuth, są pewnie jeszcze jakieś inne, to i tak jest on przerażający. I to wcale nie tylko dla Stanów Zjednoczonych, ale także każdego narodu wierzącego, że to Ameryka jest wzorcową demokracją świata, a amerykańska potęga zbrojna najlepszym gwarantem bezpieczeństwa i wolności.

Owe kursy „Żołnierze przyszłości" to nic innego, jak ćwiczenia fizyczne i umysłowe, które mają umożliwić wstąpienie do armii młodym ludziom niespełniającym na razie wojskowych kryteriów naboru. Z relacji na amerykańskich portalach wojskowych (np. Military.com) wynika jednak, że chodzi w pierwszym rzędzie o intensywne ćwiczenia odchudzające dla młodych grubasów, o ile tylko ich otyłość nie przekroczyła nadwyżki 6 proc. w stosunku do wojskowych norm tkanki tłuszczowej. „Żołnierze przyszłości" podlegają więc cotygodniowej kontroli poziomu utraty tłuszczu, a ich obowiązkiem jest pozbywać się 1,5 proc. tkanki tłuszczowej każdego tygodnia. Tylko wtedy mogą liczyć na to, że po owym dziwnym „kursie" zostaną dopuszczeni do armii jako nowi rekruci. Podobno kursy, niedawno dopiero rozpoczęte, cieszą się już sporym powodzeniem.

Tydzień po pani Wormuth w Kongresie wystąpiła inna dama – pani admirał Lisa Franchetti, którą Biden mianował naczelnym dowódcą amerykańskiej Marynarki Wojennej. Jak widać feministyczna mania, za którą słono zapłaciła Bundeswehra, od czasu objęcia władzy przez Bidena szerzy się teraz w wojsku amerykańskim (skądinąd sfanatyzowany Biden mianował ostentacyjnego transwestytę admirałem US Navy, co prawicowa posłanka z Georgii Marjorie Taylor Green skwitowała żartem: „Chińczycy pękną ze śmiechu, jak się dowiedzą, że USA mają pierwszą kobietę-admirała, która przez 50 lat była mężczyzną"; za ten dowcip Green dostała ban na Twitterze). Pani admirał Franchetti powiadomiła posłów, że w tym roku budżetowym nie udało jej się rekrutować 7464 nowych marynarzy i 452 kandydatów na oficerów US Navy. To oznacza braki kadrowe na poziomie ok. 20 proc. założonego przez Marynarkę Wojenną koniecznego stanu uzupełnień. Przy czym, podobnie jak w wojskach lądowych, sytuacja powtarza się już drugi rok.

Z tego, co mówi Franchetti, można sądzić, że US Navy stawia teraz przede wszystkim na zachęty finansowe dla marynarzy. Za natychmiastową gotowość rozpoczęcia służby jeszcze tej jesieni marynarka oferuje 35 tys. dol. ekstra premii, a portal US Navy przekonuje, że nowy marynarz może zarobić teraz nawet 140 tys. dol. Pani admirał zapowiada także podwyższenie wieku, w którym można wstępować do Marynarki Wojennej aż do 41 lat, tak by wyjść poza mizerne rezultaty rekrutacji prowadzonej wyłącznie w mało przydatnym pokoleniu Z. Podobnie jak w wojskach lądowych, US Navy otwiera kursy przygotowawcze dla grubasów, nie chcąc z góry eliminować ich szans na wstąpienie do armii. I, co ciekawe, Marynarka Wojenna bardziej od innych rodzajów wojsk stawia na komercyjną reklamę. Ponoć wydała już „miliony dolarów" na reklamowanie atrakcyjności służby na morzu, np. przy okazji takich wielkich imprez, jak Super Bowl, czyli finał rozgrywek futbolu amerykańskiego, który w tym roku odbył się w Glendale w Arizonie.

> „Badania dowodzą, że pokolenie Z jest znacznie bardziej sceptyczne wobec służby wojskowej, wydatnie boi się ryzyka fizycznych obrażeń albo śmierci" – tak Pentagon diagnozuje kłopoty rekrutacyjne amerykańskiej armii

PROBLEM POKOLENIOWY

Co charakterystyczne, wszyscy amerykańscy dygnitarze odpowiedzialni za rekrutację, podobnie jak sekretarz lotnictwa Kendall, skarżą się na owe „trudności kulturowe z pokoleniem Z". Otyłość, narkotyki i deficyty psychiczne – to tylko jedna strona problemu. Jest jeszcze druga, może nawet ważniejsza z perspektywy przemian kulturowych, jakim podlega dziś cały demokratyczny Zachód, a na pewno trudniej odwracalna (o ile w ogóle). Dobrze charakteryzuje ją ocena sformułowana przez wspomniany już portal Military.com, oparta na metodycznych badaniach młodzieży prowadzonych przez Pentagon.

Oto ów cytat: „Badania dowodzą, że pokolenie Z jest znacznie bardziej sceptyczne wobec służby wojskowej, wydatnie boi się ryzyka fizycznych obrażeń albo śmierci, a także od czasu zarazy nie chce opuszczać swoich rodzinnych miejsc zamieszkania". Ten sam kłopot ma dziś ze swoimi żołnierzami Izrael, a nieporadność izraelskiej armii w obliczu zaskakującego niebezpieczeństwa obserwowaliśmy dopiero co z niepomiernym zdziwieniem. Ogłaszane niedawno diagnozy naszego społeczeństwa, a zwłaszcza polskiego pokolenia Z, unaoczniają zaś ten sam fakt: chcą oni żyć wygodnie, bezpiecznie, miło, bez zawracania im głowy jakimiś wojnami. Skoro jednak również Amerykanie (o których przecież nie tak dawno Robert Kagan pisał jako o wojowniczym narodzie pochodzącym od Marsa) podlegają takim samym trendom, to zaiste coraz trudniej patrzeć z optymizmem w nieodległą przyszłość naszego świata.

eprasa.pl 383475ee03

Kiedy mama idzie do sądu

Są dorośli, ale wciąż mieszkają z rodzicami. Młodzi z południa Europy wyprowadzają się z domu najpóźniej. Lecz problem dotyczy nie tylko Włoch czy Grecji. W Korei Południowej takie dzieci nazywa się „kangurami”

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

„Bamboccioni” to włoskie słowo oznaczające „duże dzieci”, czyli mężczyzn, bo prawie zawsze są to mężczyźni, mieszkających w domu rodzinnym znacznie dłużej, niż jest to społecznie akceptowalne. Małe dzieci w dorosłych ciałach. Słowo to zyskało światowy rozgłos dwa tygodnie temu, gdy media obiegła sprawa 75-letniej mieszkanki Pawii, marzącej o pozbyciu się z domu dwóch synów, lat 40 oraz 42. Mężczyźni, choć pracują, a więc zarabiają, nie pomagali matce w domu, a także nie ponosili kosztów związanych z jego utrzymaniem. Kobieta wydawała na nich całą swoją emeryturę. W końcu powiedziała „basta” i kazała im się wyprowadzić z „hotelu mamma”. A ponieważ odmówili, sprawa trafiła do sądu. Ten zdecydował na korzyść kobiety.

Sędzia Simona Caterbi wydała nakaz eksmisji mężczyzn. Według niej mieszkanie w rodzinnym domu było początkowo uzasadnione ze względu na „obowiązek rodzica do zapewnienia utrzymania” dzieciom, jednak biorąc pod uwagę to, że panowie mają już ponad 40 lat, ten obowiązek dawno zniknął. Mężczyźni mają czas na wyprowadzkę do 18 grudnia. Jeszcze nie zdecydowali, czy złożą apelację od wyroku.

MAMMONI I KANGURY

Według danych włoskiego urzędu statystycznego (ISTAT) w 2022 r. prawie 70 proc. osób w wieku od 18 do 34 lat nadal mieszkało tam z rodzicami. Dane te dotyczyły 72,6 proc. mężczyzn i 66 proc. kobiet. Dla porównania – w Danii odsetek ten wynosił 10 proc., a w Szwecji 6 proc. W krajach skandynawskich młodzi ludzie opuszczają dom rodzinny średnio w wieku 20 lat, we Włoszech ponad 10 lat później. Mniej niż jedna trzecia Włochów poniżej 35 lat ma własne mieszkanie. Spośród młodych dorosłych, mieszkających w 2022 r. w rodzinnym domu, 36,5 proc. było studentami, 38,2 proc. miało pracę, a 23,7 proc. szukało zatrudnienia.

Podobnie wygląda sytuacja w innych krajach południa Europy. Odsetek

eprasa.pl 383475ee03

młodych ludzi w wieku 25–34 lat mieszkających z rodzicami jest wysoki także w Chorwacji (59,7 proc.) i Grecji (56,3 proc.). Jednym z powodów jest oczywiście gospodarcza stagnacja, wysoki poziom bezrobocia wśród młodych oraz brak dostępnych (cenowo) mieszkań. Kolejnym jest element kulturowy: we Włoszech oraz innych krajach południa Europy istnieje kultura wielu pokoleń mieszkających pod jednym dachem. Więzy rodzinne są silne, a mieszkanie z rodzicami – zwyczajnie wygodne. Im bardziej na południe Włoch, tym ten model rodzinny jest bardziej rozpowszechniony. Tam królują mammoni, szczególnie przywiązani do matek synowie. Badania przeprowadzone wśród mammoni i bamboccioni wykazały, że 9 proc. „po prostu czuje się dobrze u rodziców", więc nie widzi powodów do wyprowadzki, a 55 proc. uważa „za naturalne, że rodzice ich utrzymują".

We włoskich sądach procesów podobnych do tego z Pawii jest rocznie ponad 8 tys. W 2020 r. Sąd Najwyższy odrzucił skargę 35-letniego muzyka, twierdzącego, że nie jest w stanie utrzymać się z grania, a „nie można od niego oczekiwać, by przyjął pracę nieodpowiadającej jego wielkiemu talentowi". W 2016 r. sąd w Modenie zadecydował, że rozwiedziony ojciec ze swojej skromnej pensji dalej musi utrzymywać 28-letniego syna, wiecznego studenta, który najpierw przez dziewięć lat studiował literaturę, a gdy już skończył studia, rozpoczął kolejne, z eksperymentalnej kinematografii. Oczywiście przez cały ten czas mieszkał w rodzinnym domu.

Włoskie media piszą przy tej okazji o „przepaści pokoleniowej", „leniwych millenialsach i zetach". Warto zauważyć, że w krajach, gdzie jest najwięcej bamboccioni, występuje najniższy poziom urodzeń, czyli są to społeczeństwa starzejące się w zastraszającym tempie. Oprócz Włoch są to także Japonia czy Korea Południowa, gdzie bamboccioni są nazywani „kangurami". W Korei Południowej ponad 30 proc. rodziców w wieku 60 lat i starszych ma dzieci, które nadal mieszkają w domu. Ponad jedna trzecia tych rodziców stwierdziła, że ich dzieci nie stać na samodzielne życie, a ponad 77 proc. nie chce, aby ich dorosłe dzieci z nimi mieszkały. Współczynnik dzietności w Korei Południowej wynosi zaledwie 0,78.

DOROSŁE DZIECI JAK BUMERANG

Kiedyś, jak pisze włoski dziennik „Corriere de la Sera", młodzi brali ślub na ogół przed 25. rokiem życia i wyprowadzali się od rodziców do własnego mieszkania. Dziś, nie tylko we Włoszech, zwyczajnie ich na to nie stać. Poziom bezrobocia wśród młodych Włochów wynosił w lipcu br. 22,7 proc. Ale na południu kraju, w niektórych miejscowościach Sycylii czy Kalabrii, sięga nawet 50 proc.

> Według danych włoskiego urzędu statystycznego (ISTAT) w 2022 r. prawie 70 proc. osób w wieku od 18 do 34 lat nadal mieszkało z rodzicami. Dla porównania – w Danii odsetek ten wynosił 10 proc., a w Szwecji 6 proc.

Młodzi Włosi często zarabiają na życie dorywczo – jako opiekunowie do dzieci, animatorzy, sprzedawcy, kierowcy dostarczający pizzę czy asystenci biurowi. Często przechodzą z jednej umowy tymczasowej na drugą. Ci, którzy znajdują stałą pracę, często otrzymują tak niskie wynagrodzenie, że nie są w stanie z niego wyżyć. Nawet osoby o wysokich kwalifikacjach często nie zarabiają więcej niż 1 tys. euro miesięcznie. W dużych miastach, takich jak Rzym czy Mediolan, tyle trzeba co miesiąc zapłacić za wynajem skromnego lokum.

W 2019 r. śmierć 30-letniego Michele wstrząsnęła krajem. Młody grafik popełnił samobójstwo, bo nie mógł znaleźć dobrze opłacanej pracy. W liście pożegnalnym napisał: „Mam dość ciągłego starania się bez rezultatów, mam dość bezużytecznych rozmów kwalifikacyjnych jako grafik". Michele chciał być samodzielny, lecz mu się to nie udało. Podobnie jak tysiącom innych młodych ludzi, nie tylko we Włoszech zresztą.

To zjawisko nasiliło się w okresie pandemii COVID-19, gdy wielu młodych ludzi było zmuszonych wrócić do rodzinnych domów po kilku miesiącach, a nawet latach samodzielności. Badacze nazywają je „dziećmi bumerang". Według danych amerykańskiego Biura Spisu Ludności (Census Bureau) od połowy lat 80. do końca lat 2000 odsetek osób w wieku od 25 do 34 lat mieszkających w USA w rodzinnym domu oscylował między 10 a 12 proc. Liczba ta zaczęła rosnąć po wybuchu kryzysu finansowego w 2008 r., który wywołał wzrost bezrobocia, stagnację płac, wzrost czynszów oraz cen nieruchomości i znaczne zmniejszenie się siły nabywczej Amerykanów. W 2010 r. ponad 13 proc. młodych mieszkało z rodziną, w 2015 r. już 15 proc., a trzy lata później – 17 proc. Po wybuchu pandemii COVID-19 ten odsetek ponownie wzrósł. W styczniu 2021 r. Pew Research Centre opublikowało dane, z których wynikało, że w pandemicznym szczycie ponad połowa Amerykanów w wieku od 18 do 29 lat mieszkała z rodzicami lub dziadkami. Był to najwyższy odsetek od czasów wielkiego kryzysu. Dziś dwie trzecie z nich pozostaje w rodzinnym domu, choć pandemia dawno się skończyła.

REGRES

Te dane odzwierciedlają stały trend. Coś zmieniło się w sposobie, w jakim młodzi ludzie rozpoczynają dorosłe życie. „Więcej ludzi uczy się dłużej, później zawiera małżeństwa i ma pierwsze dziecko w późniejszym wieku niż kiedykolwiek wcześniej" – zaznaczył Jeffrey Jensen Arnett, psycholog z Clark University w rozmowie z „The Washington

49/1023/F

eprasa.pl 383475ee03

Post". „W konsekwencji mamy więcej młodych osób pozostających w domu lub przeprowadzających się z powrotem do domu niż 40 lub 50 lat temu" – podkreślił. Według Arnetta okres między 18 a 29 lat to dziś „otwarty etap rozwoju". Młodym dorastającym jest się do 30. roku życia, a nawet dłużej. Małżeństwo stało się trofeum, następującym na koniec etapu dojrzewania, a nie na jego początku. Wielu młodych ludzi długo pozostaje więc bezdzietnymi singlami, którym zwyczajnie wygodniej jest mieszkać z rodzicami. Do tego dziś na rynku pracy coraz bardziej cenione jest wyższe wykształcenie. Kto go nie ma, tego często nie stać na samodzielne życie, bo nie jest w stanie znaleźć pracy, która pozwoliłaby mu opłacić wszystkie rachunki.

Jak zauważa Karen Fingerman, prowadząca wykłady z ludzkiego rozwoju na uniwersytecie w Teksasie, na Zachodzie jest też coraz więcej młodych osób samotnie wychowujących dzieci. „Często wprowadzają się wtedy do swoich rodziców, bo mogą liczyć na ich pomoc" – uważa.

Nie wszyscy jednak tak życzliwie podchodzą do zwyczajów życiowych millenialsów i zetów. Pismo „Time Magazine" określiło ich jako „wiecznych Piotrusiów Panów", a amerykańska stacja telewizyjna CNBC wzywała ich do tego, „by się wreszcie wyprowadzili z domu i zaczęli układać sobie życie".

Nie brakuje także poradników dla rodziców, jak pozbyć się uciążliwych pociech, które nie chcą wyfrunąć z domowego gniazda. W jednym z artykułów wymieniono „osiem błędów, jakie popełniają rodzice, gdy ich dorosłe dzieci ponownie się wprowadzają" (nr 4 to: „Zakładać, że się wyprowadzą, kiedy będą gotowi", nr 7: „Pozwolić im czekać na idealną pracę"). Według większości poradników pracujący rodzice w USA wydają ponad 1 tys. dol. miesięcznie na rachunki dorosłych dzieci. W jednym z artykułów omówiono ankietę przeprowadzoną przez konsumencką witrynę internetową Savings.com. Okazało się, że 62 proc. dorosłych dzieci mieszkających z rodzicami „w ogóle nie uczestniczy w wydatkach gospodarstwa domowego". USA to nie Włochy, ale problem ten sam.

„Wielopokoleniowe gospodarstwa domowe są naprawdę bardzo produktywne i pożyteczne" – zaznaczył prof. Jerrold Shapiro, wykładowca psychologii na Uniwersytecie Santa Clara w Kalifornii. „Ale są pewne problemy. Największym z nich jest to, że gdy tylko dzieci wracają do rodziców, niezależnie od tego, ile mają lat, zwyczajnie następuje regres. A rodzice cofają się wraz z nimi. Robią to w tandemie" – dodał.

W 2010 r. minister w rządzie Berlusconiego Renato Brunetta chciał wprowadzić przepisy zmuszające młodzież do opuszczenia domu rodzinnego w wieku 18 lat. Tak się oczywiście nie stało, więc mammoni i bamboccioni pozostają tam, gdzie byli: u mamusi.

REKLAMA

KSIĄŻKI, KTÓRE NIEBAWEM BĘDĄ ZAKAZANE...

Nowy przedmiot szkolny Historia i teraźniejszość wzbudził w 2022 roku olbrzymie zainteresowanie – okazał się niezwykle potrzebny. Prof. Wojciech Roszkowski wydobywa na światło dzienne prawdy, które wielu chciałoby ukryć. Wielokrotnie podkreśla znaczenie postaw moralnych (lub amoralnych) tak dla życia pojedynczego człowieka, jak i dla wspólnoty.

ZAMÓWIENIA: Biały Kruk Sp. z o.o., ul. Szwedzka 38, 30-324 Kraków, tel.: 12/260 32 90, 12/254 56 19, e-mail: dystrybucja@bialykruk.pl, www.bialykruk.pl
Przy zamówieniu na kwotę powyżej 200 zł koszty przesyłki (17 zł) ponosi wydawnictwo.

Tom I: prawie pół tysiąca ilustracji, 512 str., 16,5 x 23,5 cm, kartonowa oprawa, cena 49 zł

Tom II: 294 ilustracje, 334 str., 16,5 x 23,5 cm, kartonowa oprawa, cena 49 zł

Dwa tomy w pakiecie – taniej! 80 zł zamiast 98 zł

eprasa.pl 383475ee03

Obywatele nie chcą imperium (1632–1648)

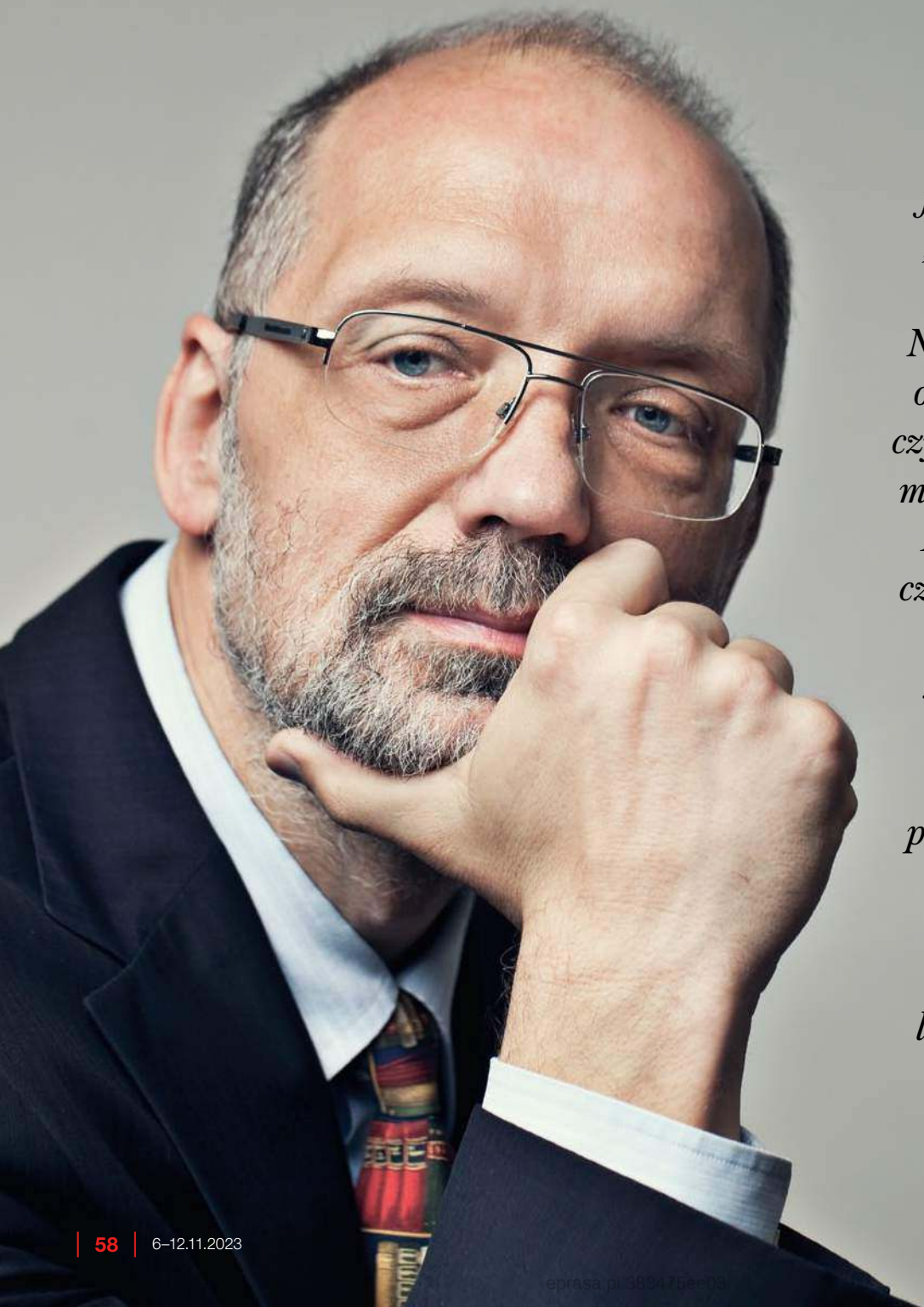

Jako pierwsi publikujemy fragment 6. tomu „Dziejów Polski" prof. Andrzeja Nowaka. Obejmuje on lata 1632–1673, czyli najgorętszy czas militarnych dziejów Rzeczypospolitej, czas geopolitycznego przesilenia, zdrady i wzorów poświęcenia – przekutych potem w mit (przez Sienkiewicza i innych). To fascynująca lektura. Polecamy

eprasa.pl 383475ee03

„Opustoszała Rzeczpospolita, opustoszała Ukraina. Wilcy wyli na zgliszczach dawnych miast i kwitnące niegdyś kraje były jakby wielki grobowiec. Nienawiść wrosła w serca i zatruła krew pobratymczą". Tak kończy się ostatni odcinek drukowanej w 1884 roku w warszawskim dzienniku „Słowo" powieści Henryka Sienkiewicza: *Ogniem i mieczem*. Nie było wtedy na mapie ani Polski, ani Ukrainy. Były w Europie Środkowej i Wschodniej tylko trzy imperia, które 89 lat wcześniej podzieliły między siebie resztkę Rzeczpospolitej: carska Rosja, habsburska Austria oraz Prusy, tworzące niemiecką II Rzeszę. Dla kilku pokoleń Polaków, przynajmniej między 1884 a 1984 rokiem, opowieść Sienkiewicza o tragedii czasów króla Jana Kazimierza była bramą główną do krainy wyobraźni historycznej. Wprowadzała w zagadnienie upadku wspólnoty politycznej, utraty niepodległości, ale zarazem miała – wedle intencji autora – „krzepić serca", dawać nadzieję, że z upadku można się podźwignąć. Dla zagranicznych czytelników powieści pierwszego polskiego laureata literackiej Nagrody Nobla (a *Ogniem i mieczem* przełożono na blisko trzydzieści języków) była ona – i pozostaje może nadal – cudowną gawędą o przygodach wolności, o odwadze, przemocy i słabości. O miłości, buncie i nienawiści; o upadaniu i powstawaniu.

Kiedy w roku 2023 przepisuję słowa Sienkiewicza, zdają się one nie być historyczną fikcją, ale podsumowaniem aktualnego reportażu. Ukraina znów jest pustoszona, gdy zaczynam opowieść kolejnego tomu *Dziejów Polski*. Hulajpole, Konotop, Czarnobyl, Zaporoże i tyle innych miejsc, znanych z krwawych dziejów wieku XVII, znowu krwawi. Nie wiem, czy kiedy brać będą do ręki tę książkę jej Czytelnicy, będą cieszyli się spokojem, którego wspomnienie żadnej wojny nie będzie już zakłócało? Czy historia tu opisywana będzie mogła być potraktowana jako dziwna baśń z czasów, które nic wspólnego z ich doświadczeniem już nie będzie miała? W tym momencie jednak lęk przed imperialnym najazdem i panowaniem znowu powrócił na obszar dawnej Rzeczpospolitej. I wraca pytanie o jej wspólnotę, ponad doświadczeniem wewnętrznych konfliktów, wobec aktualnej agresji, która przychodzi z zewnątrz. Pytanie o wspólnotę losu, wartości, interesów? Historia, także historia Rzeczpospolitej i jej wrogów, najwidoczniej jeszcze się nie skończyła.

Jak więc mamy opisywać ten jej fragment, w którego centrum nieuchronnie znaleźć się musi kozacki bunt Chmielnickiego (rewolucja społeczna czy powstanie narodowe?), czas „potopu" – czyli najazdu moskiewskiego najpierw, potem szwedzkiego i siedmiogrodzkiego na Rzeczpospolitą (1654–1660), kronika najbardziej zapalczywych konfliktów między dworem królewskim i obrońcami „złotej wolności", w końcu inwazji tureckiej i kapitulacji Kamieńca Podolskiego? Jak opisać drogę Rzeczpospolitej od wielkiego zwycięstwa pod Smoleńskiem w roku 1634 do załamania jej pozycji w Europie Wschodniej? To jest czas Trylogii Sienkiewicza, słodzony ostatnimi triumfami orężnymi – aż po Chocim, a później jeszcze Wiedeń, ale przecież zarazem czas niewątpliwego kryzysu gospodarczego, społecznego i – chyba można również powiedzieć – moralnego tej wspólnoty, ujawniający zepsucie jej politycznego systemu. Pisał o nim gorzko sam autor Trylogii. Włożył te słowa w rachunek sumienia bohatera *Ogniem i mieczem*, księcia Jeremiego Wiśniowieckiego: „Wróg najgorszy to nie Chmielnicki, ale nieład wewnętrzny, ale swawola szlachty, ale szczupłość i niekarność wojska, burzliwość sejmów, niesnaski, rozterki, zamęt, niedołęstwo, prywata i niekarność – niekarność przede wszystkim. Drzewo gnije i próchnieje od środka. Rychło czekać, jak burza pierwsza je zwali – ale parrycyda [ojcobójca] ten, kto do takiej roboty ręce przykłada, przeklęty ten, kto przykład daje, przeklęty on i dzieci jego do dziesiątego pokolenia!!..."

To nie jest jednak historia próchnicy, procesów chemicznych, z udziałem grzybów czy bakterii. To jest historia relacji między ludźmi i ludzkimi wspólnotami. Jak one się układają i jak się psują? Kiedy spaja je interes, kiedy pewnego rodzaju poczucie braterstwa czy przyjaźni, a kiedy najsilniejszym katalizatorem wspólnoty, a wcześniej motywem pobudzającym działanie jednostki staje się nienawiść – wobec innych?

Narzędzia, których używamy do rozpoznania tak delikatnej i złożonej materii nie są bez znaczenia dla wyniku badań. Można na przykład w tkankę takiej materii, jak dzieje Rzeczpospolitej XVII wieku, wrzynać się kategoriami wprowadzanej od niedawna do nauk społecznych „analizy intersekcjonalnej". Stworzona przez czarnoskóre feministki w Ameryce, badaczki pojęcia rasy i rasizmu, jako klucz do rozumienia wszelkiej historii próbuje ona uchwycić współzależność i hierarchie różnych form przywilejów oraz opresji: klasowej, rasowej, płciowej, etnicznej (a także wielu innych rodzajów), a wreszcie „strategii oporu", które ostatecznie mają obalić system ucisku. Odpowiada w taki, rewolucyjny sposób, na dziedzictwo kolonializmu i niewolnictwa. W amerykańskich stanach (jeszcze wówczas nie zjednoczonych) zaczęło się ono w sierpniu 1619 roku, wraz z wysadzeniem w Port Comfort w Virginii pierwszej grupy mieszkańców czarnej Afryki, którzy zostali uprowadzeni z Angoli przez portugalskich handlarzy, przeżyli drogę przez Atlantyk i zostali sprzedani angielskim kolonistom. 250-letnie doświadczenie amerykańskiego niewolnictwa i rasizmu oraz kolejnych 150 lat jego skutków formuje wrażliwość i emocjonalność metody intersekcjonalnej. Nieco paradoksalnie, kolonizuje ona teraz umysły badaczy innych krajów i tradycji, starających się dopasować odmienne często warunki i hierarchie „wiktymizacji" w społeczeństwach pozaamerykańskich do najnowszego wzoru badawczo-moralnego postępu (może nawet odwetu?). Jakie będą nowe mody i trendy ideologicznej interpretacji historii za lat 20, 50 albo 100? Czy w całości zostanie przeszłość przekreślona jako „niesłuszna", jeszcze do „wyleczenia" albo już do ostatecznego wyrzucenia na śmietnik przyszłości? To może zobaczą Czytelnicy tej książki, jeśli tacy jeszcze będą.

Ostrożnie zatem podchodząc do udziału w owym wyścigu o tytuł odkrywcy najgłębiej ukrytej krzywdy, warto jednak zastanawiać się nad powracającymi przy jego okazji pytaniami badawczymi. Kto był najbardziej uciśniony w Rzeczpospolitej? Chłop czy raczej chłopka, gnębiona przez chłopa-męża (ojca, krewniaka) – czy przez pana gruntowego? Czy (i jak) ze względu na płeć i wyznanie oprymowana była np. matka Jeremiego Wiśniowieckiego, prawosławna księżna Raina, z domu Mohylanka? Czy bardziej jednak katolik-zagrodnik w jednej

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 383475ee03

z setek wsi należących do latyfundium jej męża, Michała? Czy na „spodzie" (a więc, w istocie – na szczycie) tej hierarchii ucisku był Żyd? Ostatnio, zauważmy, bardzo interesujące studium przypadku, wykorzystujące elementy intersekcjonalnej analizy, w odniesieniu do pierwszej połowy XVIII wieku co prawda, przedstawił badacz warszawski, Tomasz Wiślicz. Bohater jego monografii, Zelman Wolfowicz, trząsł przez ćwierć wieku (1728–1752) dochodowym starostwem drohobyckim, korzystając jako faktor z wyjątkowej przychylności starościny-wdowy, pani Doroty Chomętowskiej. Najbardziej kłuło to w oczy, jak się okazuje, nie miejscowych chrześcijan, ale współwyznawców Zelmana, oburzonych wyniesieniem jednego spośród nich poprzez układy z „sarmacką elitą władzy". Kobieta i Żyd na wierzchu systemu przemocy i korupcji, jaką charakteryzowały się owe drohobyckie rządy? Przez pewien czas, w pewnych okolicznościach – tak być mogło. Nie tylko stan, klasa, płeć, pochodzenie etniczne czy religia, lecz także przynależność do klienteli potężnego pana (czasem mogła to być w praktyce – pani) określało położenie w przestrzeni geografii społecznej Rzeczpospolitej. Warto o tych i o wielu innych „szczegółach" pamiętać, nie tracąc z oczu specyfiki konkretnego czasu i miejsca.

Dla geopolityki społecznej, jeśli wolno tak to nazwać, państwa polsko-litewskiego w wieku XVII najważniejszy niewątpliwie okazał się moment przecięcia (intersekcji) postrzeganego ucisku, jakiego symbolem jest rok 1648, a miejscem – Ukraina. Napisałem „postrzeganego" nie po to, by relatywizować ten problem, ale przeciwnie, by podkreślić, że był on zauważany całkiem wyraźnie nawet przez tych, którzy sami siebie uznawali za stan słusznie uprzywilejowany. Z perspektywy 85 lat, a więc takiej, z jakiej np. dziś przyglądam się wydarzeniom poprzedzającym wybuch II wojny światowej, tak w roku 1733 opisywał ów dramatyczny, kluczowy moment XVII wieku historyk-amator, podczaszy województwa podlaskiego, pan Franciszek na Pułaziach Pułaski: „Początek rewolucyi. Rok 1648. Woyna w Polszcze z Kozakami zaczęta; rebellyi Kozackiey okazyą były wielkie ich uciski y oppressye, y Bogdana Chmielnickiego ich pod czas tey Woyny głowy y wodza ukrzywdzenie. Ten bowiem maiąc swoy futor blisko Czehryna; gdy zaś swym przemysłem y zabiegami Słobodę tam osadził, tę mu Szlachcic ieden Polski na się ią uprosiwszy odiął, za rzecz niegodną maiąc, aby Kozak ieden tak się w Miasta fundował y bogacił. O co że się z nim Chmielnicki umawiał do turmy wtrącony; z którey niźli był wyproszony, z tym się hardzie odezwał: że mi się ieszcze nie wszystko wzięto, kiedy mam Szablę w ręku. A gdy był uwolniony, wnet się z drugiemi Kozakami zniósłszy y przeciw Panom spiknąwszy, na Zaporoże dla buntu zaiachał, a potym do Tatarów". Skrzyżowały się zatem „opresje" zbiorowe Kozaków, poczucie ich krzywdy, z indywidualną niesprawiedliwością, jakiej doświadczył ich „wielki wódz, ale większy ieszcze przestępca", jak pisze o Chmielnickim Pułaski. Coś się niedobrego dzieje, czego na drodze prawnej nie udaje się naprawić – ani zbiorowości (w dodatku uzbrojonej i bitnej), ani jednostce (w dodatku wybitnie utalentowanej i zdeterminowanej). Zaczyna się „plądrowanie i pustoszenie, łupienie i profanowanie". Dokonuje się upadek.

[...]

Katastrofa, wstrząs, widoczna groźba zawalenia całego systemu Rzeczpospolitej przez kryzys wewnętrzny, wykorzystywany przez zaborczych sąsiadów – to dopiero jest „argument", który skuteczniej jest w stanie uświadomić rzeczywiste istnienie dobra wspólnego. Odsłania się ono wyraźnie, kiedy następująca w „potopie" od wschodu Moskwa grabi i zabija i Żydów, i prawosławnych, i katolików; kiedy wojska szwedzkie i najemnicze Karola Gustawa rabują wszystko, co się da – z chłopskiej chaty, mieszczańskiego domu, a nawet z pałaców swoich magnackich, wielkopolskich czy litewskich kolaborantów. I wtedy, w imię wolności inaczej odczytanej, jako niepodległość od zewnętrznego gwałtu i podporządkowania, powstają do walki tysiące ludzi. W momencie największego zagrożenia, najbardziej odpowiedzialna za to szlachta wzięła z wolnej woli na siebie ciężar walki, obowiązek walki o Rzeczpospolitą. Obywatele zaczęli nie tylko znowu heroicznie bić się o odzyskanie domu, ale nawet myśleć o jego reformie, która dopuściłaby do wolności szlacheckiej Kozaków, usprawniła system władzy wykonawczej i sejmowania. Kiedy jednak wróg zewnętrzny został przegnany, Rzeczpospolita stanęła znowu na nogi, to choć się na nich chwiała z osłabienia, jej znużeni obywatele nie mieli już dość przekonania, by iść dalej w kierunku wzmacniających państwo reform. Trzeźwiący moment zagrożenia wspólnoty wolności minął. Następny przyjdzie w XVIII wieku, wieku rozbiorów.

Będziemy już w tym tomie analizować okoliczności zawarcia pierwszego poważnego traktatu rozbiorowego: w siedmiogrodzkim Radnot, w grudniu 1656 roku, gdzie państwo polsko-litewskie miało zostać podzielone między króla szwedzkiego Karola Gustawa, księcia siedmiogrodzkiego Jerzego Rakoczego, Bohdana Chmielnickiego, Bogusława Radziwiłła oraz elektora brandenburskiego Fryderyka Wilhelma. Powszechne powstanie woli niepodległości nie pozwoliło wtedy na zrealizowanie rozbiorowego scenariusza. Pod wrażeniem tego cudu, dekadę później Fryderyk Wilhelm, słusznie zwany Wielkim Elektorem, spisując testament polityczny, zalecił swoim następcom: „Trzymajcie się stale Rzeczypospolitej nigdy nie wymierającej". Nie wymarła w 1656 roku i odrodziła się, rzeczywiście, jak Feniks z popiołów.

Feniksa mamy podziwiać czy popioły opłakiwać? Fałszywa alternatywa. Zaopatrzeni w kilka przestróg przed takimi zwodniczo prostymi wyborami interpretacyjnych wytrychów, wróćmy do dalszej historii naszego gniazda, które nie jest tylko stosem, ale miejscem życia kolejnych pokoleń.

eprasa.pl 383475ee03

Śpiewające wejście

W „Leśniczówce" szykuje się wspaniały ślub. Podczas wesela parze głównych bohaterów – Katarzynie Ruszczyc (Jolanta Fraszyńska) i Konradowi Lesińskiemu (Sambor Czarnota) – show skradnie jednak nowa postać, Lilka (Joanna Liszowska). I zrobi to śpiewająco

Fot. Tomasz Wawer / mat. prasowe

eprasa.pl 383475ee03

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Burza złotych loków, posągowe kształty, piękny uśmiech i głos... Serialowi weselnicy, a zapewne również widzowie, nie pozostaną obojętni na tak mocne, nie tylko sceniczne wejście nowej postaci, Lilki. Podczas wesela głównej pary – Kasi (Jolanta Fraszyńska) i Konrada (Sambor Czarnota) – Joanna Liszowska śpiewająco przedstawi się większości bohaterów.

Aktorka, znana m.in. z wielosezonowej roli w serialu „Przyjaciółki", dołączyła do obsady „Leśniczówki" w znaczącym dla siebie momencie. Po domknięciu prywatnych zawirowań postanowiła wrócić do równoległej z aktorstwem, a zarzuconej na jakiś czas, pasji, czyli śpiewania. Dziś chętnie określa się mianem „artystki sceny muzyczno-teatralnej".

IMPONUJĄCE POCZĄTKI

22 lata temu, kończąc w rodzinnym Krakowie studia na PWST, zwróciła na siebie uwagę, zdobywając III nagrodę na Przeglądzie Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu. W listopadzie 2001 r. zadebiutowała na scenie Teatru Wielkiego-Opery Narodowej w Warszawie. Zagrała Annę I w „Siedmiu grzechach głównych" Kurta Weila w reż. Janusza Wiśniewskiego.

Przez widzów jest kojarzona z rolami w serialach, m.in. „Na dobre i na złe" (od 2002 do 2009 r.), „Kasia i Tomek", „Kryminalni", „Na Wspólnej" czy „Przyjaciółki" (2012–2023). W kinie była obsadzana w produkcjach typu „Lawstorant" czy „Swingersi". Przez pierwsze dwa lata po dyplomie miała okazję występować zarówno na scenie narodowej, jak i w Operze Krakowskiej oraz krakowskich teatrach: Starym i STU, a także w stołecznych: Komedii i Ateneum.

MILIONER I MARZENIA

Joanna Liszowska od początku kariery była osobą medialnie rozpoznawalną. Nie tylko za sprawą ekranowych ról czy udziału w taneczno-muzycznych widowiskach, takich jak „Taniec z Gwiazdami" (2005), „Jak Oni śpiewają" (zdobyła główną nagrodę Brylantowy Mikrofon 2008) czy „Twoja twarz brzmi znajomo" (2014). W 2010 r. aktorka poślubiła szwedzkiego przedsiębiorcę i milionera Ola Serneke. Doczekali się dwóch córek: Emmy i dwa lata młodszej Stelli. Niestety, małżeństwo nie przetrwało. Para rozwiodła się w 2018 r. Media długo o tym nie wiedziały.

W br. Liszowska wróciła do marzeń o muzycznej karierze. Została wokalistką zespołu Lisha & The Men (w sieci można obejrzeć teledysk do piosenki „Zatańcz ze mną"). Nieco mniej spektakularnych muzycznych osiągnięć ma na koncie – również kochająca śpiewanie – Lilka z „Leśniczówki". Scenarzyści serialu sięgnęli nie tylko po wokalne talenty Liszowskiej. Grana przez nią bohaterka będzie musiała się odnaleźć w coraz bardziej skomplikowanych uczuciowych relacjach. Jako atrakcyjna kobieta, która wpada w oko Robertowi (Przemysław Stippa), lecz także matka dorastającej córki.

UCZUCIOWE KŁOPOTY

Lilia na co dzień pracuje jako sekretarka w dużej firmie. Od niedawna śpiewa też na weselach. Występując dla młodej pary – Katarzyny i Konrada – pozna bohaterów mieszkających w tytułowej miejscowości Leśniczówka. Równolegle zacznie się rozwijać wątek „warszawski", gdy córka Lilki Misia zostanie beneficjentką projektu Roberta (w który zaangażowana jest też firma Krzysztofa i Ewy).

Dziewczyna wygrywa konkurs dla licealistów, przedstawiając projekt specjalnej aplikacji. Wydawałoby się, że to optymalna sytuacja do podtrzymania znajomości z bardzo atrakcyjną mamą uczestniczki. Jak się jednak przekonali widzowie serialu, Robert to specjalista od generowania – także uczuciowych – problemów.

Tym razem, jak zdradza aktor, Robert zachował się nie do końca fair wobec zwyciężczyni konkursu, w związku z czym już na dzień dobry skomplikował sobie relacje z niezwykle interesującą, a spotkaną pod biurowcem kobietą. O tym, jak wybrnie z tej sytuacji, przekonamy się w kolejnych odcinkach „Leśniczówki".

Fot. Tomasz Wawer / mat. prasowe

eprasa.pl 383475ee03

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Wyimki z „Dziadów" – geniusz miejsca

Do spektaklu TVP „Dziady. Śladami Mickiewicza" mam mieszany stosunek. Pamiętam czasy, gdy publiczna telewizja była w stanie wystawić cały ten dramat w reżyserii Jana Englerta (1997 r.). Dziś, więziona tyranią formatu, przekonaniem, że widza nie ma co za długo męczyć klasyką konkurencyjną wobec reklam, pokazała nam jedynie trzy sceny. Traktowane jako osobne ciekawostki, choć spięte słowami wstępnymi, pięknie wygłoszonymi przez Przemysława Stippę.

Zarazem coś łączy te ciekawostki – zamysł, aby nakręcić je w autentycznych litewskich „dekoracjach". Prezes Mateusz Matyszkowicz powołał do życia swoje ukochane dziecko, polski kanał TVP Wilno, teraz wciągnął jego ekipę do współpracy. „Bal u senatora" oglądamy we wnętrzach uniwersytetu wileńskiego, sławną Wielką Improwizację w celi Konrada koło Ostrej Bramy, wreszcie sekwencję II części dramatu z tytułowymi obrzędami dziadów w scenerii góry krzyży cmentarza Szawelskiego. Pierwszą z nich nagrano, lecz dwie były emitowane na żywo. Trudno nie wyczuć klimatu miejsc. I nie poczuć doniosłości zdarzenia, kiedy z Litwinami w coraz większym stopniu wspólnie czujemy historię.

„Bal u senatora" w reżyserii Magdaleny Małeckiej-Wyppich był jednak strasznie ściśnięty i dla widza po raz pierwszy podchodzącego do tekstu chyba nie całkiem czytelny. Grali świetni aktorzy. Arkadiusz Janiczek jest wymarzonym Nowosilcowem, Sławomira Łozińska porusza nas jako udręczona Pani Rollison, w tle mamy wyraziste role: Mateusza Webera (ks. Piotr), Karola Wróblewskiego (Doktor), Piotra Kramera (Pelikan) czy Karoliny Charkiewicz (Panna). W teorii ma być groteskowo i symbolicznie. Lecz dziwaczna choreografia litewskiego zespołu Aurora Dance Company niespecjalnie mnie przekonała, a jej absurdalną konsekwencją jest obecność w scenerii XIX-wiecznego Wilna ciemnoskórego Filipińczyka. Na dokładkę reżyserka pomieszała postaci i kwestie. Dlaczego lokaj Dawida Ściupidro zmienia się w gościa na balu, wypowiadającego kwestie rosyjskich opozycjonistów? Także inni mówią nie swoje teksty – wbrew logice. Po co ten chaos?

Część drugą wyreżyserował znawca romantyzmu Jarosław Gajewski. Gustawem-Konradem, mówiącym Wielką Improwizację, jest młody aktor Jakub Kordas, który raz już go grał – w Teatrze Polskim, pod batutą Janusza Wiśniewskiego. Ujął mnie wtedy tym, że zgodził się wypowiedzieć do mojego tekstu broniącego aktualności polskiego romantyzmu własne uzasadnienie tej tezy. Ten jego Konrad jest dojrzalszy niż tamten, świetnie przepracowany. To piękna poetycka robota. Niestety, improwizację skrócono – prawie o połowę.

Część trzecia, w dramacie druga, reżyserowana przez Jarosława Kiliana, jest zdominowana przez muzykę Adama Struga, który prowadzi obrzędy, śpiewając kwestie Guślarza. Spotkania z duchami wypadają sugestywnie, całość ma w sobie pierwotną dzikość, wpisaną w naszą historię. Mógłbym spytać, dlaczego Sową, młodą kobietą, która zamarzła z małym dzieckiem, jest wiekowa, choć zawsze świetna Ewa Dałkowska. A nawet dystansować się od patosu sceny z Upiorem, czyli Mickiewiczem, który w taki sposób dowartościował swój miłosny zawód (ponownie Jakub Kordas). Całość wypadła jednak klimatycznie, nie będę przeczył. No i warto posłuchać dla samego tła muzycznego.

Kręcę nosem, tymczasem wielu tradycyjnych widzów naprawdę przeżyło ten spektakl. I tu uwaga końcowa. Jakich nie miałbym wątpliwości wobec tego, co robiła z klasyką obecna TVP, wiem, że za nowej ekipy możemy nie dostać i tego. Czuję w powietrzu ich pokusę, aby wyrzucać całe partie naszej tradycji na śmietnik. Za kulturę i edukację ma ponoć odpowiadać lewica. No to ja dziękuję tym, co są jeszcze na Woronicza.

Piotr Zaremba

Wywoływanie polskich duchów

Granica między światem żywych i zmarłych wciąż jest nikła. Na naszych oczach wywołane zostały duchy historycznych analogii. Warto, by tu i teraz odżyły też nasze plemienne ryty – o tym opowiadają Mickiewiczowskie „Dziady", wystawione na żywo przez TVP. Bezpośrednio z Wilna i litewsko-żmudzkiego pogranicza

MACIEJ WALASZCZYK

Telewizja Polska podjęła się realizacji fantastycznego, lecz także bardzo trudnego pomysłu. Wystawienie w telewizyjnej inscenizacji Mickiewiczowskich „Dziadów" na Litwie, podążając w ślad za Adamem Mickiewiczem między Wilnem a historyczną Żmudzią, dodatkowo na żywo, w wigilię święta Wszystkich Świętych. Sam w sobie projekt jest godny pochwały i słusznie wywołał u wielu bardzo żywe zainteresowanie. W końcu w powodzi kiczowatych show, seriali i transmisji sportowych w ten konkretny dzień publiczna telewizja pokazała nam wileńsko-kowieńskie „Dziady".

Inscenizacja, której podjęła się TVP, rozgrywała się na trzech odrębnych scenach – Celi Konrada przy klasztorze bazylianów, w Sali Kolumnowej Uniwersytetu Wileńskiego oraz na Górze Krzyży na cmentarzu Szawelskim. Każdą z nich przygotował inny reżyser.

Mimo skrótów i dość dosłownych interpretacji, lecz w autentycznej scenografii, potwierdziła się opinia, że Mickiewiczowski dramat wciąż jest żywym sercem polskiej kultury. Polskiej, choć to przecież kresowy obrzęd obcowania żywych z umarłymi, pierwotnie obchodzony na cmentarzach Radonica, później rozpowszechniony wśród prawosławnej ludności białorusko-litewskiego czy ukraińskiego pogranicza. Wierzono, że właśnie w tym czasie granica między światem żywych i zmarłych zanika. Najpierw starano się obcować ze zmarłymi w domach, potem na rozstajach dróg, polach, w końcu zaczęto do nich przychodzić na cmentarze.

U Mickiewicza to także dzieło głęboko inspirowane greckimi misteriami, dlatego w napisanym przez siebie dramacie zorganizował on obrzęd, podczas którego wszystkie znane mu tradycje miały się spotkać w jednym miejscu. Romantyk ożywił duchy przywoływane przez Guślarza, wprowadził postać Widma, tworząc rytuał już bardziej dla nas, żywych członków wspólnoty, niż dla umarłych.

Dzisiaj, podążając jego śladem, telewizja ożywiła go ponownie, przywołując również atmosferę Wilna czasów, gdy uczestnicy spisku filomatów i filaretów zapełnili więzienne cele, płacąc wysoką cenę za podniesienie narodowego sztandaru w rosyjskiej niewoli.

Telewizyjna inscenizacja to pomysł także obarczony pewnym ryzykiem artystycznym, technicznym, realizacyjnym. Nietrudno się domyślić, że jego realizacja w ograniczonych do pewnego stopnia ramach czasowych zmusiła twórców do podjęcia decyzji, co pokazać z owych kluczowych części II i III Mickiewiczowskiego arcydramatu. W takich okolicznościach żaden z trójki reżyserów nie silił się więc na eksperymenty, licząc z pewnością na to,

Fot. TVP

eprasa.pl 383475ee03

że oryginalne i niecodzienne warunki, w jakich powstała inscenizacja, wzmocnią siłę przekazu. W końcu nie mamy okazji na co dzień wysłuchać Wielkiej Improwizacji z celi Konrada w Wilnie.

Dodatkowo kolejne sceny spektaklu „Dziady. Śladami Adama Mickiewicza" zostały przeplecione krótkimi wprowadzeniami transmitowanymi wprost z cmentarza w Solecznikach, gdzie w 1821 r. młody Mickiewicz obserwował słowiańskie obrzędy. Naszym przewodnikiem po tych miejscach i swoistym narratorem był aktor Przemysław Stippa. Jak mówił, obrzędy pogańskie pomieszane z wywiedzionymi z chrześcijaństwa obyczajami miały dla białorusko-litewskiej ludności tamtego świata swoją siłę i prawdę. Tego wieczora telewidzowie również mieli poznać ich metafizyczną moc i z pewnością tak się stało. W telewizji, na żywo z Litwy, Wilna i szawelskiej Góry Krzyży.

PODRÓŻ DO LITEWSKICH ŹRÓDEŁ

Zacznijmy od końca, choć przecież „Dziady" to dramat amorficzny, który można czytać właściwie w dowolnej kolejności. Kulminacją spektaklu na pewno jest ostatnia scena – jego II części, zrealizowana na Górze Krzyży na cmentarzu Szawelskim na Żmudzi. Wyreżyserował ją Jarosław Kilian. Miejsce ciekawe, bo już od upadku powstania listopadowego będące celem pielgrzymek, do którego ludzie przynosili swoje krzyże. Później dostawiano je również po powstaniu styczniowym i w czasach sowieckich. 30 lat temu do tego miejsca dotarł także ze swoim krzyżem inny pielgrzym, Jan Paweł II, i odprawił tam mszę. „Jest tam 200 tys. krzyży, a za każdym z nich jest wspomnienie zmarłego, zaginionego. To niezwykłe miejsce do wywoływania polskich duchów i dziadów" – tłumaczył reżyser. Ludowemu obrzędowi przy akompaniamencie liry korbowej przewodniczył Guślarz, w którego wcielił się zakapturzony pieśniarz Adam Strug wraz z chórem Monodia Polska. W scenie wystąpili również znakomita Ewa Dałkowska, Hanna Skarga, Vladas Bagdonas, Grzegorz Feluś i Jakub Mieszała. „Sięgamy do źródeł, ale zależało mi na tym, aby to były nasze »Dziady« współczesne" – wyjaśniał Kilian.

I o to właśnie chodziło. Głównym wehikułem tej cmentarnej sceny była więc muzyka oraz pieśni wygłaszane jako inkantacje mówione i śpiewane. By osiągnąć ten efekt, Kilian zaprosił do współpracy Struga nie tylko jako śpiewaka, lecz także etnomuzykologa. To centralny punkt tej inscenizacji, bo stylizowane na ludowe nabożne pieśni są komunikatem, który twórcy chcieli przekazać nam – widzom. Kiedyś tak śpiewały całe społeczności, a polska wieś była pod tym względem fenomenem, głównie w czasie pogrzebów, a także innych uroczystości. Strug wielokrotnie ze smutkiem powtarzał, a w szczególności dotyczy to Polski, że amerykańska popkultura spowodowała, iż wiele narodów porzuciło własną muzykę. „Żałuję, że ludzie tak ławo porzucili swój ryt plemienny, nie świadczy to o nas dobrze jako o zbiorowości" – mówił w jednym z wywiadów. Nasz plemienny ryt wraz z polskimi duchami ożywiony został na kilkadziesiąt minut w czasie transmisji telewizyjnej, dokładnie w czasie, gdy dzieci waliły do mojego mieszkania w drzwi w czasie Halloween. Czy nie jest to aż za bardzo symboliczne?

Scenę drugą – Wielką Improwizację – odegrano w zabytkowej Celi Konrada, nieopodal Ostrej Bramy, przy klasztorze bazylianów, w którym w XIX w. więziono wileńską młodzież podczas procesu filomatów i filaretów. Wyreżyserował ją Jarosław Gajewski, a w roli Konrada wystąpił Jakub Kordas, bardzo młody aktor, znany również z dubbingów. Lecz to nie przypadek, bo w tej roli wcześniej odsadził go także Janusz Wiśniewski, twórca, który niedawno przygotował Mickiewiczowskie „Dziady" wystawione w Teatrze Polskim w Warszawie. Kordas otrzymał propozycję zagrania Gustawa-Konrada jeszcze przed dyplomem, jako student Akademii Teatralnej. Wcielając się w tę postać w Wilnie, wyszedł z tego zadania obronną ręką. Konrad w transie rzuca wyzwanie Bogu, kamery z kilku ujęć śledzą słynny patetyczny monolog. Choć zanim upadnie z wyczerpania, widz sam będzie musiał sobie dopowiedzieć ostatnie słowa bluźnierstwa.

BAL U NOWOSILCOWA

Spektakl otwiera „Bal u Senatora", a scenerię dla niego stanowiła Sala Kolumnowa Uniwersytetu Wileńskiego. Ta część została przygotowana przez reżyser Magdalenę Małecką-Wippich oraz choreografa Jacka Przybyłowicza. Wystąpili w niej m.in.: Sławomira Łozińska, Arkadiusz Janiczek, Mateusz Weber, Karol Wróblewski, Piotr Kramer, Karolina Charkiewicz, Dawid Sciupidro, Karolina Dryzner i zespół tancerzy Aurora Dance Company z Kowna. Wypadła ona niezbyt porywająco, choć jej wymowa jest bardzo czytelna. Tu najważniejszy jest senator Nowosilcow – świetna rola Arkadiusza Janiczka. Brutalny, bezduszny namiestnik cara, odpowiedzialny za prześladowania litewskiej młodzieży, skupia wszelkie negatywne cechy moskiewskich urzędników. Osią sceny uczyniono rozmowę, którą prowadzi z nim pani Rollison (równie świetna Sławomira Łozińska), matka jednego z więzionych przez carat studentów, prosząca o łaskę dla syna. Ten, bity i torturowany, od roku przebywa w carskim areszcie.

Historyczne duchy i analogie wywołane zostały w równie historycznych murach Uniwersytetu Stefana Batorego. Po tej rozmowie wiemy przecież już wszystko – nie będzie żadnej litości dla Polaków. Pamiętajmy o tym.

eprasa.pl 383475ee03

3 MIŁOŚCI

Wychodek i róża

ROBERT TEKIELI

Aby Unia stała się państwem, Polska musi przestać być państwem. Przynajmniej połowie Polaków się to podoba.

Jak będzie wyglądać nasz kraj, gdy stanie się landem? Aborcja na życzenie, eutanazja uważana za postulat moralny, do komunii przystępują osoby rozwiedzione, homoseksualne pary adoptują dzieci.

Nic nie powstrzyma importu biedy, poczucia winy i poczucia niższości. Orzeł w polskim godle będzie trzymał w szponach szparagi. W podstawówkach i liceach staną automaty z tabletkami „dzień po", Planned Parenthood zostanie patronem warszawskiego Centrum Zdrowia Dziecka, a głównym partnerem – IPAS, producent wysysarek do dzieci. Jak dziś w Wielkiej Brytanii, 13-letnie uczennice będą mogły wszczepiać sobie antykoncepcyjne implanty.

Lewicowo-liberalny europejski establishment uzyska wpływ na algorytmy mediów społecznościowych. Cenzura w internecie stanie się niezauważalna, niedogodne dla rządzących informacje nie trafią do wiadomości ogółu. W Polsce nie będzie dużych gazet ani portali z polskim właścicielem. Gdzieś na obrzeżach będzie się utrzymywał na powierzchni patriotyczny, medialny plankton. Państwo znów zacznie odbierać dzieci biednym rodzicom, w zagranicznych adopcjach preferowane będą pary jednopłciowe. Wiek przyzwolenia na seks zostanie obniżony do 12 roku życia, nikt już nie zada pytania, czemu drag queen tak bardzo chcą spotykać się w szkołach i przedszkolach z małymi dziećmi. Daniel Cohn-Bendit odwiedzi polskie ośrodki akademickie z odczytami na temat korzyści płynących ze stymulowania seksualnego niemowlaków. Za użycie słowa „prostytutka" będzie można pójść do więzienia na dwa lata.

W pałacu prezydenckim znów zasiądzie doradca twierdzący, że Warszawa dla Rosjan jest tym samym czym Wilno dla Polaków. Z podręczników historii zniknie wzmianka o rzezi Pragi, pojawi się fakt, nie opinia, że przyczyną II wojny światowej stały złe słowa Polaków. Za winnego śmierci ks. Popiełuszki zostanie uznany prymas Glemp, Polska wyrówna Niemcom szkody poniesione w wyniku utraty majątków na pruskich Mazurach. Polski Netflix zablokuje wszystkie filmy o odsieczy wiedeńskiej ze względu na ich antyislamską wymowę.

Posterunki policji tylko w miastach powiatowych, 30-tys. wojsko, ani jednej dywizji na wschód od Wisły, sprywatyzowana Poczta Polska, sprzedany LOT, bankructwo PKP, deficytowy ORLEN. W każdej gminie 300 relokowanych migrantów. Do centrów dużych miast nie mają wjazdu samochody spalinowe.

By zarządzać narodem w obcym interesie, potrzebni są politycy, usłużni sędziowie, właściciele portali, fabryk memów i telewizji informacyjnych oraz specjaliści od odkręcania śrub w kołach samochodów. Wszystko już jest. Kondominium, Reset 2.0, bezrobocie, emigracja, hodowanie kwiatów w wychodku

Wybory miss 2-latek, biżuteria z prochów osób bliskich, denialiści klimatyczni w więzieniach, tak samo osoby podejrzane o cichą modlitwę przed klinikami aborcyjnymi. Konfiskata kartek świątecznych z motywami religijnymi, wigilia Święta Zimy dniem bez pracy, kwitnie przemyt proszków do prania z Niemiec. Pielgrzymki na Jasną Górę tylko dla grup, w których rodzice godzą się na zakwaterowanie swoich dzieci u „rodzin" gejowskich. Liczba zarejestrowanych magów i jasnowidzów w Polsce większa od liczby lekarzy, rynek wróżbiarski – 5 mld zł rocznie, więcej pieniędzy na bioenergoterapię i homeopatię niż leczenie metodami medycyny opartej na dowodach.

Państwowe dotacje dla Kościoła Gejów i Lesbijek. Szymon Niemiec znów udziela ślubów parom homoseksualnym, spowiada z grzechów i wyświęca gejowskich księży. Egzorcyzmy zakazane, wystarczy jeden tęczowy donos, by pozbawić „nietolerancyjnych" rodziców władzy nad dziećmi.

We wszystkich restauracjach w Polsce potrawy przygotowywane z obowiązkowym dodatkiem 30 proc. owadziej mączki – spod tego prawa wyłączone jedynie lokale należące do Złotej Setki im. Magdy Gessler. Kwitnie drugi obieg kartek na schabowe.

By zarządzać narodem w obcym interesie, potrzebni są politycy, usłużni sędziowie, właściciele portali, fabryk memów i telewizji informacyjnych oraz specjaliści od odkręcania śrub w kołach samochodów. Wszystko już jest. Kondominium, Reset 2.0, bezrobocie, emigracja, hodowanie kwiatów w wychodku.

Gdy Unia stanie się państwem, wypchnie USA z Europy i NATO się rozpadnie. Stany Zjednoczone są jedynym realnym gwarantem naszej niepodległości. Czy zdążymy uświadomić Polakom, że musimy dokonać wyboru: Unia Europejska albo NATO?

eprasa.pl 383475ee03

WOJNA CYWILIZACJI

POPKULTURA

Niekoniecznie *„Święty”* to polski kryminał, którego scenariusz oparty został na historii z 1986 r. Z katedry gnieźnieńskiej skradziono wtedy srebrną figurę św. Wojciecha, niszcząc przy okazji cały relikwiarz. W roli milicjanta prowadzącego śledztwo Mateusz Kościukiewicz. Mamy tu nieźle oddane peerelowskie realia i przyzwoicie toczącą się intrygę, jednak w połowie filmu z jego konstrukcją dzieje się coś złego. Pojawiające się nowe wątki nie wnoszą nic, jedynie gmatwają historię, a prowadzą – mówię tu o sensie fabuły – donikąd. Jeden z tropów, niczym z Dana Browna, jest dla mnie przejawem rozpaczliwej próby twórców „Świętego”, by ta opowieść miała jakiekolwiek głębsze dno... Komuniści próbujący dwa lata po śmierci ks. Popiełuszki ożywić średniowieczny mit zjednoczenia narodu... To przekracza moje rozumienie rzeczy. Gdyby PZPR miała w swych szeregach demiurgów zdolnych do tak głębokich operacji na duszy narodu, Sowieci nie oddaliby władzy.

POPKULTURA

Warte *„Dorwać Gottiego”* to trzyodcinkowy dokument opowiadający historię wzlotu i upadku przywódcy nowojorskiej rodziny mafijnej Gambino. Popkultura uwznioślila włoską mafię, John Gotti u szczytu sławy nie schodził z pierwszych stron gazet. Rozdawał autografy, wygrywał sprawy sądowe, nazywano go Teflonowym Johnem, choć tak naprawdę przekupywał i zastraszał przysięgłych. Przed wejściem na sale rozpraw ustawiały się kolejki wspierających go celebrytów. Znany aktor mówił do kamery o tym wielokrotnym mordercy: „To fascynujący gość. Podoba mi się jego styl życia...”.

W dokumencie występują ludzie z dwóch stron barykady, mięśniak szczycący się, że obciął jądra facetowi, który sypiał z żoną mafiosa, i upokorzony prokurator. W pewnym momencie na Gottim zemściła się jego absurdalna postawa: człowiek cienia stanął w blasku reflektorów. Dla amerykańskiego państwa rzecz stała się sprawą osobistą. Skazany na dożywocie, umarł za kratami na raka krtani. „Dorwać Gottiego” to uniwersalna opowieść o pysze, próżnej sławie i samobójczym poszukiwaniu swojej wartości w oczach ludzi powierzchownych.

POPKULTURA

Może być *„Lazarus”* Switłany Taratoriny to ukraińskie fantasy, którego akcja toczy się w 1913 r. w Kijowie. Alternatywny świat powieści zaludniają ludzie i nieczyści: upiory, wodniki, duchy leśne, wilkołaki, przeleśniki, porońce i inne istoty z demonologii ukraińskiej. Kryminalne śledztwo, prowadzone przez doświadczonego detektywa Ołeksandra Petrowycza Tiuryna, okazuje się jedynie elementem wielkiej przemiany, której ulega pozornie stabilne imperium. Akcja gna na złamanie karku, mamy spisek, morderstwa, atak nieumarłych, kim okaże się legendarny Żmij, zbawiciel? W prozie Taratoriny znalazłem świeży ton, dowód na to, że alternatywne fantasy nie wyczerpało jeszcze swoich możliwości. Poirot zombie – czy to nie jest urzekający pomysł?

POPKULTURA

Być może *„Fourth Wing. Czwarte Skrzydło”*, powieść fantasy, której autorką jest Rebecca Yarros, to nr 1 na liście „New York Timesa”. Książka na kilka miesięcy zawładnęła dosłownie całym anglojęzycznym TikTokiem. Jest historią 20-letniej Violet Sorrengail, trafiającej wbrew swojej woli do elitarnej wojskowej szkoły. Brutalny świat, w który wkracza bohaterka, w niczym nie kojarzy się z fantasy. Mamy tu krwawą szkołę jeźdźców smoków, której trzyletniego kursu nie przeżywa trzy czwarte kadetów, pozytywną bohaterkę, ze względu na swą fizyczną kruchość walczącą za pomocą podstępów i trucizn. Jednocześnie troszcząc się o słabszych i zachowując sprawiedliwie, nawet gdy grozi jej to śmiercią.

Książka wywołała jednak szum nie z powodu tych ożywiających narrację napięć. Sprawił to wątek romantyczny. Przy całej swej brutalności, „Czwarte Skrzydło” to bowiem niemal harlequin; bohaterka za każdym razem, gdy spotyka bad boya, opisuje dokładnie jak reaguje jej ciało. Jedna z polskich recenzentek książki zauważyła, że seks jest opisany w nieprzyjemny sposób: „Wzbudzały one we mnie niesmak i poczucie zażenowania”. Jest tu taki rodzaj dosłowności, który można zobaczyć w wielu netflixowych serialach soft porno dla młodzieży. Nic więc dziwnego, że ekscytował również publiczność TikToka.

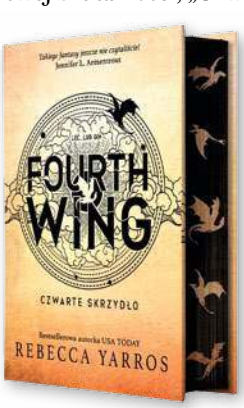

***Robert Tekieli**, Polskie Radio*

eprasa.pl 383475ee03

Wojciech Stanisławski

Prorok Ezechiel patrzy na Rosję

To, co wydawało się tworzywem trzeciorzędnej literatury – cudowne ocalenia, znamię dowodzące królewskiego pochodzenia znajdy – pod miliardpudowym ciężarem kolosa rosyjskiej nie/pamięci i pod piórem Lebiediewa staje się wielką literaturą: jak spleśniałe kłody dawnych paproci ściśnięte w diament

Znów Lebiediew. Ci, którzy kilka lat temu weszli w wielki chłód „Granicy zapomnienia", a potem sięgali po kolejne jego wydane w Polsce książki – jedni „Ludzi sierpnia", inni „Debiutanta" czy „Dzieci Kronosa" – mogą się poczuć jak podczas wędrówki górskiej, podczas wchodzenia na jakiś łagodny, ale potężny grzbiet w Karpatach: po dłuższej wspinaczce w błotnistych koleinach, w bukowym czy świerkowym lesie, trafiamy na przecinkę czy halę i po dłuższej przerwie („Ludzie sierpnia" ukazali się przed dwoma laty) widzimy szmat ziemi przed i pod nami, okoliczne pasma, rzekę w dole, dalekie szczyty. „To samo, ale inaczej" – pod trochę innym kątem, w innym świetle, z innej wysokości.

Cały czas jest to jednak ta sama góra, z którą Siergiej Lebiediew mierzy się od lat, bada jej uskoki i piargi: kolos rosyjskiej nie/pamięci, przerażający fenomen społeczeństwa oraz kraju, w którym ofiary i sprawcy zbrodni zostali – niczym w procesach orogenezy, gdzie pod tytanicznym, niewyobrażalnym ciśnieniem mielą się, kruszą i spajają w jedno różne skały – zgnieceni w jedną masę, w jeden masyw, na którym wyrosły kolejne pokolenia i lasy. Drzewa wciskają się korzeniami między głazy, ludzie biją studnie lub piją z lodowatych źródeł... Czasem pisarz sięga w swojej hipnotyzującej prozie po najbardziej materialny obraz skutków sowieckiej hekatomby – miliony anonimowych zwłok, „szkło stu narodów" pogrzebane w wiecznej zmarzlinie Syberii. Często skupia się na wymiarze doświadczenia rodzinnego: istnienia koszmarnych chimer (przy których bledną pomysły transhumanistów czy reżyserów horrorów), już nie ludzko-zwierzęcych lub ludzko-maszynowych, lecz ludzko-ludzkich: ofiar systemu, które zostały wprzęgnięte w jego mechanizm i stały się jego narzędziami, jak na niesamowitych rysunkach rosyjskiego emigracyjnego grafika Borisa Arcybaszewa, gdzie prasy drukarskie, tłoki i zwojnice ujawniają swoje ludzkie rysy. Lub dzieci, zrodzonych ze związku oprawcy i ofiary, dwóch różnych krwi i konfliktu serologicznego, od którego umrzeć może nie dziecko, lecz kraj. Kiedy Lebiediew debiutował przed kilkunastu laty, był pisarzem dla ludzi ciekawych Rosji, historii, polityki. Współcześnie na naszych oczach rumowiska z tego kolosa zasypały Buczę.

Prozę Lebiediewa – choć zawsze waham się przed braniem jej na warsztat tak, jak zwykle bierze się czyjąś pracę literacką – zawsze współtworzą, niosą, trzy przede wszystkim siły. Pierwsza z nich to niezwykła plastyczność opisu, czasem na krawędzi hiperrealizmu: są tam zdania, których lektura przypomina doświadczenia z wizyty u optyka, kiedy przymierzamy szkła o dioptrię za mocne i nagle dostrzegamy mikroskopijne cyfry na podświetlonym ekranie, labirynty linii papilarnych na dłoni laborantki, zagubiony w szparze podłogi nit. Proza Lebiediewa podsuwa nam i wskazuje to, co zwykle omiatamy wzrokiem, czy będą to „wielościany serów, oświetlone żółtym, oleistym, jaskiniowym światłem lodówkowej lampki", czy – na zawsze chyba mi już towarzyszący – obraz z „Granicy zapomnienia": kolce dzikiej róży przesuwające się po opuszce palca ślepca jak igła po płycie gramofonowej.

Pokrewna jest temu (lecz odrębna) postawa pisarska, którą określiłbym jako „wierność rzeczom", trochę podobna do tej z „Wielkiej elegii dla Johna Donne'a" Josifa Brodskiego w przekładzie Barańczaka („Nastała noc. W kącikach, w oczach, w drzwiach, / w oracji ułożonej, w słowach, w świecy, / w szpargałach, w papierzyskach, w szczypcach, w drwach, / w popiele zimnym, w węglach, w każdej rzeczy"). Lebiediew wie, że poezja zaczęła się od katalogu płynących pod Troję okrętów i nie obawia się wymieniać odmian oliwek, stopów, z których odlano okablowanie Łubianki, narzędzi ogrodowych, używanych na daczach, które pod jego piórem zamieniają się w hipnotyzującą inkantację, nawet jeśli jest to tylko pchli targ przy peryferyjnej stacji metra, gdzie handluje się „nienadającymi się do użytku bateriami hydraulicznymi, puszkami po landrynkach, pożółkłymi plastikowymi wisiorkami żyrandoli, pękami zardzewiałych, zdziczałych kluczy".

eprasa.pl 383475ee03

I trzecia siła – naczelna, dominująca, stanowiąca sworznie lebiediewowskiej prozy: ukazywanie niejasnych, niemierzalnych i niemożliwych do weryfikacji fizykalnej związków łączących ludzi i rzeczy. Unheimlich, powiedziałby na to pewnie Piotr Paziński, choć rzecz nie zawsze jest w niesamowitości: czasem u Lebiediewa dochodzi do głosu nieubłagana wręcz konsekwencja, spójna, tyle że wytłumaczalna na polu semantyki, nie fizyki. Jak w balladzie Puszkina o księciu Olegu zagłada czekała na księcia w kościach martwego konia, tak u Lebiediewa kluczem do czyjegoś losu okazuje się kościana figurka, wizytownik, łyżeczka. Czasem w jego powieściach pojawiają się sytuacje jak z hellingerowskich „ustawień" – z kimś nieobecnym, zniknięty, wymazanym, ukazującym się wyobraźni i wskazującym prawdę – niemal jakby sięgał po frazę Poego i zdaniem „Thou art the Man" wskazywał zabójcę. Czasem zderzają się i zaplatają ścieżki, kroki, myśli – o krok od psychomachii i telepatii („Sędzia nie mógł przypomnieć sobie jego nazwiska, tak jak sierżant, który pozostał w tyle na swoim posterunku, wyczuwał jego zmagania z pamięcią i ze wszystkich sił starał się wywinąć"). Czasem same przedmioty emanują szczególną mocą, jak grudka promieniotwórczej rudy, prześwietlająca matryce i klisze.

Lebiediew nigdy jednak nie przekroczył i nie przekroczy granicy dzielącej wielką literaturę od maszynowo produkowanych „opowieści niesamowitych", od pop-horrorów i pop-fantasies, mających zapewnić kwadrans limitowanych wzruszeń wracającym ze swoich korporacji subiektom i gryzetkom. Jeśli w jego prozie klucz, łopata, kłódka wydają się nabierać złowrogiego znaczenia, przygniatającego ciężaru, to nie dlatego, że przybyły z obcej planety lub obrysowała je pentagramem znudzona żona adwokata, która poczuła się wnuczką czarownicy. Dzieje się tak, ponieważ naznaczone są natężonym w stopniu trudnym do pojęcia ludzkim cierpieniem. Tego rodzaju respekt i lęk odczuwamy wszyscy, włącznie ze zdeklarowanymi racjonalistami, wobec katyńskich guzików czy grudek cegieł z ul. Gęsiej, osmalonych pożarem getta.

Kłódka, łopata, wydłubana z kości renifera figurka przemawiają, ponieważ są ostatnimi świadkami, których można wysłuchać: wobec przemielenia i spalenia archiwów, które wbrew poetyckim marzeniom płoną ochoczo, wobec zlikwidowania świadków, rodzin świadków i tych, którzy ich likwidowali, wobec narracji zniekształcających historię XX w. i bieg wojen toczonych w Czeczenii czy w Ukrainie w XXI w., Lebiediew wzywa cegłę i drut, które nie zabiorą głosu przed żadnym trybunałem haskim, lecz mogą to zrobić w jego prozie. A słowami wstydliwymi dla współczesnego autora, po które Siergiej odważa się sięgnąć, nie są „tajemnica" i „sekret", lecz „los" i „znaczenie". To, co wydawało się tworzywem trzeciorzędnej literatury – cudowne ocalenia, znamię dowodzące królewskiego pochodzenia znajdy, perypetie odnajdujących się po latach kochanków – pod miliardpudowym ciężarem kolosa rosyjskiej nie/pamięci stało się wielką literaturą: jak spleśniałe kłody dawnych paproci ściśnięte w diament.

„Tytan" to zbiór jedenastu opowiadań, w których równowaga tych trzech sił wymienionych powyżej w istotny sposób została przesunięta. Sam autor tłumaczy to w przedmowie, pierwszej chyba, jaką opatrzył swoją książkę, pisząc o mistycznym folklorze, który opanował ZSRS pod koniec lat osiemdziesiątych, u pozornego schyłku systemu. W Polsce, podkpiwającej sobie co najwyżej z seansów Kaszpirowskiego, nie zdajemy sobie sprawy ze skali tego zjawiska, z zalewu „esktrasensów", sekt i szeptuch. Nie był to tylko odwet za lata urzędowego ateizmu, „dzikie sacrum" – jak pisze Lebiediew, ludzka świadomość szukała obrazów oraz języka do opisania nienazwanej tragedii. Ta „soc-mistyka", od zawszonych proroków na stacjach metra po seanse polinezyjskiej magii dla japiszonów – to były głosy nieproszonych świadków albo jeszcze mocniej: monolog obłąkanego, który swoimi skojarzeniami, paranojami i echolaliami usiłuje wyrazić grozę, z którą zetknął się w głębi własnego umysłu.

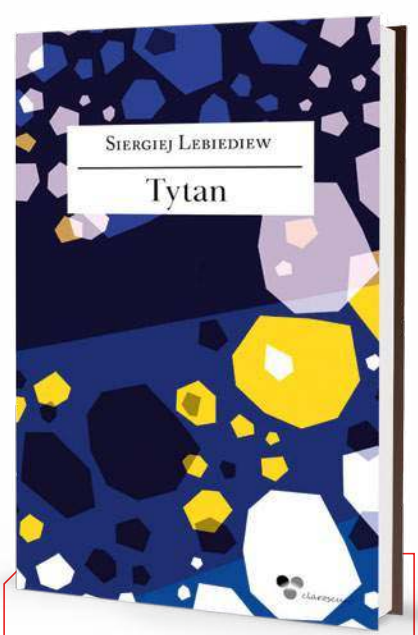

Siergiej Lebiediew, „Tytan", tłum. Grzegorz Szymczak, Claroscuro 2023

W treści „Sędziego Żełudkowa", „Obelisku" i „Litery Й" mniej jest wspomnianego przeze mnie hiperrealizmu, nadostrości widzenia: więcej jest hiperznaczeń, zależności przekraczających ograniczenia trójwymiarowej przestrzeni. Ale takie rzeczy są możliwe, o czym uczy nas każdy topolog: wystarczy, że wyobrazimy sobie naszą przestrzeń jako kartkę, którą składamy na czworo. To może być kartka z wyrokiem, zapisana twardym, ołowianym duktem – i wówczas jedna mocno postawiona w 1937 r. czcionka bez trudu może trafić w skroń sędziego, przygotowującego wykwitną kolację na daczy w Barwisze. To wszystko świadkowie, powołani przez Lebiediewa – i jego pisarska wyobraźnia, która w każdym gatunku, również „opowieści niesamowitych", po które tym razem sięgnął, stwarza obrazy, które pozostają. Przywołam tylko jedno przeistoczenie: „Niebo grzmotnęło – i Burmistrow zobaczył poprzez ceglane, rude, mocne cielsko Kremla jego prawdziwy szkielet: zamiast majestatycznych wież – łagrowe wieżyczki, zamiast murów – porośnięte metalicznym cierniem nitki drutu kolczastego".

To nie fantasy. To prorok Ezechiel patrzy na Rosję.

eprasa.pl 383475ee03

31. edycja EnergaCAMERAIMAGE będzie wyjątkowa

Toruń przez tydzień światową stolicą X muzy

Ten festiwal to jeden z największych polskich sukcesów w dziedzinie kultury i sztuki filmowej. Już w najbliższą sobotę, 11 listopada, dokładnie w 105. urodziny niepodległości Polski, rozpocznie się w Toruniu 31. edycja Międzynarodowego Festiwalu Sztuki Autorów Zdjęć Filmowych EnergaCAMERIMAGE

To niewątpliwie największe i najbardziej rozpoznawalne na świecie wydarzenie poświęcone pracy operatorów filmowych. Festiwal ten odegrał kluczową rolę w podniesieniu statusu operatorów w świecie sztuki filmowej, zestawiając ich na równi z reżyserami i aktorami. Wcześniej w wielu krajach, w tym w Polsce, rolę operatora postrzegano jako bardziej techniczną. Jednak dzięki EnergaCAMERIMAGE zaczęto dostrzegać, że operator to nie tylko technik, lecz także artysta współkształtujący wizualną stronę filmu.

NIE TECHNICY, A ARTYŚCI

Unikalna koncepcja EnergaCAMERAIMAGE, skoncentrowana na walorach obrazu i jego zgodności z przesłaniem fabuły, stanowi ciekawą alternatywę dla innych festiwali. Przyznawane nagrody są wyrazem uznania dla najwybitniejszych osiągnięć w dziedzinie zdjęć filmowych, przynosząc satysfakcję ich twórcom. EnergaCAMERIMAGE to nie tylko platforma do prezentacji, lecz także to miejsce do dyskusji o przyszłości sztuki filmowej. Gromadzi doświadczonych filmowców oraz pomaga debiutantom i studentom w odkrywaniu nowych obszarów artystycznych.

Oprócz Konkursu Głównego festiwal obejmuje wiele innych wydarzeń, takich jak Konkurs Etiud Studenckich, Konkurs Filmów Polskich, Konkurs Debiutów Filmowych, Konkurs Wideoklipów, Konkurs Pilotów Seriali TV, EnergaCAMERIMAGE Market, EnergaCAMERIMAGE Forum, pokazy specjalne, premiery, różnorodne przeglądy kina i retrospektywy, spotkania oraz liczne imprezy towarzyszące, w tym wystawy i koncerty.

Artykuł sponsorowany | 46/0223/F

eprasa.pl 383475ee03

Festiwal przyciąga zarówno profesjonalistów, jak i studentów szkół filmowych z całego świata dzięki bogatej ofercie seminariów oraz warsztatów, prowadzonych przez uznaną światową elitę operatorów, reżyserów i innych twórców. Dodatkowym atutem są prezentacje nowoczesnego sprzętu filmowego oraz najnowszych technologii używanych w produkcji i postprodukcji filmowej, zarówno cyfrowej, jak i analogowej. Współpraca z gigantami sprawia, że EnergaCAMERIMAGE staje się światowym forum wymiany doświadczeń, wiedzy i pomysłów.

SEAN PENN O WALCE UKRAINY

Przez lata gośćmi festiwalu byli najbardziej rozpoznawalni reżyserzy i filmowcy na świecie. W br. najgorętszym nazwiskiem będzie z pewnością Sean Penn, który przedstawi film „Superpower", zrealizowany przez niego po agresji rosyjskiej na Ukrainę.

„Z dumą ogłaszamy, że reżyser Sean Penn osobiście przedstawi film dokumentalny »Superpower« (współreżyserowany z Aaronem Kaufmanem) w Toruniu w trakcie 31. edycji Festiwalu EnergaCAMERIMAGE oraz weźmie wraz z producentem Billym Smithem udział w konferencji prasowej po seansie" – czytamy na stronie cameraimage.pl, na której znajdziemy też dokładny program festiwalu i sposób nabycia wejściówek.

Pojawienie się takich gości jak Sean Penn z pewnością gwarantuje, że tegoroczna edycja także zakończy się sukcesem. Przyszłość wydarzenia również rysuje się w jasnych barwach, ponieważ w br. Energa Grupa ORLEN podpisała umowę z Fundacją Tumult w sprawie kontynuowania współpracy przy organizacji festiwalu EnergaCAMERIMAGE przez kolejne trzy lata. Owocna współpraca tych dwóch podmiotów trwa od 2017 r.

– Wszędzie tam, gdzie Energa Grupa ORLEN prowadzi działalność biznesową, stawia sobie za cel także wsparcie projektów ważnych dla lokalnych społeczności. Województwo kujawsko-pomorskie jest jednym z obszarów, gdzie aktywnie działamy właśnie w tym zakresie – mówi Adrianna Sikorska, wiceprezes Zarządu Energi SA ds. komunikacji. – Tak znakomitego wydarzenia, które cieszy się sławą na całym świecie, nie mogło zabraknąć wśród projektów wspieranych przez Energę. Od lat EnergaCAMERIMAGE łączy się z naszą marką, wzmacniając jej wartość. Jestem przekonana, że tegoroczny festiwal dostarczy nam ponownie niesamowitych wrażeń, a do Torunia przyjadą największe gwiazdy światowej kinematografii.

Natomiast Marek Żydowicz, prezes Fundacji Tumult oraz dyrektor festiwalu EnergaCAMERIMAGE podkreśla wagę pomocy Energi Grupy ORLEN, która pozwoli na dalszy rozwój wydarzenia.

– Energa Grupa ORLEN i Fundacja Tumult to dobrana para. Dobrze nam ze sobą i dlatego będziemy kontynuowali współpracę, organizując najbardziej rozpoznawalny na świecie polski festiwal filmowy – festiwal EnergaCAMERIMAGE. Przed nami wielkie wyzwania. Nie tylko kolejne wizyty wybitnych artystów X muzy, pokazy wartościowych dzieł, warsztaty i seminaria poświęcone sztuce filmowej, lecz także praca przy budowie i tworzeniu Europejskiego Centrum Festiwalowego CAMERIMAGE w Toruniu. Będzie to pierwsza w Polsce europejska instytucja filmowa. W naszym kraju nie ma centrum festiwalowego, oferującego odpowiednie warunki dla profesjonalnych pokazów filmowych, jakie są wymagane przy światowych premierach. Nie ma miejsca dla równoczesnej organizacji kilku wydarzeń artystycznych, zarówno tych profesjonalnych, jak i eksperymentalnych projekcji filmowych, koncertów muzycznych, spektakli teatralnych, wystaw i targów technologii filmowych, zajęć edukacyjnych, ekspozycji związanych z historią X muzy czy też produkcji filmów kinowych i telewizyjnych. To właśnie zapewni budowane dzięki wsparciu rządu RP i Torunia Europejskie Centrum Filmowe CAMERIMAGE. Stabilizacja organizacyjna, jaką uzyskujemy na kolejne lata dzięki Energa Grupa ORLEN, pozwoli nam stworzyć – wspólnie z wybitnymi artystami filmowymi z całego świata – nową formułę festiwalu oraz unikalny program Europejskiego Centrum Filmowego CAMERIMAGE – mówi dyrektor festiwalu.

RARYTAS WŚRÓD OBRAZÓW

To właśnie z inicjatywy Marka Żydowicza tegoroczny festiwal zostanie wzbogacony o niespodziewane wydarzenie towarzyszące. Od 12 listopada w Sali Mieszczańskiej toruńskiego ratusza będzie można oglądać obraz „Astronom Kopernik rozmowa z Bogiem" Jana Matejki. Z inicjatywy dyrektora i pomysłodawcy Festiwalu EnergaCAMERIMAGE do Torunia na blisko dwa tygodnie trafi arcydzieło najwybitniejszego reprezentanta nurtu historyzmu w malarstwie polskim. „Będzie to unikalne wydarzenie i niepowtarzalna szansa, by podziwiać obraz, który ma swoje niepodważalne miejsce w historii Polski, szansa, z której skorzystać powinien zarówno każdy torunianin, jak i gość naszego miasta" – zachęcają organizatorzy i dodają: „Imponujące dzieło Matejki na co dzień można podziwiać w Krakowie, w gmachu Collegium Novum, który to budynek opuszcza ono bardzo rzadko. W ciągu ostatnich 70. lat poza stolicą Małopolski obraz prezentowano jedynie w National Gallery w Londynie i w Zamku Królewskim w Warszawie. Od 12 do 24 listopada obcować z arcydziełem będzie można w Muzeum Okręgowym w Toruniu. Wydarzenie towarzyszyć będzie festiwalowi EnergaCAMERIMAGE. W czasie jego trwania, czyli do 18 listopada, ekspozycja dostępna będzie bezpłatnie". Sponsoring odbywającego się w Toruniu EnergaCAMERIMAGE przez Energę z Grupy ORLEN jest możliwy dzięki strategii wspierania wartościowych projektów kulturalnych oraz sportowych, ważnych dla społeczności lokalnych.

PARTNER DODATKU

ORLEN

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 383475ee03

Transformacja ciepłownictwa w Grupie PGE staje się faktem

PGE Energia Ciepła jako największy dostawca ciepła sieciowego w Polsce realizuje cele transformacji sektora ciepłowniczego, zastępując stare, nieefektywne i wysokoemisyjne źródła wytwarzania nowoczesnymi rozwiązaniami nisko- i zeroemisyjnymi. Już w latach 30. XXI w. węgiel, który będzie pozostawał jednym z najważniejszych źródeł energii elektrycznej, właściwie przestanie stanowić źródło ciepła wytwarzanego przez Grupę PGE.

– Dzięki inwestycjom w nowoczesne technologie, dostosowane do potrzeb lokalnych rynków ciepła, zwiększamy bezpieczeństwo dostaw dla mieszkańców, poprawiamy elastyczność źródeł wytwarzania, a także znacząco ograniczamy wpływ na środowisko naturalne – powiedział Wojciech Dąbrowski, prezes zarządu PGE Polskiej Grupy Energetycznej. – Zastąpienie dotychczasowych źródeł ciepła technologią opartą na gazie ziemnym spowoduje spadek emisji: tlenków siarki o 90 proc., dwutlenku węgla o 40 proc., tlenków azotu o 20 proc. i pyłów o 85 proc. Modernizacja elektrociepłowni to także korzyści biznesowe dla Grupy PGE. Po kryzysie wywołanym agresją Rosji na Ukrainę ceny gazu obecnie się ustabilizowały, a pewność dostaw zapewnia Polsce Baltic Pipe i terminal LNG w Świnoujściu – dodaje Wojciech Dąbrowski.

Proces dekarbonizacji ciepłownictwa w PGE został zapoczątkowany w Zielonej Górze i Toruniu, gdzie do produkcji ciepła już od kilku lat jest wykorzystywany gaz. W 2022 r. w Gdańsku zostały natomiast uruchomione innowacyjne, pierwsze w Polsce kotły elektrodowe o mocy 130 MW.

Inwestycja PGE Energia Ciepła, Zgierz

Grupa PGE od 2018 r. konsekwentnie prowadzi proces modernizacji elektrociepłowni w największych miastach Polski. Efektem jest oddanie przez PGE do użytku nowoczesnych, niskoemisyjnych źródeł kogeneracyjnych w Kielcach, Bydgoszczy i Zgierzu. Do końca 2023 r. zakończą się inwestycje w źródła gazowe w Gorzowie Wielkopolskim, Rzeszowie i Wrocławiu, a na początku 2024 r. w Lublinie i Siechnicach. Wszystkie te projekty w istotny sposób zwiększą komfort i bezpieczeństwo dostaw ciepła dla mieszkańców oraz znacząco wpłyną na zmniejszenie emisji z elektrociepłowni

W 2023 r. PGE Energia Ciepła oddała do eksploatacji trzy kolejne inwestycje. W maju uruchomiono kotłownię gazową w Kielcach, o mocy 160 MWt. W lipcu w Bydgoszczy zaczęła pracować nowoczesna, niskoemisyjna kotłownia gazowa o łącznej mocy ok. 40 MW, która pozwoliła na całkowite wyłączenie kotłów węglowych w Elektrociepłowni Bydgoszcz I. Łączny koszt inwestycji w tym mieście, zarówno EC I, jak i EC II, to ponad 487 mln zł. Ponadto w październiku 2023 r. ukończono inwestycję w elektrociepłowni w Zgierzu, o mocy 13,5 MWe i 15 MWt, która będzie produkować energię elektryczną i ciepło w kogeneracji gazowej, uzupełnionej kolektorami słonecznymi. Koszt tej inwestycji to 96 mln zł.

– Obecnie w PGE Energia Ciepła prowadzimy dziewięć projektów inwestycyjnych, związanych z budową nowych kogeneracyjnych źródeł gazowych: w Bydgoszczy, Kielcach, Gdyni, Gorzowie Wielkopolskim, Lublinie Wrotków, Rzeszowie, Siechnicach koło Wrocławia i w dzielnicy Wrocław-Zawidawie. W fazie przygotowania do realizacji jest 15 kolejnych projektów kogeneracyjnych oraz ciepłowniczych, wykorzystujących paliwa gazowe, m.in. w Gdańsku i Krakowie. PGE Energia Ciepła w ciągu sześciu lat przeznacza na projekty inwestycyjne łącznie ponad 7,7 mld zł – mówi Maciej Jankiewicz, prezes zarządu PGE Energia Ciepła S.A.

Artykuł sponsorowany | 52/0423/F

eprasa.pl 383475ee03

INWESTYCJE W TRANSFORMACJĘ CIEPŁOWNICTWA

Jeszcze w 2023 r. PGE Energia Ciepła planuje ukończenie kolejnych inwestycji. W listopadzie w Gorzowie Wielkopolskim zostanie oddana do użytku gazowa kotłownia szczytowo-rezerwowa o mocy 62 MWt oraz kocioł wodny o mocy 32,5 MW. Inwestycja kosztuje 44 mln zł. W br. również we Wrocławiu-Zawidawie zostaną uruchomione dwa agregaty kogeneracyjne o mocy 1,06 MW każdy oraz zabudowa instalacji kolektorów słonecznych.

W grudniu w Rzeszowie gotowa będzie kotłownia gazowa o łącznej mocy 186 MWt i wartości 86 mln zł. Trwa tutaj także rozbudowa drugiej linii Instalacji Termicznego Przetwarzania z Odzyskiem Energii (ITPOE), której koszt wynosi 406 mln zł. Oprócz zakończonej w maju 2023 r. inwestycji w Kielcach jeszcze w tym roku planowane jest oddanie do użytkowania w tym mieście bloku gazowego w oparciu o turbinę gazową 8 MWe z wodnym kotłem odzysknicowym. Z końcem stycznia 2024 r. gotowa będzie inwestycja na Wrotkowie w Lublinie, obejmująca kotłownię rezerwowo-szczytową i mobilne kotły gazowo-olejowe. Jej łączny koszt to 86 mln zł.

Wartość największej obecnie inwestycji PGE Energia Ciepła – Nowa EC Czechnica-2 w Siechnicach – to ponad 1,24 mld zł. Nowa, niskoemisyjna elektrociepłownia będzie się składała z bloku gazowo-parowego, czterech kotłów szczytowo-rezerwowych i akumulatora ciepła. EC Czechnica-2 ma rozpocząć pracę w II kw. 2024 r. Dzięki zasilaniu gazem ziemnym roczna emisja CO_2 obniży się aż o 622 tys. t, to jest o 61 proc. Oznacza to również oszczędności energii pierwotnej na poziomie blisko 600 tys. MWh rocznie. Moc cieplna nowej jednostki osiągnie 315 MWt (dzisiaj to 247 MWt), a moc elektryczna 179 MWe (dzisiaj 100 MWe).

Aby w pełni zrealizować założenia Unii Europejskiej wyznaczające kierunek zmian w obszarze polityki klimatyczno-energetycznej, PGE Energia Ciepła inwestuje w źródła kogeneracyjne, m.in. wsparte OZE. Przykładem jest PGE Toruń, gdzie z sukcesem została zrealizowana zielona transformacja, a system ciepłowniczy w Toruniu jest dla innych miast modelowym przykładem współpracy kogeneracji ze źródłami OZE i już teraz spełnia wymogi UE określone na 2026 r. Również w Zgierzu i Wrocławiu-Zawidawiu spółka zainwestowała w systemy OZE.

– Stopniowe odejście od wykorzystania węgla w ciepłownictwie do 2030 r. pozwoli nam w pełni zrealizować wymogi unijne, ale także znacząco obniżyć emisje $C0_2$, stanowiącego istotny koszt w produkcji ciepła i energii– powiedział Wojciech Dąbrowski.

Już teraz trwają przygotowania do kolejnych inwestycji, których celem, podobnie jak wcześniej, będzie wyłączanie przestarzałych, nieefektywnych i wysokoemisyjnych źródeł oraz zastąpienie ich nowymi rozwiązaniami. PGE Energia Ciepła przygotowuje 15 projektów o łącznej wartości 4,5 mld zł m.in. w Krakowie, Gdyni i Gdańsku. Na Wybrzeżu będą to m.in. zaplanowany na maj 2025 r. gazociąg, dzięki któremu kotły w kotłowni rezerwowo-szczytowej II będą mogły być zasilane gazem. W 2026 r. spółka planuje zrealizować instalację silników gazowych oraz kotła biomasowego. W 2028 r. w Gdańsku do eksploatacji mają być oddane wielkoskalowe pompy ciepła.

PGE Energia Ciepła rozważa różne scenariusze, tak aby sprostać wymogom środowiskowym. We Wrocławiu mogą powstać m.in. zasilane gazem agregaty kogeneracyjne, gazowe kotły wodne oraz zasilane energią elektryczną przemysłowe pompy ciepła i elektrodowe kotły wodne. Wspomnieć należy także o rozwoju segmentu instalacji odzyskujących ciepło z odpadów lub wykorzystujących ciepło odpadowe. Przykładem jest ITPOE w Rzeszowie, która po zakończeniu budowy II linii technologicznej będzie w stanie przetwarzać w sumie do 180 tys. ton odpadów rocznie. Inwestycja będzie gotowa pod koniec 2024 r.

Proces modernizacji segmentu ciepłownictwa obejmuje wszystkie źródła ciepła w 16 miastach, w których PGE Energia Ciepła zajmuje się produkcją i dostarczaniem ciepła sieciowego.

Trzy ponad 14-metrowe kominy na terenie nowej iwnestycji gazowej w Elektrociepłowni Bydgoszcz I

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 383475ee03

Alior Bank: bank przyszłości z myślą o kliencie

Od 15 lat Alior Bank dostarcza swoim klientom produkty i usługi najwyższej jakości. Od samego początku wytycza drogę ku przyszłości bankowości, opartą na innowacjach i zrozumieniu potrzeb współczesnych klientów

Alior Bank z powodzeniem kształtuje nowe oblicze bankowości, a klienci mogą się cieszyć komfortem i efektywnością obsługi.

ALIOR MOBILE – WIĘCEJ NIŻ APLIKACJA BANKOWA

Z Alior Mobile korzysta już ponad 1 mln klientów banku. Aplikacja jest stale ulepszana, aby możliwie jak najlepiej wspierać klientów w codziennym bankowaniu.

Alior Mobile dostępna jest do pobrania w sklepie Google Play oraz App Store. Aby ją aktywować, należy podać swój PESEL lub identyfikator klienta CIF, wprowadzić kod aktywacyjny i ustawić PIN. Do aplikacji można logować się numerem PIN, odciskiem palca lub skanem twarzy. W ten sam sposób odbywa się autoryzacja operacji.

Alior Mobile umożliwia zarządzanie finansami z dowolnego miejsca o każdej porze. Pozwala na bieżące śledzenie salda konta oraz historii zrealizowanych transakcji. Oprócz tego oferuje wiele usług dodatkowych, takich jak możliwość kupna biletów komunikacji miejskiej, automatyczna płatność za autostrady czy transakcje telefonem i BLIKIEM.

Aplikację można dostosować do swoich potrzeb. W zakładce „Płatności i usługi" klienci samodzielnie decydują o kolejności skrótów na ekranie swojego telefonu. Dodatkowym udogodnieniem jest wybór motywu – klasycznego oraz ciemnego. W nowej odsłonie, którą bank zaprezentował w połowie 2023 r., użytkownicy otrzymali odświeżony wygląd ekranu startowego oraz możliwość dodania ulubionych skrótów na pulpit.

Alior Mobile zapewnia użytkownikom również dostęp do usługi Alior Pay, umożliwiającej odroczenie zrealizowanych już transakcji bezgotówkowych, np. płatności kartą czy BLIKIEM, wykonanych nie tylko w sklepach internetowych, lecz także w sklepach stacjonarnych. Odroczyć można również zlecenia stałe lub przelewy oraz wypłaty gotówki z bankomatów.

W ramach Alior Pay klienci mogą odroczyć wybraną transakcję na 30 dni za darmo. Gdy na koncie osobistym zabraknie środków na spłatę, to 31. dnia płatność zostanie automatycznie rozłożona na 11 kolejnych rat. Kwota jest pobierana z konta automatycznie, więc nie trzeba się martwić o pilnowanie terminów.

MOJE RACHUNKI, CZYLI WSZYSTKIE FAKTURY W JEDNYM MIEJSCU

Innym rozwiązaniem ułatwiającym klientom zarządzanie finansami jest, jedyna taka na polskim rynku, funkcja Moje Rachunki. Pozwala ona na zbieranie w jednym miejscu wszystkich faktur i opłacenie ich za pomocą jednego kliknięcia.

Klient może mieć spokój, bowiem aplikacja monitoruje rachunki czekające na uregulowanie oraz przypomina

Artykuł sponsorowany | 59/1023/F

eprasa.pl 383475ee03

Fot. Shutterstock

o pojawieniu się nowego dokumentu czy zbliżającym się terminie zapłaty. Dzięki temu staje się ona niezastąpionym narzędziem dla tych, którzy cenią sobie efektywność i kontrolę wydatków.

Usługę można uruchomić za pośrednictwem Alior Mobile oraz Alior Online. Wystarczy, że użytkownik wybierze z listy ponad 1300 firm te, z których usług korzysta. Mogą to być np. dostawcy prądu, gazu, internetu. Płatności można dokonywać pojedynczo lub zbiorowo.

Dostęp do listy zobowiązań jest nielimitowany, a użytkownik na bieżąco może sprawdzać status należności. Na liście przyszłych faktur znajdą się te, które zostały już wystawione, ale termin ich opłacenia jest dłuższy niż 30 dni. W historii usługi można zobaczyć także wszystkie opłacone rachunki, nawet jeśli należność uregulowano inną metodą płatności, np. kartą płatniczą, na poczcie lub w sieci sklepów spożywczych.

Standardowa opłata za usługę wynosi 3,50 zł miesięcznie.

KLIENT W CENTRUM UWAGI VOICEBOTA

Wykorzystując najnowsze technologie, bank stworzył rozwiązanie, które ułatwia obsługę klientów – bota o imieniu InfoNina.

InfoNina jest w stanie zidentyfikować ponad 650 intencji klientów Alior Banku, przez co stała się ich pierwszą linią wsparcia. Bot sprawnie przeprowadza użytkowników przez proces autoryzacji w systemie bankowości internetowej, aplikacji mobilnej oraz Kantorze Walutowym. Osoby logujące się po raz pierwszy otrzymują zarówno informacje związane z aktywacją konta, instalacją i uruchomieniem aplikacji mobilnej, jak i wskazówki dotyczące ustawienia bezpiecznego hasła.

InfoNina wspiera klientów w przypadku problemów z autoryzacją w kanałach elektronicznych banku – wytłumaczy, jak odblokować dostęp, odzyskać dane, a w razie potrzeby wskaże, w jaki sposób zmienić dotychczasowe hasło. Dzwoniąc na infolinię, bez konieczności połączenia z agentem klienci mogą też potwierdzić swoją tożsamość i uzyskać informacje dotyczące produktów bankowych (np. zapytanie o saldo).

Oprócz standardowej obsługi pojedynczych intencji wyrażanych przez klientów InfoNina jest gotowa także obsługiwać osoby, które wyraziły więcej niż jeden zamiar (np. „Chcę wziąć kredyt oraz zapytać jakie macie lokaty"). Dzięki temu asystentka może jeszcze sprawniej zweryfikować ich potrzeby, a następnie efektywniej zarządzać rozmową.

Voicebot jest również dostępny na chacie. Aktualnie funkcjonuje on jedynie na stronie internetowej banku, ale docelowo pojawi się również w bankowości internetowej oraz aplikacji mobilnej. Dzięki przyciskom szybkiej odpowiedzi InfoNina jest w stanie sprawnie pokierować rozmową, tak aby klient jak najszybciej znalazł rozwiązanie swojego problemu. Asystentka odpowiada w ten sposób na ok. 10 tys. zapytań.

OBSŁUGA W ODDZIAŁACH NA NOWYM POZIOMIE

Koncentracja na rozwoju bankowości mobilnej nie oznacza rezygnacji ze wsparcia obsługi klientów w oddziałach stacjonarnych. Alior Bank konsekwentnie je modernizuje.

Placówki łączą w sobie najlepsze cechy tradycyjnej bankowości opartej na bezpośrednim kontakcie z bankierem z zaletami bankowości cyfrowej, zapewniając prywatność i komfortową obsługę.

Nowy format oddziałów wprowadza podział na strefy, mające na celu zapewnienie sprawnej obsługi klientów. W strefie samoobsługowej jest dostępny wpłato-bankomat, w którym można samodzielnie dokonać wpłaty lub wypłaty gotówki. W Alior Cafe klienci mogą napić się kawy lub herbaty z ekologicznych upraw albo filtrowanej wody z kranu – gazowanej lub niegazowanej.

Strefa Digital Demo umożliwia przetestowanie bankowości internetowej banku oraz aplikacji mobilnej. To miejsce, w którym zainteresowani mogą się zalogować do serwisu transakcyjnego lub Alior Mobile, a także samodzielnie lub w asyście bankiera poznać działanie tych rozwiązań.

Strefa spotkań to miejsce, gdzie można przeprowadzić poufną rozmowę z bankierem w dyskretnych warunkach. Pokoje są izolowane akustycznie, a szklane ściany zapewniają pełną prywatność rozmówcom.

Odwiedzając nowe placówki, klienci mają również możliwość aplikowania o pracę.

Oddziały w nowym formacie zostały zaprojektowane z myślą o ochronie środowiska naturalnego. Alior Bank aktywnie współpracuje z lokalnymi dostawcami oraz używa materiałów ekologicznych, poddawanych recyklingowi i nietoksycznych.

ALIOR BANK

eprasa.pl 383475ee03

MILENA STASZUK* AKTORKA

Celje i siedem rodzajów mięty

Tego lata spełniłam swoje ogromne marzenie. Pojechałam do Słowenii, do miasta Celje i mieszczącego się w nim zamku hrabiów cylejskich. Przeżycie okazało się tak wielkie, że wzruszyłam się tuż po wejściu do środka. Podeszłam do kasy, mówię: „Dzień dobry, poproszę bilet", a kustosz zamku pyta, skąd jestem. Odpowiadam, że z Polski. On się wyraźnie ożywił i rzuca: „Ooo, a słyszała pani może o Annie Cylejskiej?". A ja w płacz! Przez łzy tłumaczę, że to dla mnie bardzo ważna postać, zagrałam ją w serialu „Korona królów. Jagiellonowie". Jak to usłyszał, pobiegł po koronę (papierową), którą nosiłam, chodząc po zamku. Dostałam też książkę o Annie Cylejskiej i wpisałam się do księgi pamiątkowej.

Doświadczenie przestrzeni, z którą obcowała moja bohaterka, zrobiło na mnie ogromne wrażenie. Mieliśmy wyjeżdżać następnego dnia rano, ale ja pod wpływem emocji postanowiłam, niemal o wschodzie słońca, jeszcze raz wdrapać się na wzgórze zamkowe. Tym razem sama, podpierając się jakimś patykiem, który miał mi posłużyć do ewentualnej obrony przed napotkanymi po drodze dzikimi zwierzętami. Na szczęście okazał się nieprzydatny, strach ma wielkie oczy. Wspięłam się więc na górę, na której stoi zamek, i dałam sobie chwilę na kontemplowanie miejsca. Oraz na wspomnienie filmowej przygody, którą przeżyłam dzięki Annie Cylejskiej.

* * *

Pochodzę z Katowic, tu się wychowałam. Lecz urodziłam się w Hrubieszowie, najdalej wysuniętym na wschód mieście Polski. *Notabene* prawa miejskie uzyskało ono z rąk Władysława Jagiełły, od ponad roku bardzo dla mnie ważnego władcy. W końcu – na ekranie – byłam jego żoną.

W Hrubieszowie nadal mieszkają moi dziadkowie, więc regularnie wracam do tego miasta. Kiedy tylko mam chwilę, wsiadam w samochód i jadę. Przede wszystkim pobyć z dziadkami, a także najeść się owoców z działki: malin prosto z krzaka, porzeczek i najlepszych pierogów, robionych przez babcię. Z kaszą gryczaną też.

O Ślązaczkach mówi się, że z wyglądu są drobne i delikatne, lecz konkretne i w środku twarde. Być może dlatego rodzice uznali, że ich harda córka doskonale pasuje do tego regionu i gdy miałam kilka lat, postanowili czym prędzej wyprowadzić mnie na Śląsk.

Dzisiejsze Katowice są zupełnie inne niż jeszcze jedną czy dwie dekady temu. Przez jakiś czas miałam kompleks, że pochodzę z miasta, w którym nie dzieje się zbyt wiele, ale teraz, kiedy wracam do Katowic, jestem pod wrażeniem. To wspaniałe miejsce do życia. Zresztą wielu moich znajomych z czasów licealnych zostało w Katowicach i bardzo sobie to chwalą. Nie tylko dużo się tu dzieje – na różnych polach, od kultury po inwestycje – lecz także jest gdzie wypocząć wśród przyrody. Tuż-tuż są góry, można odwiedzić Kraków, dawną stolicę Polski. Warszawa również nie jest tak daleko. Niedawno byłam na obiedzie u mamy, a potem raz-dwa wróciłam do siebie.

* * *

Od ośmiu lat jestem „słoikiem". Mieszkam w stolicy, a właściwie, od niedawna, już nie. Przeprowadziliśmy się z mężem do domu pod Warszawą, więc miałam wreszcie możliwość, by posadzić siedem rodzajów mięty, bazylię, tymianek, rozmaryn... I codziennie rano mogę wyjść boso na taras, żeby napić się kawy, ciesząc się z tego, jaką serialową przygodę przeżywałam przez cały ubiegły rok.

Kiedy grając Annę Cylejską, pojechałam na Wawel, poczułam się onieśmielona. Wtedy tak naprawdę uświadomiłam sobie, w jakim projekcie biorę udział, jak mocno nasz serial osadzony jest w przeszłości, ile w nim czerpiemy z polskiej historii.

Na Wawelu kręciliśmy jedynie zdjęcia do filmu dokumentalnego o bitwie pod Grunwaldem. Od czasów Władysława Jagiełły zamek został bardzo przebudowany, więc klimat królewskiego dworu stworzyli scenografowie w hali zdjęciowej przy siedzibie TVP na ul. Woronicza. Natomiast do Krakowa, na Wawel, jeździliśmy, by poczuć ducha tego miejsca.

Bo miejsca z duszą odgrywają w moim życiu ważną rolę. Jak wspomniałam, od niedawna mieszkam pod Warszawą. Domowa przestrzeń jest dla mnie bardzo ważna. Ze względu na pracę.

Plan zdjęciowy „Korony królów. Jagiellonowie" był nietypowy, trwał rok, ale projekty kinowe najczęściej są realizowane w miesiąc, dwa. Przygotowania do spektaklu liczymy w tygodniach, więc co chwila jestem gdzie indziej. Może dlatego odczuwam tak silną potrzebę wicia gniazda, w którym poczuję się bezpiecznie, w którym ukochany będzie czekał na mnie z ciepłą herbatą.

Notowała ***Jolanta Gajda-Zadworna***

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 383475ee03

SŁODKO-SŁONY

W ogródku

ANNA MONICKA

Kiedy przenosiliśmy się pod Warszawę, mieliśmy rozległe ogrodowe plany. Będą własne pomidory, maliny, jeżyny, zioła, a nawet warzywa i grzyby. Oczywiście wszystko to w sosnowym lesie i na mazowieckich piaskach. W pierwszych latach pracowicie nawoziłam i przekopywałam fragmenty przeznaczone pod uprawy, wyszarpywałam zakopane przez ekipę budowlaną worki po cemencie, woziłam w bagażniku ziemię, walczyłam z mrówkami. Ogólnie byłam bojowo nastawiona. Posadziłam kwitnące krzewy, trawy ozdobne, zrobiłam żywopłoty z ligustrów i irg, żeby zimą ptaki miały co jeść. Z podziwem patrzyłam na sąsiada, który zdjął leśne poszycie i w zamian posiał trawę – ma fioła na punkcie golfa, więc na swoich 250 m postanowił urządzić placyk do ćwiczeń.

Oczywiście życie szybko nas postawiło do pionu. Pierwszy szok przeżyłam, gdy okazało się, że nic nie zostało z kilkudziesięciu worków żyznej ziemi. Wiatr, tak się składa, że wiejący u nas ostro, zazwyczaj od wschodu, wydmuchał wszystko. Przerzuciłam się więc na drewniane skrzynki, w których posadziłam zioła. Przetrwały mięta, melisa, oregano i rukola, resztę natychmiast zjadały ślimaki (ponieważ i my, i sąsiedzi mamy psy oraz koty, nie sypię żadnych trutek). Trawy się zadomowiły, owszem, ale tylko dzikie. Irgi i ogniki padły, było im chyba za sucho w lesie, a czego nie wykończyły sosny, to wyryły dziki, które kilka razy przedarły się przez ogrodzenie.

Postanowiłam dostosować się do okoliczności przyrody i sadzić tylko to, co ma szansę. Zioła, owszem, ale w donicach, podobnie jak pomidory i truskawki. Zamiast trawy – barwinek; ta roślina okrywowa jest niezniszczalna. W lesie radzą sobie całkiem nieźle rododendrony i hortensje drzewiaste, a także krzewy pigwy, która od czasu do czasu zaszczyca nas kilkoma owocami. Jak szalone idą za to aronie – co roku mamy spore wiadro owoców, z których mąż robi pyszne nalewki. No i winogrona! Te zadomowiły się na płocie, mamy kilka kilogramów białych i granatowych kulek na galaretki oraz wyjątkowo orzeźwiające soki. Właśnie skończył je pasteryzować. Moją dumą są też pokrzywy – „uprawiam" je na wiosenne oczyszczające herbatki, płukanki do włosów oraz własne nawozy. Podkarmione nimi kwiaty w domu są silne i zdrowe.

WILCZYM OKIEM

Mrzyk i zaleszczotek

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Istnieje grupa zwierząt, które choć z natury zamieszkiwały inne siedliska, z czasem zasiedliły nasze mieszkania. I nie chodzi tu o mole, mrówki czy pająki, takie jak chociażby cienkonogi, nieszkodzący nikomu nasosznik trzęś, kryjący się w ciemnych kątach, w głębinach pod łóżkiem i za ciężkimi, nigdy nieodsuwanymi szafami.

Zaleszczotek książkowy (*Chelifer cancroides*) wygląda jak miniaturowy, kilkumilimetrowy, filigranowy skorpion. Taką zresztą nosi nazwę w języku angielskim: pseudoskorpion. Podobnie jak skorpiony, zaleszczotki są pajęczakami.

Zaleszczotkowi brak długiego skorpionowego odwłoka z kolcem jadowym, ma jednak, wyglądające tak samo jak u skorpionów, długie, zakończone szczypcami chwytne odnóża – jad, niegroźny dla ludzi, znajduje się właśnie w nich. Tymi szczypcami chwyta różne drobne stworzenia, specjalizuje się jednak w roztoczach.

W domu zaleszczotek pełni więc rolę jakby kota, chwytającego myszy w gospodarstwie, stosownie jednak do swojej skali poluje nie na gryzonie, lecz na uczulające nas roztocza. Najczęściej można go spotkać w miejscach zakurzonych, np. na tyłach półek z książkami.

W przeciwieństwie do niego mrzyk muzealny (*Anthrenus museoreum*), mały jak główka od szpilki, ciemno ubarwiony chrząszcz z żółtawymi plamkami na pokrywach, może powodować pewne szkody. Jak wskazuje jego nazwa, najchętniej zamieszkuje muzea; do jego ulubionych należą te z wypchanymi eksponatami zwierząt, które mrzyk z upodobaniem podgryza. W mieszkaniach zadowala się ubraniami i książkami, jednak poza muzeami ślady jego żerowania i szkody są w zasadzie niedostrzegalne.

Skoczogonki (*Collembola*) to interesujące stworzenia. Do niedawna zaliczane do owadów, obecnie wraz z widłogonkami i pierwogonkami należą do osobnych gromad, tworzących wraz z owadami grupę sześcionogów. Liczba gatunków skoczogonków wciąż jest niepoznana i może sięgać kilkudziesięciu tysięcy. Cząstkę tej różnorodności można znaleźć buszującą w domowych doniczkach z kwiatkami.

Te trzy przykłady nie wyczerpują oczywiście listy przedstawicieli fauny naszych mieszkań. I mimo że przestrzeń ta wydaje się nam dobrze znana, nie można wykluczyć, że pod dywanem albo za obrazem żyje nieznany jeszcze nauce gatunek.

eprasa.pl 383475ee03

Taka Polska też jest

Alina Czerniakowska

Często po pokazach moich filmów dokumentalnych spotykam różnych ludzi. W domach kultury w małych miejscowościach, w szkołach na wsi i w miastach, np. w Warszawie w dzielnicowych domach kultury. Przychodzą nauczyciele z młodzieżą, zadają pytania, interesują się historią. Na projekcjach panuje cisza, skupienie, doskonale wiedzą o sytuacji w Unii Europejskiej, o zagrożeniu wojną w Polsce.

Teraz, po wyborach, gdy antypolska koalicja czapkuje Unii i wypełni wszystkie jej żądania, tak jak to było za poprzedniego rządu Tuska, ludzie to wiedzą i mówią wprost: w Brukseli pieniądze są, ale większość państw trzyma się z daleka od tego unijnego prezentu, bo Unia na KPO chce zarobić i jak zwykle nie daje nic za darmo. Przecież tylko siedem krajów ubiegało się do tej pory o pożyczki z tego planu – ludzie czytają, wiedzą, jakie są warunki przyznawania tych unijnych kredytów. To nie są darowizny, tylko kredyty i jeszcze w połowie przeznaczone na szaloną, utopijną koncepcję „zielonego ładu". Wiedzą, że tylko zbrojenie Polski, tylko Polska będąca silnym państwem w Unii, decydująca o swojej gospodarce, polityce międzynarodowej, ma szansę zachować niepodległość.

Wszystkie układy międzynarodowe, na które wpływ ma Rosja, zagrażają Polsce – nie kryją tego ci, którzy zajmują się tymi tematami profesjonalnie, lecz wiedzą też o tym tzw. zwykli ludzie. W rozmowach często słyszę oburzenie poddańczym zachowaniem się Tuska, który po wyborach jedzie do Brukseli dziękować za pieniądze dane mu, by ogłupić nasze społeczeństwo różnymi metodami i antypolskimi, agenturalnymi mediami. Zwykli Polacy to wszystko wiedzą.

Po pokazach filmów dokumentalnych o naszej historii przypominają wielkich przywódców Polski, którzy zawsze jechali na Jasną Górę do swojej hetmanki, Królowej Polski prosić i dziękować. Wiedzą też o wizytach na Jasnej Górze obecnego rządu, o nocnym czuwaniu prezesa Jarosława Kaczyńskiego, którego nazywają człowiekiem Opatrzności. Mówią: „Bóg chciał zachować Polskę, dlatego zatrzymał go i nie zginął pod Smoleńskiem, tak jak zaplanowali wrogowie". Tak mówią zwykli ludzie, taka też jest Polska i o tym musi pamiętać koalicjant Kosiniak-Kamysz, koalicjant Hołownia i inni, nie mówiąc o Tusku, który na pewno to wie, tylko zapewne musi robić to, co robi, bo, jak powiedział Władimir Bukowski, znany sowiecki dysydent: „Kto paktuje z diabłem, wcześniej czy później znajdzie się w piekle".

Powyborczy obraz Polski jest zafałszowany, podobnie jak cała kampania wyborcza tzw. totalnej opozycji. Nawet cynicznie nie kryli tego, że kłamią.

Polska to również ludzie, potrafiący zauważyć i docenić wszelkie dobro, które stało się ich udziałem dzięki obecnemu rządowi. Doskonale rozumieją polską rację stanu, zagrożenia ze strony Niemiec i Rosji, modlą się i martwią o przyszłość. Słucham nauczyciela historii w małej miejscowości, który mówi: „Przecież Ukraina już dawno byłaby zagarnięta przez Rosję, gdyby nie Polska, Zachód nie interesuje się Ukrainą, tak samo, jak nie obchodzi ich Polska". Zwykli ludzie to wszystko wiedzą, nauczyciele jadą ze swoimi uczniami razem z księżmi do Częstochowy, modlą się, czuwają całe noce. Wystarczy pojechać na jasnogórskie wzgórze i popatrzeć – tam codziennie przybywają młodzi z różnych zakątków Polski, więc jest też taka młodzież, nie tylko ta, która idzie z Lempart, wulgarnie wyklina i pokazuje osiem gwiazdek, naśladując tzw. celebrytów, ludzi pozbawionych chociażby zwykłego wstydu.

Wbrew wrogiej propagandzie w kościołach też jest dużo młodych ludzi, nawet na codzienne nabożeństwa przychodzą z małymi dziećmi. Co niedziela po brzegi zapchany jest kościół św. Jacka w Warszawie na ostatniej mszy o 21.30, wystarczy przyjść i zobaczyć. Taka Polska też istnieje, nie tylko ta prymitywnie kpiąca z Boga, z Jana Pawła II, z wszystkich narodowych, odwiecznych świętości. Wszystko zależy od domu rodzinnego, wychowania, rozumnych nauczycieli i księży, katechetów.

Podchodzi do mnie rolniczka i mówi: „Moherowe berety nas nazywał, wyśmiewał, a teraz chce rządzić Polską. Ci dwaj, co koło niego stoją, to nawet swoich zdradzili, obiecywali nie zabijać nienarodzonych dzieci, obiecywali zadbać o rolników, jeden i drugi, Hołownia i Kosiniak, o wszystkim już zapomnieli, zaprzedali się i pozostaną dla nas zdrajcami". To są relacje zwykłych ludzi i dlatego wszyscy ci tak pędzący do władzy muszą pamiętać, że Polska wyrosła z patriotyzmu i umiłowania ojczystej ziemi, na której od świtu do nocy ciężko pracują zwykli ludzie. Z takimi ludźmi rozmawiam, takich ludzi szanuję i kocham, oni są ostoją naszej polskości i jak będzie trzeba, staną w obronie suwerenności Polski.

Patriotyzm nie jest masowy i nigdy nie był, to przywilej tych „królów duchów" Juliusza Słowackiego. Na szczęście dziś też trochę takich mamy. Jan Paweł II wszędzie na świecie z dumą podkreślał swoją polskość i mówił: „Mój naród, który taką ceną okupił swoją niepodległość, ma prawo do stanowienia o swoich sprawach w sposób samodzielny. I to prawo do samostanowienia jest zasadą porządku międzynarodowego! Należy je szanować, ponieważ tego domaga się także prawdziwa wola pokoju".

Polska niewygodna, przeszkadzająca w zbrataniu się dwóch wielkich sąsiadów, musi być dumna i silna swoją dawną wielkością, epokowymi dokonaniami poprzednich pokoleń i naszą obecną mądrością i odwagą. Bez narodu kochającego swoją ojczyznę nic się nie uda zrobić –zgodnie powtarzali wszyscy dowódcy legionowi, tworzący od podstaw polską armię po latach niewoli. O Polskę trzeba walczyć – mówili bohaterowie moich filmów dokumentalnych, powstańcy Warszawy, żołnierze wyklęci, mieszkańcy kresów. „Świętości nie szargać, bronić, ocalić i pomnożyć to nasze dziedzictwa, któremu na imię Polska" – prosił nasz wielki rodak Jan Paweł II. Są dzisiaj Polacy, którzy to czują i rozumieją.

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

eprasa.pl 383475ee03

Jak zadbać o przyszłość dziecka? Czytaj mu książki!

Rodzicielstwo stawia przed nami pytania, jak zadbać o przyszłość naszych dzieci, a odpowiedź tkwi w każdej stronie dobrej książki

To nie tylko źródło wiedzy, lecz także klucz do kształtowania wyobraźni, rozwoju emocjonalnego oraz budowania silnych więzi rodzinnych. Oto dlaczego czytanie dziecku jest najlepszą inwestycją w jego przyszłość!

KREOWANIE WYOBRAŹNI I EMOCJI

Czytanie dzieciom od najmłodszych lat otwiera przed nimi drzwi do krainy nieograniczonych możliwości. Książki pozwalają dzieciom przenieść się w odległe miejsca, spotkać wyjątkowych bohaterów i przeżyć przygody, rozwijające ich kreatywność oraz umiejętność rozwiązywania problemów. Jednocześnie czytanie pomaga w budowaniu empatii, ucząc dzieci rozumienia emocji innych osób.

CZYTANIE WPŁYWA NA ROZWÓJ DZIECKA

Nauka potwierdza, że czytanie ma ogromny wpływ na rozwój mózgu dzieci. Tworzy nowe połączenia neuronalne, rozwija zdolności językowe i kształtuje myślenie logiczne. Dzieci, które regularnie czytają, szybciej nabywają umiejętności komunikacyjnych, poszerzają słownictwo i rozwijają zdolność analizy. Czytanie dostarcza także wiedzy z różnych dziedzin, pomagając dzieciom odkrywać zainteresowania i pasje.

TWORZENIE WIĘZI RODZINNYCH

Czytanie to nie tylko forma edukacji i przyjemna rozrywka, lecz także to okazja do budowania trwałych więzi rodzinnych. – Wspólne godziny poświęcone czytaniu to czas, kiedy rodzice i dzieci mogą razem

Fot. Danuta Matloch/MKIDN

cieszyć się historiami, dzielić śmiechem i wzruszeniem. To także momenty, kiedy trudne tematy mogą być otwarcie omawiane, pomagając dzieciom zrozumieć świat – mówi Dariusz Jaworski, dyrektor Instytutu Książki. – Książki potrafią działać terapeutycznie, pomagając w radzeniu sobie z emocjami i problemami – dodaje Jaworski.

KAMPANIA „MAŁA KSIĄŻKA – WIELKI CZŁOWIEK"

Aby przypominać rodzicom o wartościach płynących ze wspólnego czytania, Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Instytut Książki już od 2017 r. prowadzą projekt „Mała książka – wielki człowiek". To największa w Europie i jedna z największych na świecie inicjatywa bookstartowa oraz kampania społeczna, której celem jest promowanie czytelnictwa wśród najmłodszych na różnych etapach ich rozwoju. Od noworodków, przez przedszkolaków, po pierwszoklasistów, dzieci otrzymują specjalne wyprawki czytelnicze, zawierające wyjątkowe książki oraz broszury informacyjne dla rodziców. To inwestycja w przyszłość i edukację najmłodszych.

– Bezpłatnie rozdaliśmy 5 mln książek, odpowiednio dobranych do wieku czytelników i wspaniale wydanych. Robimy to, aby uwrażliwiać najmłodszych na literaturę, dzieci były mądrzejsze i miały wybór. W tych trudnych czasach wielu zagrożeń cywilizacyjnych w obszarze kultury globalnej bronimy tego, co wartościowe – podkreślił minister kultury i dziedzictwa narodowego prof. Piotr Gliński podczas konferencji prasowej inaugurującej 6. edycję kampanii społecznej „Mała książka – wielki człowiek".

Tegoroczna edycja w szczególny sposób skierowana jest do uczniów pierwszych klas szkół podstawowych. W najbliższych tygodniach w swoich szkołach otrzymają najnowszą książkę „Wnuczka antykwariusza" Justyny Bednarek z pięknymi ilustracjami Emilii Dziubak. To historia, która zabiera najmłodszych w podróż do przeszłości, ucząc, że odkrywanie rodzinnych korzeni to wielki skarb, z którego warto czerpać.

– Jeżeli od dziecka, od urodzenia nie zainwestujemy w to, by przybliżać dzieciom świat literatury, to jest takie prawdopodobieństwo, że one się z nim nie zetkną, ponieważ ten świat błyskotek, szybkich, zmieniających się obrazów, może wydawać się bardziej pociągający dla młodego człowieka – mówi aktorka Emilia Komarnicka-Klynstra, ambasadorka kampanii.

– Całym sercem popieram ideę projektu Instytutu Książki, włączającą rodziców, ale też dziadków, rodzeństwo, bibliotekarzy i nauczycieli w to ważne zadanie, jakim jest przekazanie najmłodszym miłości do książek – dodaje aktor Przemysław Stippa, który w tym roku dołączył do grona ambasadorów kampanii.

Artykuł sponsorowany | 51/0923/F

INSTYTUT KSIĄŻKI

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

MAŁA KSIĄŻKA WIELKI CZŁOWIEK

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

eprasa.pl 383475ee03

Michał Korsun prezentuje: „Państwu już dziękujemy", czyli Gazeta Wyborcza w akcji

Wycinki z przeszłości

„Płoną tysiącem jasnych łun po całym prawie świecie... Wielkie, wspaniałe, kamienne cmentarze, słynne z tego, że mają mogiły wielkich ludzi, groby poetów, pisarzy, uczonych i wodzów.

Każdy z nas ma wśród tych tysięcy polskich cmentarzy – jeden cmentarz, na którym doczeka się prędzej czy później swej mogiły. Jedyna sprawiedliwość na ziemi! Ani jednego wyjątku! I ty chłopie wiejski, i ty słynny generale, i pan minister. I milioner, i dziad odpustowy – wszyscy, choć mamy różną kieszeń, różne serca i odmienne dusze, ten sam czeka nas wszystkich cel. Za wsią czy pod miastem – cmentarz.

Każdy z nas ma wśród cmentarzy jeden, na którym śpią snem wieczystym nasi najbliżsi. Matki, ojcowie, siostry, bracia, mężowie, żony, dzieci. Spieszyło się im odejść od nas i odeszli. A myśmy zrosili ich trumny i groby łzami rzęsiście, gęsto, jak niebo jesienne ziemię chłodnym deszczem. Każdy z nas ma drogi swemu sercu cmentarz, jak ma się rodzinny dom, jak się ma ulubiony tego domu sad czy własne podwórko".

Jacek Maria Orlik, „Na Szerokim Świecie", listopad 1935 r.

(mk)

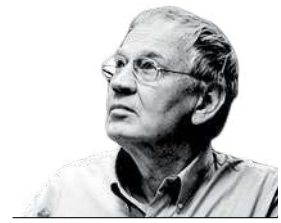

Leszek Długosz

Polonez listopadowy (albo na flagę polską nad Wawelem w dniu Święta Narodowego)

Jak piękna, czysta
Łopoce
I zachwyca
Biało-czerwona
Na tle błękitu października
Ze złotym już nalotem
Listopada
Ponad wawelskim wzgórzem
Flaga...

Wyniosła, prosta
Jak fraza mickiewiczowska
Lub Chopin jakby ponad nami
Obdarowywał z nieba nas
Polonezami
– Wyniosła, swojska
Na wietrze śpiewa
Chorągiew polska

Lecz dla nas jeszcze
W serc pamiętaniu
Do drzewca tego niech dołączają
Wszystkie, co przez stulecia
Tęskniły
Biegły do upadu
Śniły o takiej rezurekcji chwili
Szły w bój,
Na zsyłki, w turmy i w Sybiry

Na wszystkie poniewierki
Po wszystkich krańcach ziemi
Ściszane kneblem
Strzałem w potylicę
Zabite, nieuległe
W piach padające
Z wiarą
Że przecież – oni tam
Że jest i trwa to:
„Póki my żyjemy..."

To ona dzisiaj
– Z wszystkimi, co się nad Wawelem
W tę jedną oto zbiegły
Biało-czerwona
Jedenastolistopadowa
Wysoko uniesiona
Sercom i spojrzeniom naszym
Łopoce
– W niebo i światu śpiewa
Duma i chwała
Znak i zawołanie
Zadanie
Zadane dzisiaj nam

Zamów Prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	82 zł	149 zł	265 zł
wSIECI HISTORII	–	34 zł (3 wydania)	59 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	169 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	295 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

36/1023/F

eprasa.pl 383475ee03

Migracja

Lech Makowiecki

„Od pucybuta do milionera" – ta recepta na sukces rozpalała wyobraźnię XIX-wiecznych imigrantów, szukających za Wielką Wodą lepszego bytu. Nękana wojnami i kryzysami Europa nie była w stanie wyżywić całej swej populacji. Wielki głód w Irlandii, pogromy Żydów w Rosji, prześladowania powstańców w Polsce, wojna francusko-pruska – m.in. te zdarzenia nakręcały spiralę emigracji. Zdesperowana europejska biedota dostrzegła swą szansę na ogromnym amerykańskim rynku pracy, z szerokim dostępem do ziemi ornej. Rząd USA nie ograniczał liczby przybyszów przyjmowanych ze Starego Kontynentu. W 1890 r. na nowojorskiej wysepce Ellis Island utworzono punkt filtracyjny. Nie wpuszczano ludzi zdemoralizowanych: prostytutek, przestępców, bigamistów; odsyłano również osoby cierpiące na choroby zakaźne i psychiczne. W latach 1860–1920 Ameryka wchłonęła ok. 27 mln zdrowych i chętnych do pracy Europejczyków. Ówczesna rozsądna polityka migracyjna zaowocowała niebywałym rozkwitem gospodarczym Stanów Zjednoczonych.

Dzisiejszy niekontrolowany napływ nielegalnych migrantów (*via* Meksyk) zagraża już bezpieczeństwu USA. Zanik etosu pracy, przeniesienie produkcji przemysłowej do Chin i rozbuchany socjal prowadzą wprost do kryzysu. Tymczasem Chińczycy już wiedzą, że bogactwo kraju bierze się z ich wydajnej pracy (fizycznej, intelektualnej), utrzymania odpowiedniej liczebności populacji i ochrony własnych granic przed nieproszonymi gośćmi. Drukowanie pustych pieniędzy, giełdowe spekulacje czy niefrasobliwe: „Welcome, refugees!" Angeli Merkel to – jak mawiał Talleyrand – „gorzej niż zbrodnia, to błąd!".

Mimo bolesnych doświadczeń Unia Europejska za nic nie chce zrezygnować ze swej samobójczej polityki. Dodatkowe forsowanie antydemograficznych ideologii (gender) i ekologicznych utopii (Fit for 55) przyspieszy tylko agonię cywilizacji łacińskiej. Świadczy to o naiwności, głupocie bądź świadomym działaniu elit rządzących na szkodę UE.

REKLAMA

Piękno wielowiekowego dziedzictwa. Monumentalny album

Kupuj z hasłem SIECI25 otrzymasz rabat 25%

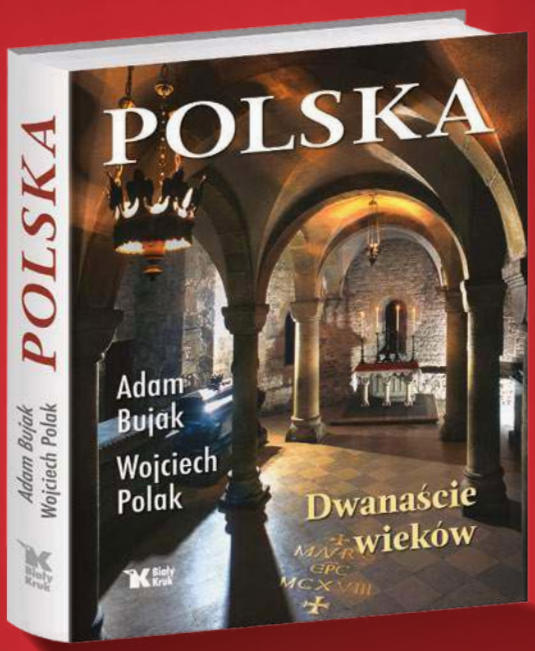

ZAMÓWIENIA: Biały Kruk Sp. z o.o.,
ul. Szwedzka 38, 30-324 Kraków,
tel.: 12/260 32 90, 12/254 56 19,
e-mail: dystrybucja@bialykruk.pl, www.bialykruk.pl
Przy zamówieniu na kwotę powyżej 200 zł
koszty przesyłki (17 zł) ponosi wydawnictwo.

Ponad 600 zdjęć!
368 str., 23,5 x 27 cm, twarda oprawa.
Cena 149 zł

epresa.pl 983475ee03

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Uciekanie

W podróż dookoła świata ruszyć. Albo skupić się na filozofii. Czy ambitniej: na teologii. Głęboko zanurzyć się w muzykę klasyczną. Albo w poezję – potrafi być tak krystalicznie czysta. Przestudiować klasyczne greckie dramaty i dzięki temu zrozumieć. Odwiedzić – w skupieniu, bez pośpiechu – najważniejsze muzea Europy, a przynajmniej te pod ręką. Pojąć starożytnych Rzymian, czytając ich pisma. Uparcie ćwiczyć do triathlonu i zaliczyć go. Przeczytać Biblię od A do Z. Udać się do klasztoru, najpierw na trochę, a potem...

Oderwać się od szamotaniny codzienności, od intryg (nieusuwalnej części ludzkiego świata?) w wykonaniu zarówno tych ambitnych, jak i szalejącej tandety nieudaczników. A może tak...

Gdzie jest to najczystsze, czemu warto poświęcić swój czas i energię? To, co dla duszy dobre

IN THE SUMMERTIME

Kultowy dekady temu utwór zespołu Mungo Jerry. Wiele jest motywów i wiele ścieżek ucieczki, i nie tylko w lecie.

Wypalenie zawodowe. Praca nie tylko przestaje ekscytować, męczy, gdy narasta poczucie pozorności działań, niekiedy ich fałszywości. Nauka ma to już przebadane.

Niechęć do świata. Zniesmaczenie. Obrzydzenie kolejnymi przejawami zwyciężania paskudztwa nad pięknem, chamstwa nad łagodnością, karierowiczostwa nad pracowitością, krętactwa nad lojalnością, cwaniactwa nad uczciwością itd. Takie głosy skarg i lamentów znamy od tysiącleci. Często – choć przecież nie zawsze – uzasadnione.

Stąd pragnienie, niekiedy bardzo silne, zmiany. Przejścia do czegoś o wysokiej jakości. Ku stałemu obcowaniu z prawdziwymi wartościami. Z najwspanialszymi osiągnięciami ludzkości.

TO, CO NAJCZYSTSZE

Gdzie jest to najczystsze, czemu warto poświęcić swój czas i energię? To, co dla duszy dobre. Muzyka religijna? Fryderyka Chopina muzyka – któż z nas nie ma nabożnego podejścia do głębi swoich emocji? Dzieła wielkich pisarzy, dzieła, których wagi czas nie nadszarpnął – może np. przeczytać i przemyśleć całego Tomasza Manna? Albo prześledzić krok po kroku życie św. Jana Pawła II (pomijając jednak biografię napisaną przez zadufka Jacka Moskwę), zobaczyć, dokąd na tym padole Wojtyła dotarł i jakich dzieł nie dane mu było dokończyć.

SPOJRZENIE SOCJOLOGÓW

Ale – taki już los socjologów – czujemy przymus wskazania, że każdy z ucieczkowych dylematów jest osadzony w kontekście tradycji, kultury, instytucji, państwa i wreszcie ładu cywilizacyjnego. Co to znaczy? Co z tego wynika dla problemu uciekania, o którym tu rozmyślamy? Co, zdaniem naszym, dzięki optyce socjologicznej, dzięki socjologicznym interpretacjom rozumiemy lepiej? Widzimy głębiej (historycznie) i szerzej zarazem – spoza drzew dostrzegamy nie tylko kontury lasu, lecz także ekosystemu, którego jest on częścią.

FUTERAŁ BEZPIECZEŃSTWA

Artyści, mali i duzi, mieli swoich mecenasów albo gotowych do płacenia za ich dzieła odbiorców. Dane im było do tych odbiorców docierać – choć nie było jeszcze YouTube'a. Musiała istnieć przestrzeń kulturowa, która z jednej strony dawała bodźce dla ich kreatywności, z drugiej zaś tworzyła swoistą bańkę bezpieczeństwa – finansowego, społecznego, wreszcie fizycznego – pozwalającą na skupienie się na twórczej aktywności.

Ucieczka w przysłowiowe Bieszczady czy jakiekolwiek inne miejsce oddalenia od ciśnienia świata i jego bałaganu wymaga zasobów oraz kontekstów pozwalających na przeżycie w nowym otoczeniu. Sposobów bezpiecznego dojechania tam (nawet jeśli tylko autostopem), wynajęcia lub nabycia nieruchomości, kupowania żywności. Prądu do słuchania muzyki czy internetowego zwiedzania odległych galerii sztuki.

Wszyscy nie skupimy się na swoim życiu duchowym. By sparafrazować Szekspira: ktoś musi troszczyć się o przyziemność – stać na straży granic, pilnować infrastruktury: prądu, wody, transportu, służby zdrowia, bezpieczeństwa na szlakach komunikacyjnych – by ktoś inny mógł skupić się na trosce o duchowość swą.

Bez troski o ład cywilizacyjny, który obejmuje dziedzictwo naszych przodków, nawet by nie było dokąd uciekać.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja | Reklama 22/0323/F

eprasa.pl 383475ee03

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW WERSJI PAPIEROWEJ

SIECI | wSIECI HISTORII

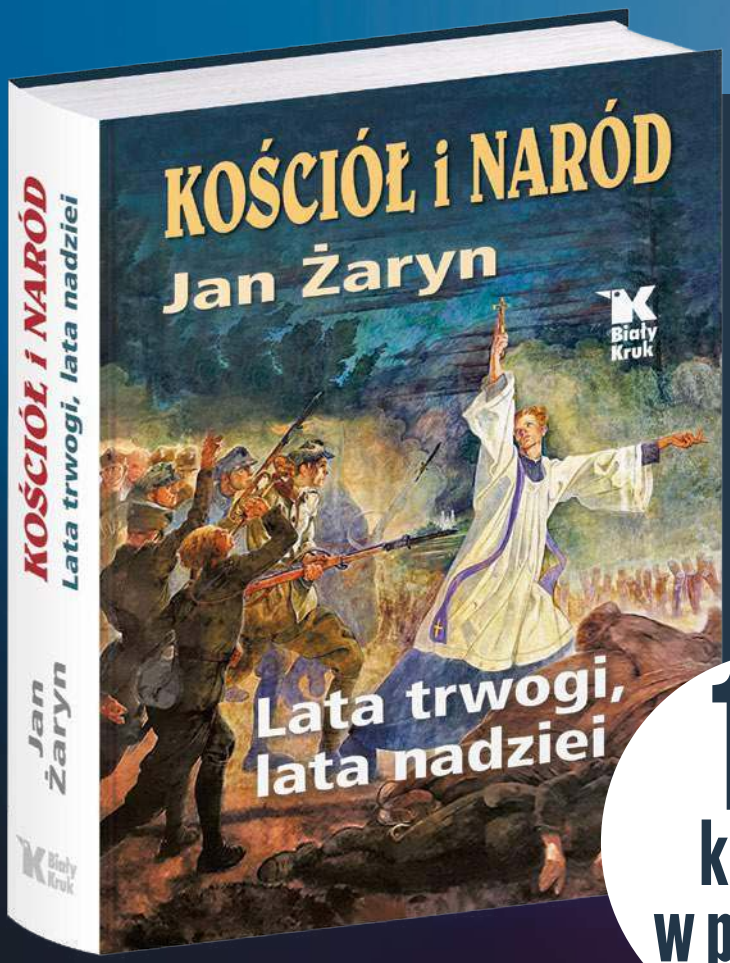

Kościół i naród polski – to nierozłączne pojęcia. Prof. Jan Żaryn przywołuje kilkadziesiąt wydarzeń i ponad sto postaci wyznaczających katolicki szlak polskich dziejów aż po lata najnowsze.

Dramatyczne wydarzenia z historii Polski, szlachetne postawy patriotów, ale też podłość i zdrady m.in. czasów komunizmu.

568 STRON | TWARDA OPRAWA | ŚWIETNE ILUSTRACJE | DLA WIELBICIELI HISTORII

150 książek w prezencie

Książkę prof. Jana Żaryna **„Kościół i naród. Lata trwogi, lata nadziei”** otrzymasz **GRATIS**, zamawiając roczną prenumeratę pakietu: tygodnik SIECI i magazyn wSIECI HISTORII za **295 zł**.

Fot. Shutterstock

Zamów już dziś na: **www.sieciprawdy.pl/prenumerata**

Przed zamówieniem prenumeraty upewnij się, że książka jest nadal dostępna:
prenumerata@fratria.pl | tel. 22 616 36 00 w godz. 9-16

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując pełne dane adresowe do wysyłki.

eprasa.pl 383475ee03

Energa Obrót
GRUPA ORLEN
Z natury
DOBRA ENERGIA
Zamów fotowoltaikę
oraz pompę ciepła
z bezpłatną wizją
lokalną i zacznij
oszczędzać
Mój prąd 5.0
Skorzystaj
z dofinansowania
Mój Prąd 5.0
Zadzwoń 555 555 505* lub wejdź na energa.pl
*Koszt połączenia według stawek Twojego operatora

eprasa.pl 383475ee03